

 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



ANNIE
BURROWS

Dama i uwodziciel

Annie Burrows

Dama i uwodziciel

Tłumaczenie:
Teresa Komłosz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niedziela 18 lipca 1815 roku

- Ruszać się, a żwawo! - Pułkownik Randall podjechał do majora Bartletta i wskazał za siebie. - Kierujemy się na tamto wzniesienie. Pamiętasz miejsce, które mijaliśmy wczoraj... jak ono się nazywało... Hougoumont. Francuzi gromadzą ciężką kawalerię między zamkiem a drogą na Charleroi. Zajmijcie pozycje między dwoma oddziałami piechoty. Czas nagli!

Major Bartlett zasalutował z kamiennym wyrazem twarzy. Pośpiech? Trudno o nim mówić, kiedy rozmokła ziemia przypomina grzęzawisko.

- No dobrze, chłopcy - zwrócił się do swoich ludzi. - Słyszeliście pułkownika. Podkręcić tempo!

Starali się jak najszybciej zawracać wozy z armatami i jechać przez pole we wskazanym kierunku. Jednak ich pośpiech brał się nie tyle z chęci wypełnienia rozkazu, co z konieczności ucieczki przed padającymi wokół pociskami wroga. Wiedzieli, że kiedy dotrą na wyżej położony teren, będą wreszcie mogli odpowiedzieć ogniem na zaciekły francuski ostrzał. Major Bartlett nie miał zastrzeżeń, jako że sam dość elastycznie podchodził do kwestii ślepego wojskowego posłuszeństwa. W każdej innej jednostce dość swobodne interpretowanie rozkazów przysporzyłoby mu kłopotów. Pułkownik Randall wyżej jednak cenił sobie umiejętność samodzielnego myślenia niż tępe wykonywanie poleceń i nawet go awansował.

Widząc, jak jego podwładni wyprzedzają ludzi majora Flinta w drodze na wyznaczone pozycje, poczuł dumę. Poruszali się szybko i zwinnie i

pierwsi doprowadzili armaty do gotowości bojowej. Flint zrobił to samo zaraz po nich, nawet awansowany zaledwie przed kilkoma dniami Rawlins sprawnie sobie poradził. Czas był najwyższy, bo francuscy kirasjerzy zbliżali się do nich kłusem.

Pierwsza salwa nie zburzyła szyku atakującego oddziału.

- Dobry Boże, wgniotą nas w ziemię!

Major Bartlett odwrócił się gwałtownie. Czyżby któryś z jego żołnierzy ośmielił się ulegać strachowi?

- Nie ma mowy, nie dadzą rady Zabijakom Randalla - rzucił przez zęby. - Pamiętajcie nasze motto: „zawsze zwycięzcy”! - Za wszelką cenę. Zwłaszcza za linią wroga, gdzie szczególnie mógł się wykazać talentem dowódczym, a jego ludzie sprawnością.

- Tak jest - ryknął Randall, unosząc w górę obnażoną szablę. - *Semper Laurifer!* Łotry, gotowi... Ognia!

Huknęły działa, konie z jeźdźcami padały na ziemię. Scenę bitwy zasnuwał dym, przesłaniał widok zabitych i rannych; wszędzie wokół rozlegały się krzyki i jęki.

Nagle Bartlett usłyszał radosną wrzawę. Niosła się od zgromadzonych za nimi oddziałów piechoty. Kawaleryjska szarża dobiegła końca. Przynajmniej ta pierwsza.

Rozejrzał się po swoich ludziach. Pracowali bez wytchnienia, nabijając armaty, przygotowując je do odparcia kolejnego ataku. Nie marnowali czasu, nie trzeba ich było zawracać na pozycje.

Dostali rozkaz, by wykorzystać przerwę między szarżami kirasjerów na wycofanie się za pierwszą linię szyku utworzonego przez piechotę. Nie musiał jednak uświadamiać swoim ludziom, zaprawionym w wielu bitwach weteranom, że jeśli nie pozostaną na swoim dotychczasowym miejscu, przy następnym ataku szyk zostanie przerwany i rozproszony. Widzieli już takie sytuacje, choćby wcześniej tego dnia. Żołnierze piechoty, z niewielkim lub wręcz żadnym doświadczeniem bojowym, patrzyli z uznaniem na Zabijaków Randalla spokojnie wykonujących swoje zadania, jakby potężne konie Francuzów były kręglami, które należy zbić, celnie i skutecznie. Ta postawa prawdopodobnie stanowiła ostatnie źródło nadziei w ogólnie niewesołej sytuacji.

Nadzieja, dobre sobie, pomyślał major Bartlett. Już dawno go opuściła, tak jak i jego towarzyszy broni. Czuli się skazani na śmierć, tak czy inaczej. A skoro tak, chcieli zabrać ze sobą możliwie jak najwięcej wrogów. Broniąc swojego kraju, mogli przynajmniej umierać z godnością, a nie na stryczku.

- Uwaga, panowie, nacierają ponownie - rozległ się krzyk Randalla.

Znów ziemia zadrżała od tętentu ciężkich kopyt, huknęły armaty, rozpoczęła się rzeź. Z rozmiękłej ziemi poprzez dym wznosiły się śmiertelne jęki i wołania o pomoc.

Żołnierze Bartletta ładowali i strzelali. Niezmordowanie. A francuska szarża zdawała się nie mieć końca.

Następnego ranka

Lady Sarah Latymor przetarła oczy i podniosła wzrok na żłób, znajdujący się nad jej głową. Czyżby naprawdę widziała źdźbła siana sterczące przez pręty, czy tylko je sobie wyobrażała?

Słyszała, jak w sąsiednim boksie Kastor szura kopytami, zbierając najdrobniejsze resztki obroku zadanego przez Pietera. Wyciągnęła rękę i przyłożyła otwartą dłoń do desek przegrody między boksami. W nocy słyszała, jak jej koń, ostatni prezent od Gideona, krąży po niewielkiej wygradzonej przestrzeni i ten odgłos pozwalał jej utrzymać na wodzy rozedrgane nerwy. Wyglądało, że najgorszą dobę w życiu ma za sobą. Zaczynało świtać, mogła już w rzedniejącym mroku dostrzec kontur swojej ręki. W Brukseli panował spokój. Madame Le Brun ostrzegała ją, że w nocy wrogie oddziały mogą zalać miasto, ale nic takiego nie nastąpiło. Oznaczało to z wielkim prawdopodobieństwem, że wojska sprzymierzone musiały wygrać. A ona mogła opuścić kryjówkę.

I kontynuować poszukiwania.

Odkryć, co stało się z Gideonem.

Nie mógł zginąć. Był jej bratem bliźniakiem. Gdyby jego dusza opuściła ziemię, z pewnością by to czuła. Żołądek zacisnął jej się w twardy węzeł, tak samo jak wtedy, gdy szwagier, lord Blanchards, przekazał jej wiadomość. Gussie, jej siostra, wybuchnęła szlochem, natomiast ona stała i kręciła głową. Coraz bardziej ją złościło,

że oboje tak naturalnie przyjęli fakt do wiadomości.

Blanchards okazał wręcz zniecierpliwienie, gdy nie chciała uwierzyć, że pośpiesznie napisana notatka, którą trzymał w rękach, może zawierać wiadomość o tak wielkim znaczeniu. Dał jej do zrozumienia, że ma się oddalić do swojego pokoju i tam, na osobności, płakać do woli, żeby sam mógł się bez reszty skupić na pocieszeniu żony.

Nie płakała. Gniew jej na to nie pozwolił. Narastał w niej przez całą noc, aż w końcu w niedzielę rano wybrała się do Brukseli, bo tylko tam mogła znaleźć odpowiedź na pytanie o los Gideona. Przejechała około kilometra drogą do lasu Soignes, nim zawrócił ją oddział huzarów; twierdzili, że zostali pokonani w bitwie przez Francuzów i wroga pogoń dosłownie depte im po piętach.

Huzarzy, parsknęła Sarah, odgarniając z twarzy potargane włosy. Co oni mogli wiedzieć?

Ben, pies, który towarzyszył jej w powrocie do domu śladem uciekających tchórzliwie huzarów, jakby na potwierdzenie jej wątpliwości przeciągnął się i ziewnął.

- Dobrze spałeś, Ben? - odezwała się do pupila, kiedy podszedł do niej i polizał ją po twarzy na powitanie. - Widzę, że tak. Wspaniałe z ciebie zwierzę - dodała, czo-chrając go po uszach. - Przez całą noc czułam, że leżysz u mych stóp, i wiedziałam, że gdyby jakiś Francuz odważył się zajrzeć do stajni, wbiłbyś w niego te swoje wielkie zębiska. - Pilnowana przez Bena czuła się bezpieczniejsza, niż gdyby trzymała w dłoni naładowany pistolet.

- Hau - potwierdził Ben z powagą, po czym przysiadł na ziemi i zaczął się energicznie drapać po karku.

- No cóż, ja wprawdzie nie zmrużyłam oka - powiedziała, odrzucając na bok koc - ...ale bynajmniej nie zmarnowałam tych bezsennych godzin. Obmyśliłam plan. Znajdziemy Justina.

Sięgnęła po żakiet do konnej jazdy, który zrolowany posłużył jej za poduszkę. Szykownie skrojony element amazonki nie bardzo się nadawał na wyściełanie posłania, zwłaszcza rozłożonego w stajni. Strzepnęła z błękitnego aksamitu resztki siana i wsunęła ręce do rękawów.

Ben przestał się drapać i wbił w nią nieruchome spojrzenie.

- Nie próbuj mi radzić, że teraz, skoro bitwa dobiegła końca, powinnam się udać do dowództwa i spytać o szczegóły - oznajmiła spokojnie. - Bez wątplenia odesłali by mnie do domu i kazali czekać na oficjalne powiadomienie. Które by wysłali do Blanchardsa.

Podeszła do juków przewieszonych przez drzwi prowadzące do boksu - zostawiła je tam na wypadek, gdyby musiała się zbierać w pośpiechu - i po omacku w jednej ze skórzanych toreb znalazła grzebień. Dotknąwszy włosów, stwierdziła, że, o dziwo, jej fryzura trzyma się całkiem dobrze i właściwie nie wymaga poprawiania. Wepchnęła więc grzebień z powrotem na poprzednie miejsce i ponownie zwróciła się do swego czworonożnego towarzysza.

- Poza tym, gdybym poszła do dowództwa sama, bez żadnej eskorty, od razu by się zainteresowali, co robię w Brukseli. Skąd by wiedzieli, że przyszedłam sama? Och, Ben, przecież to oczywiste. Gdyby Blanchards przyjechał ze mną, to on by się zjawił w kwaterze dowództwa i zadawał pytania, rozumiesz?

Ben oblizał się i spojrzął jej w oczy z wyraźną nadzieją.

- Owszem, mam jeszcze kiełbasę - przyznała, ponownie sięgając do juków. - Mogę ci trochę dać. - Oderwała kawałek i rzuciła na słomę przed psem. Sama nie była w stanie nic przełknąć od czasu, gdy Blanchards powiadomił ją o śmierci Gideona. A uciekając z Antwerpii, zapakowała na drogę mnóstwo prowiantu, zakładając, że odnalezienie Gideona lub jego dowódcy pułkownika Benningtona Ffoga może jej zająć parę dni.

Zmarszczyła nos, widząc, że Ben pochłonał jedzenie jednym kłapnięciem szczęki. Dziwiła się, jak w ogóle mogła pomyśleć, choćby przelotnie, że Bennington Ffog może jej się do czegośkolwiek przydać. Doszła do wniosku, że znacznie lepiej będzie odszukać swojego najstarszego brata Justina.

- Cóż, Justin może być na mnie zły - odezwała się na głos, wychodząc z boksu na korytarz biegnący środkiem stajni - ale przecież nie odeśle mnie z powrotem do Antwerpii, dopóki mi nie powie tego, co muszę wiedzieć. - Wyjrzała na zewnątrz budynku, żeby się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu. - Może i jest najbardziej aroganckim i odpychającym człowiekiem, jakiego znam, a do tego pewnie na mnie nakrzyczy za to, że opuściłam bezpieczną Antwerpię wbrew jego wyraźnemu zakazowi, ale przynajmniej rozumie, ile Gideon dla mnie znaczy.

Sarah podeszła do pompy i szybko obmyła twarz i ręce zimną wodą. Ben nie odstępował jej na krok, ale wykorzystał okazję, żeby trochę powęszyć. Jednak gdy tylko skierowała się z powrotem do stajni, stawił się u jej boku.

- Dobry piesek - pochwaliła go i pogłaskała po kudłatym łbie. Wzięła następnie swój kapelusz do konnej jazdy z kołka przy drzwiach służącego za wieszak. Przytrzymując rondo jedną ręką, drugą starała się upchnąć do środka jak najwięcej włosów. - Jedyne problem polega na tym, że nie mam pojęcia, gdzie go szukać. - Umocowała kapelusz na głowie za pomocą spinki. - Ale Mary Endacott będzie wiedziała.

Ben przysiadł na ugiętych łapach i przekrzywił głowę na bok.

- Tak, wiem. Ona mnie nie lubi. I wcale jej się nie dziwię. Musisz jednak przyznać, że ponieważ mieszka w Brukseli od lat i zna tu wszystkich, musi wiedzieć, kogo należy spytać o miejsce jego pobytu, jeśli sama go nie zna. Co więcej - dodała, widząc, że nie udało jej się przekonać psa do swoich racji - będzie chciała znaleźć Justina równie mocno jak ja, ponieważ ta nieszczęśnica jest w nim beznadziejnie zakochana.

Sarah uniosła głowę, wyprostowała ramiona i ponownie wyszła do pompy. Tym razem zobaczyła zaspanego Pietera, który włókł się przez podwórze, przecierając oczy.

- Bądź tak dobry i osiodłaj mi konia - poprosiła.

Zawahał się na moment, po czym naciągnął czapkę głębiej na czoło i skierował się do stajni, widząc, jak Ben dołącza do swojej pani, która tym razem napełniała wodą butelkę.

- Tak się cieszę, że cię wczoraj spotkałam - powiedziała do psa i schyliła się, żeby go pogłaskać. Ben chleptał wodę rozpryskującą się na kamieniach. - Z początku uznałam znalezienie pułkowej maskotki za znak, że jestem we właściwym miejscu we właściwym czasie. Aledzisiaj cieszę się, że jesteś ze mną, bo nie będę musiała stawiać czoła Mary w pojedynkę. - A nie zapowiadało się, że będzie łatwo. Mary

nie miała powodu, by ją witać z otwartymi ramionami. Z drugiej strony, cóż mogła zrobić w najgorszym razie? Pokazać jej drzwi? Albo w ogóle nie wpuścić jej do środka? Jakież to miało znaczenie w porównaniu z tym, co już się stało? Jeśli Gideon naprawdę zginął...

Nie zamierzała w to wierzyć, dopóki ktoś jej nie przedstawi dowodu. Wsiadła na Kastora i z Benem biegnącym obok ruszyła na Rue Haute, gdzie znajdowała się szkoła Mary. W drodze zaczęły ją opadać wątpliwości. Jeśli Mary nie zechce z nią rozmawiać, do kogo innego mogłaby się zwrócić?

- Przynajmniej nie będę musiała się dobijać do frontowych drzwi i błagać o wpuszczenie do środka - stwierdziła na głos, ściągając wodze Kastora. Mary stała przed budynkiem i rozmawiała z grupą mężczyzn, którzy otaczali ją kołem, trzymając swoje konie za uzdy. Wszyscy byli w opłakanym stanie.

Sarah straciła rezon. Mary jak zawsze wyglądała elegancko i schludnie - niezależnie od pory i okoliczności. Tymczasem Sarah miała na sobie to samo ubranie, w którym spędziła cały dzień w siodle, przedzierając się przez tłum uciekających z miasta ludzi. Potem czołgała się po ziemi, ratując Bena, a na koniec spała w stajni.

Cóż, nie sposób dobrze się czuć w sukni noszonej od dwóch dni, zwłaszcza jeśli przeżyło się w niej takie rzeczy. Poza tym przy kobietach takich jak Mary, filigranowych, ślicznych, z zadartymi wdzięcznie noskami, Sarah zawsze czuła się jak niezgrabna tyczka.

Ben przyszedł jej z odsieczą, co najmniej drugi raz w ciągu ostatnich dwóch dni, wpadając w grupę obdartusów z radosnym poszczekiwaniami. Sarah, wpatrzona w Mary, zastanawiała się, jak ją przekonać, by zgodziła się pomóc. Dopiero w momencie, gdy pochyłali się, bez śladu lęku, żeby przyjaźnie poczochnąć Bena, zauważyła ich niebieskie kurtki świadczące o służbie w artylerii. Rozpoznała barwę mundurów oddziału swojego brata; wyłogi i dystynkcje ledwie dało się na nich zauważyć pod warstwą różnego rodzaju zabrudzeń.

Zabijaki Randalla? Tutaj? Co to oznacza?

Zapomniała o obawach przed oceną Mary i podjechała do nich szybko.

- Co się stało? - Zimny dreszcz strachu przebiegł jej po plecach. - Chodzi o Justina? - Mary odwróciła się i popatrzyła na Sarah, ściągając usta. Zaraz jednak twarz jej złagodniała.

- Tak naprawdę nie wiemy, co z nim się dzieje. Nikt go nie widział. Oni uważają, że... że... - Potrząsnęła głową. - Dasz wiarę, że przyszli tu go szukać?

Jak najbardziej. Szkoła Mary musiała im się wydawać całkowicie uzasadnionym miejscem poszukiwań.

- Postanowiliśmy więc, że lepiej będzie pójść poszukać go na polu bitwy, na wypadek...

Sarah widziała po minie i postawie Mary, że obawia się najgorszego. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Mary mogłaby tak po prostu się poddać. Zresztą wydawało jej się niemożliwe, by miała stracić dwóch braci naraz.

- On nie zginął - powiedziała z mocą. - Jest niezniszczalny. - W każdym razie byłby niezniszczalny, gdyby miał przy sobie tę cholerną szablę dziadka. Tę, której nie mógł znaleźć, i oskarżył Mary, że ją ukradła.

Lodowaty strach zjeżył Sarah włosy na karku.

- Nie możesz tego wiedzieć - odezwała się jak zawsze praktyczna Mary.

- Ale wiem - upierała się Sarah wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Mimo że Justin nie miał przy sobie szczęśliwej szabli Latymorów. - Po co los zaprowadziłby mnie do Bena, gdyby tak nie było? I nie przybylibyśmy tutaj akurat w momencie, kiedy wyruszacie na poszukiwania Justina?

Wyraz tłumionej rozpaczy zniknął z twarzy Mary, ustępując miejsca pogardzie. Wśród żołnierzy jednak nastąpiło ożywienie.

- Ona ma rację - odezwał się jeden z nich. - Pies ma dobry węch. Pomoże w szukaniu pułkownika Randalla, skoro tu go nie ma.

- Tak! A że jeszcze rodzona siostra pułkownika zjawiała się akurat tu i teraz... to musi znaczyć, że szczęście go nie opuściło - zawtórował mu drugi.

Mary tylko pokręciła głową i na chwilę przymknęła oczy, jakby zbierała w sobie resztki cierpliwości.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli wrócisz do Antwerpii - zwróciła się do Sarah. - W takim stanie nie możesz nam towarzyszyć.

- Szukałam Gideona i nie zamierzam teraz dać za wygraną - odparła Sarah, z trudem panując nad wzburzeniem. - Nie mogę wracać, zanim się nie dowiem, co z moimi braćmi.

Mary westchnęła ciężko z wyraźną niechęcią.

- No dobrze, w takim razie jedź z nami. Ale staraj się nie przeszkadzać - dodała szorstko, wspinając się na siodło.

No tak, oczywiście, Mary widziała w Sarah to, co wszyscy inni: rozpieszczoną, pustogłową pannicę z wyższych sfer. I tylko siebie Sarah mogła za to winić. Tak bardzo się starała uchodzić za ideał młodej damy, że zawsze spełniała oczekiwania rodziców i opiekunów; nigdy nie uchybiła żadnym, nawet najdrobniejszym wymogom etykiety. Podśluchiwała nawet kiedyś, jak lord Blanchards wyrażał zdumienie, że cechująca się wyjątkową bystrością Gussie może być spokrewniona z dziewczyną tak mało wyrazistą jak Sarah.

- Proszę. - Mary wyjęła z kieszeni dużą wyperfumowaną chustkę, po czym wyjaśniła Sarah, dlaczego może jej być potrzebna.

- Dziękuję. - Sarah rozciągnęła usta w uprzejmym uśmiechu, który miał skryć to, co naprawdę czuła. Równie dobrze Mary mogła zasugerować, że powinna zasłaniać nos z własnego powodu. Cóż, rzeczywiście tego ranka nie zażyła kąpieli. Sądziła, że zapach wydzielany przez psa i konia zamaskuje wszystkie inne, w tym odór jej potu, ale może śliczny mały nosek Mary był bardziej czuły, niż można się było spodziewać?

Pewną pociechę stanowiło odkrycie, że Ben trzymał się blisko wierzchowca Sarah i nie odstępował jej nawet na chwilę. Zapewne powodem psiego zainteresowania była raczej kiełbasa w jukach niż sama amazonka, niemniej dla postronnych sytuacja wyglądała tak, jakby pies wolał jej towarzystwo.

Mimo wczesnej pory drogę od bramy Namur wypełniał tłum rannych żołnierzy i cywilów szukających swoich bliskich.

Im bardziej się zbliżali do miejsca, gdzie poprzedniego dnia rozegrała się bitwa, tym smutniejsze otaczały ich widoki. Nie mówiąc już o zapachach. Wszędzie czuć

było cierpką woń prochu, przez którą przebijał się znacznie gorszy odór. To dlatego Mary zawczasu dobrze nasączyła chustki perfumami i jedną z nich wręczyła Sarah. Myśląc o zapobiegliwości Mary, tym wyraźniej sobie uświadamiała własną niedoskonałość.

- Spokojnie - powtarzała łagodnym tonem, poklepując Kastora po szyi, kiedy okrążali nieforemny stos z ciał martwych ludzi i koni. Starła się omijać wzrokiem to, co zalegało na poboczach drogi.

Nagle bezpański pies przebiegł im drogę; z pyska zwisało mu coś, co przypominało połączone ze sobą pęta kiełbasy. Sarah zacisnęła zęby, próbując powstrzymać falę mdłości. Kropelki potu zrosiły jej skórę nad górną wargą. Ben, który biegał ożywiony z jednej strony drogi na drugą, podniósł łeb i patrzył, jak pies oddala się, szybko unosząc ze sobą krwawy łup.

Sarah zamknęła oczy i oddychała głęboko, starając się opanować nagłą słabość. Nie wolno mi zemdleć, myślała gorączkowo. Nie mogę zemdleć.

- Dobrze się pani czuje, panienko? - Jeden z żołnierzy zauważył jej niewyraźną minę. Sarah zmusiła się do uniesienia powiek i zobaczyła, że reszta ich grupy dotarła już do rozwidlenia drogi i kierowała się w tę samą stronę, gdzie uciekł nieszczęsny kundel. Miała nadzieję, że nie będą musieli koło niego przejeżdżać, i jednocześnie dziękowała Bogu, że tego dnia nie zjadła śniadania, bo niechybnie by je zwróciła.

Czuła, że nie jest gotowa na ponowne oglądanie upiornej sceny.

- Nie, nie tędy! - zawołała, uniósłszy rękę. Wskazała na inną odnogę gościńca. - Musimy jechać tam. - Udało jej się zachować w miarę normalny ton, choć trzęsła się jak osika.

- Za pozwoleniem, panienko, ale pułkownik Randall powinien być raczej tam - odezwał się żołnierz, wyraźnie gotów jechać trasą, której tak się obawiała.

Mary odwróciła się w siodle i przybrała minę, jaką Sarah wiele razy oglądała na twarzach ludzi ze swojego otoczenia. Dawała Sarah do zrozumienia, że jest irytującą niedojdą.

- Sama mówiłaś - próbowała się bronić Sarah - że już go szukałaś tam, gdzie powinien być, i nie udało ci się go znaleźć.

W tym momencie Ben, który od dłuższej chwili biegał z nosem przy ziemi, wydał z siebie krótkie szczeknięcie, a potem ruszył wybraną przez Sarah trasą. Po kilku metrach przystanął i obejrzał się, jakby zdziwiony, dlaczego nie podążają za nim.

- Nawet Ben uważa, że powinniśmy jechać tamtędy - powiedziała Sarah.

Chociaż początkowo wcale nie chcieli jej słuchać, najwidoczniej zaufali psiemu węchowi, bo wszyscy co do jednego skierowali się na drogę wskazaną przez Bena. Nie pozostawili Mary wyboru, musiała do nich dołączyć.

Sarah znów poczuła ściskanie w żołądku, miała nie tylko wrażliwy nos Latymorów, ale też ich przekłętą dumę. A ona kazała jej raczej brnąć przed siebie bez względu na konsekwencje niż przyznać się do popełnienia błędu. Odrzuciła obawy, że przez nią nie znajdą Randalla. Zresztą niewiele zyskała na swoim wyborze, ponieważ nowy odcinek drogi niewiele się różnił od tego, który przemierzali wcześniej. Ziemię znaczyły barwne plamy mundurów, w miejscach, gdzie padli noszący je żołnierze. Leżeli teraz w śmiertelnym bezruchu, zabrudzeni błotem i krwią. Ich

drodze towarzyszył przerażający jęk konających ludzi i rżenie koni w agonii. Sarah kręciło się w głowie, w sercu czuła coraz większy ciężar. W końcu zobaczyła, co naprawdę oznacza wojna. Żołnierze nie umierali od schludnych małych ran po kulach. Ich ciała zamieniały się w krwawą miazgę.

Boże, jeśli taki los spotkał Gideona, to nic dziwnego, że nie przysłali jego zwłok do Antwerpii. Justin bywał nieznośnie apodyktyczny, ale zawsze starał się chronić swoje siostry. Nie chciałby, żeby Sarah czy tym bardziej Gussie, w jej delikatnym stanie, były narażone na coś takiego...

Już zaczynało do niej docierać, że tragiczna wiadomość o jej bracie bliźniaku może być prawdziwa, gdy nagle usłyszała głośny krzyk jednego z towarzyszących im ludzi.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Ben pędzi przez pole do walącej się szopy, wokół której zalegało jeszcze więcej ciał niż przy drodze.

- Znalazł go! Ten cholerny pies go wywęszył - krzyczał żołnierz.

Nie zwlekając ani chwili, całą grupą puścili się galopem w stronę widocznej w oddali ruiny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Słyszała, jak ktoś wymawia słowo „kostnica”. Zesztywniała ze strachu, z sercem w gardle ściągnęła wodze Kastora i zmusiła, żeby się zatrzymał. Ben gwałtownie drapał drzwi szopy, aż w końcu ustąpiły, i wbiegł do środka.

- Justin tam jest - zawołała z rozpaczliwą pewnością. - Wiem, że tam jest.

- Zobaczymy - odpowiedziała spokojnie Mary, zsiadając z konia.

Sarah także zsunęła się z siodła; nogi jej tak drżały, że musiała się przytrzymać rzemienia uprzęży.

- Trzymaj. - Mary wcisnęła jej do ręki wodze swojego wierzchowca. - Zostań tu i... pilnuj koni, kiedy będę w środku. - Zaraz jednak dodała łagodniejszym tonem: - Może psu wcale nie chodzi o niego.

Sarah jednak uważała inaczej. Ben musiał wyczuć coś szczególnego. Przecież po drodze mijał mnóstwo ciał i nie okazywał im żadnego zainteresowania. Nie szczykałby z takim ożywieniem bez powodu.

Jej brat był w tej szopie. Tam, gdzie teraz wchodziła Mary - zdecydowanym krokiem, spokojna i dzielna.

Myśl, że zaraz ma zobaczyć Justina, swojego silnego, władczygo brata leżącego bez życia... Czarna rozpacz przygniała jej piersi, dusiła w gardle... I uświadamiała jej z całą mocą, jak bardzo jest bezużyteczna. Mieli rację ci wszyscy, którzy opisywali ją jako słabą, bezmyślną pannę, z której nie ma żadnego pożytku. Przyjeżdżając w to miejsce, przysporzyła jedynie kłopotu innym. Gussie i Blanchards pewnie się o nią zamartwiali, a Mary zażądała obietnicy, że nie będzie przeszkadzać. Nabierała coraz większej pewności, że albo zaraz zemdleje, albo zwymiotuje.

Nie mogła sobie na to pozwolić w obecności ludzi Justina. Tylko kilku z nich zostało z Mary w środku, reszta wyszła znów na zewnątrz, jak podejrzewała Sarah prawdopodobnie po to, by mieć na oku ich zaskakująco dorodne wierzchowce.

Po lewej stronie miała na wpół rozwalony mur, gdzie mogła się schować, gdyby żołądek ostatecznie odmówił jej posłuszeństwa. Wówczas Mary również nie musiałaby być świadkiem jej słabości. Gdyby tylko zdołała dotrzeć do tego miejsca...

Udało się w ostatniej chwili. Wychylenie się poza najniższą, najbardziej zniszczoną część muru okazało się zbyt dużym wyzwaniem zarówno dla nóg lady Sarah, jak i dla jej żołądka. Nie znalazła też pożądanego odosobnienia, ponieważ wśród gruzów krzątała się gromada wieśniaczek, które odkopywały częściowo zasypane ciało, żeby je okraść.

Nagle pojawienie się Sarah sprawiło, że zastygły w bezruchu na moment, by zaraz powrócić do przerwanych czynności. Uznały, że wymiotująca gwałtownie dama nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia, i zerkając na nią pogardliwie, dalej zdierały ubrania ze zwłok wyciągniętych wcześniej z rumowiska.

Nagle pozornie martwy człowiek, którego kobiety próbowały przetoczyć na bok, żeby łatwiej ściągnąć koszulę, wydał z siebie potężny ryk, aż zaskoczone ze stra-

chem się rozpierschły.

Sarah z wrażenia otworzyła usta, kiedy w ślad za okrzykiem popłynął strumień najgorszych przekleństw. Zdumiała ją nie tyle plugawość słów, co fakt, że zostały wypowiedziane po angielsku. Kurtka, którą wieśniaczki zdarły mężczyźnie z pleców, miała niebieski kolor, więc Sarah zakładała, że jest Francuzem. Tymczasem nie dość, że musiał być Anglikiem, to jeszcze wykształconym, sądząc po modulacji głosu.

Bez wątpienia miała przed sobą oficera.

Próbował pozbierać się na nogi; twarz i ramiona miał dosłownie oblepione krwią.

Sarah odruchowo także się podniosła, choć właściwie nie wiedziała, co powinna zrobić. Dopóki nie zobaczyła noża w dłoni jednej z wieśniaczek.

- Nie! - Zacisnęła dłoń na kamieniu, stanowiącym kiedyś część skruszonego muru, i nie myśląc o ewentualnych konsekwencjach swego czynu, cisnęła nim w kobietę, która już zaczęła się zbliżać do rannego oficera. Nie mogła przecież tak po prostu stać i pozwolić, by szabrowniczki go dobiły!

Nie mogła dopuścić do tego, by na jej oczach kogoś zabito.

- Zostawcie go - krzyknęła, rzucając kolejnym kamieniem.

Złość i obrzydzenie sceną, która się przed nią rozgrywała, zamieniła wypełniając ją jeszcze przed chwilą bezbrzeżną rozpacz w gniew. Kobiety znieruchomiały i patrzyły na nią podejrzliwie. Ranny mężczyzna także odwrócił głowę w jej stronę, kiedy się odezwała.

Wyciągnął do niej rękę.

- Ratuj mnie - jęknął, po czym zachwiał się i zaczął wolno pochyłać do przodu.

O nie! Sarah wiedziała, że jeśli upadnie i wyląduje twarzą w błocie, skończy równie fatalnie, jak po ciosie nożem. Rzuciła się ku niemu z rozpostartymi ramionami, jakby chciała go złapać. Rzecz jasna, okazał się za ciężki, by mogło jej się to udać. Upadła na plecy, przygnieciona do rozmiękłego gruntu na wpół obnażonym rannym oficerem. Czuła, że nieszczęśnik nadal oddycha, choć nie miała pewności, jak długo to potrwa, bo pazerne wieśniaczki czaiły się w pobliżu, a ona nie mogła się ruszyć.

Sytuacja wymagała szybkiego działania, na jakiekolwiek myślenie o dumie i przyzwoitości po prostu nie było czasu. Odchyliła głowę i zaczęła wołać o pomoc, ile tchu w płucach.

Niemal natychmiast rozległo się znajome donośne szczekanie. Na widok Bena, który na przemian ujadał i szczyrzył kły, kobiety uciekły w popłochu.

Zadowolony z siebie pies polizał Sarah po twarzy, a potem zaczął z uwagą obwąchiwać leżącego na niej człowieka.

Przed ucieczką szabrowniczki zdążyły ograbić rannego ze wszystkich części odzienia poza spodniami i jednym butem, więc Sarah zobaczyła, że całe plecy ma ciemne od siniaków. Przesiąknięte krwią włosy kleiły mu się do czaszki, a z paskudnego rozcięcia nad czołem nadal sączyła się cienka strużka. Nie miała pojęcia, jak w tym stanie zdołał przeżyć, ale z całą pewnością tliło się w nim życie.

Ben okazywał wielkie ożywienie niespodziewanym odkryciem. Szturchnął mężczyznę nosem, następnie odskakiwał od niego i głośno szczyrzył, po czym znów wracał i zaczynał go lizać, jakby dobrze go znał. Nagle do Sarah dotarło, że ludzie z oddziału Zabijaków Randalla mieli niebieskie mundury. A jej brat spoczywał kilka me-

trów dalej.

Czy to był jeden z jego żołnierzy?

Dobry Boże...! Justin nie chciał jej przedstawić żadnego ze swoich podwładnych, kiedy okazywała siostrzane zainteresowanie jego brygadą, tamtego dnia, podczas przeglądu wojsk sprzymierzonych gromadzących się wokół Brukseli. Oznajmił jej, że nie są dżentelmenami i nie życzy sobie, by miała z nimi cokolwiek wspólnego. Dowódca Gideona, pułkownik Bennington Ffog, posunął się nawet do tego, że nazwał ich wyrzutkami społecznymi. Obaj zapewne byliby wstrząśnięci, widząc ją rozciągniętą na ziemi pod jednym z nich.

Ledwie ta myśl powstała jej w głowie, usłyszała odgłos kroków i zaraz potem ujrzała, jak dwaj żołnierze z oddziału Zabijaków, którzy towarzyszyli jej i Mary, przeciskają się przez otwór w najniższej części muru.

Pierwszy z nich przyklęknął obok Sarah, której udało się podnieść do pozycji siedzącej, i bezceremonialnie, nawet jednym słowem nie pytając jej o zdanie, odwrócił rannego twarzą do góry, żeby mu się przyjrzeć.

- A niech mnie, jeśli to nie major - odezwał się, potwierdzając jej przypuszczenia.

- Skądże on się tu wziął? - wyraził zdumienie drugi.

- Skąd mam wiedzieć? Ostatni raz jak o nim słyszałem, odzyskał przytomność i wybierał się do szpitala polowego.

- No i poszedł w złą stronę - westchnął ponuro jego towarzysz. - Wygląda, że miał drugi raz do czynienia z Francuzami, bo inaczej skąd by się wziął pod tym murem?

- Szczęście, że pani tu podeszła, panienko. - Rozmawiali ze sobą, jakby jej tam w ogóle nie było, dopiero w tym momencie spojrzeli na nią z wyraźną wdzięcznością. - Nigdy byśmy się nie domyślili, że on tu jest.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie, ja naprawdę... - Przecież znalazła go tylko dlatego, że chciała ukryć swą słabość. Nie zasługiwała na żadne podziękowania.

- A jakże! to panienka odpędziła te hieny, które chciały dobić majora - włączył się drugi żołnierz, przykucając obok.

- To zasługa Bena - upierała się Sarah. Jej wieśniaczki w ogóle się nie bały.

- Ale to panienka go zawołała, nie?

No tak. Rzeczywiście, udało jej się zrobić tego dnia jedną dobrą rzecz.

- Poza tym uratowała go panienka przed utonięciem w tym błocie.

To też była prawda. Sarah poczuła się trochę lepiej. Dopóki sobie nie przypomniała, że zabrakło jej siły, by utrzymać rannego, i sama także wylądowała w błocie.

- Jak by na to nie patrzeć, uratowała panienka życie majorowi Bartlettowi - podsumował żołnierz z naciskiem.

- Majorowi Bartlettowi? - Opuściła wzrok na głowę oficera, którą przytrzymała oburącz. To nieszczęsne, poranione i posiniaczone ciało należało do majora Bartletta? Przecież był taki przystojny...

Przypomniała sobie, jak stał oparty o drzewo, z kurtką munduru przerzuconą przez ramię i przyglądał jej się, kiedy przejeżdżała konno w towarzystwie Gideona, tamtego dnia, kiedy poznała jego nazwisko. Nie mogła się wówczas powstrzymać i zerknęła na niego ukradkiem, zaciekawiona ostrzeżeniem, które wygłosił na jego temat Justin.

Zastanawiała się wówczas, co też ów przystojny oficer mógł zrobić na tyle naganego, że Justin zabronił jej nawet z nim rozmawiać. A major Bartlett, jakby wyczuwając jej skrywane zainteresowanie, uśmiechnął się do niej promiennie. I mrugnął porozumiewawczo.

Och, tamtego dnia wyglądał jak młody lew, skąpany w słońcu, z grzywą złotych loków opadających na szerokie czoło. Był taki... żywy.

Podobnie jak jej brat bliźniak Gideon, kiedy go ostatni raz widziała. Wypinał pierś przed lustrem i ze śmiechem opowiadał, jak to pięknie będzie się prezentował na polu bitwy. Przekonywał Sarah, że nie powinna się martwić, bo Francuzi, zamiast do niego strzelać, będą podjeżdżać i pytać, gdzie sobie obstalował tak świetnie uszyty mundur.

Bliska płaczu zastanawiała się, czy ktoś podtrzymał głowę umierającemu Gideonowi, czy padł twarzą w błoto, bo jedyna kobieta znajdująca się w pobliżu za bardzo się martwiła o swoją reputację, żeby mu przyjść z pomocą...

Oczy zaszły jej łzami.

Żołnierz z ich eskorty odchrząknął, wyraźnie zakłopotany.

- Nie ma co płakać, panienko. Dobrze się panienka spisała, prowadząc nas tutaj.

- A jużci, uratowała panienka jego i swojego brata - dodał szybko ten drugi, równie przestraszony perspektywą oglądania kobiecych łez.

- Uratowałam? Mojego brata? - Zamrugnęła gwałtownie. Nie mogli mówić o Gideonie, bo go nie znali. Musieli więc mieć na myśli Justina. - Wasz pułkownik... czy on...?

- Dostał kulę, ale panna Mary mówi, że zna kogoś, kto może go wyleczyć.

- Och, dzięki Bogu. I dzięki Bogu, że Mary mu pomoże.

- A jużci, dobrze się zajmuje jego lordowską mością. - Ruchem głowy wskazał na szopę. - Bez dwóch zdań.

- Może panienka tu zostać i mieć majora na oku, a my poszukamy jakiegoś sposobu, żeby zabrać jego i pułkownika do Brukseli?

Dobre sobie, niby gdzie miałyby pójść, skoro nie mogła się ruszyć, przygwożdżona do ziemi bezwładnym ciałem nieprzytomnego mężczyzny?

Musiała jednak udzielić odpowiedzi, bo wciąż przykucnięci patrzyli na nią wyczekująco. Czyżby naprawdę sądzili, że spróbuje się wydostać spod majora i zostawi go leżącego w kałuży błota?

Nagle sobie uświadomiła, że właśnie tego by się po niej spodziewała większość ludzi, którzy ją znali. I tego by od niej żądał Justin.

A przecież nie zostawiłaby w takim położeniu nawet psa. W istocie nie zostawiła. Poprzedniego dnia, widząc Bena, którego rozpoznała jako ulubieńca całego regimentu, uwięzionego pod przewróconym wozem, bez wahania wczołgała się pod spód, żeby go odwiązać od złamanej osi. Najpierw uspokoiwszy przestraszone zwierzę kawałkami kiełbasy. Żołnierze Randalla nigdy nie porzucali w potrzebie swoich towarzyszy broni. Nie przynależała do nich poza tym, że była siostrą lorda Randalla, ale skoro nie odwróciła się plecami do psa, tym bardziej nie porzuciłaby jednego z jego oficerów. Zresztą to drugie zadanie wydawało jej się łatwiejsze, ponieważ oficer był nieprzytomny i w żaden sposób jej nie zagrażał, natomiast oszalały ze strachu pies mógł ją pogryźć.

- Oczywiście, że z nim zostaną - zwróciła się do żołnierzy. - Poradzę sobie - dodała buńczucznie, choć czuła, jak strój do konnej jazdy, który miała na sobie, nasiąka wilgocią i plecy drętwieją jej z zimna. W końcu cóż jej się mogło stać od spędzenia kilku następnych minut w błocie? Miała końskie zdrowie. A swoją elegancką aksamitną amazonkę po wcześniejszych przygodach, jakie w niej przeżyła, i tak już spała na straty.

Przynajmniej chroniła tego zmaltretowanego biedaka przed kolejną niewygodą. Żołnierze wymienili spojrzenia i równocześnie się podnieśli.

- Pies zostanie na straży - powiedział jeden z nich, po czym wydał czworonogowi stosowną komendę.

Ben natychmiast przyjął pozycję waruj, z głową opartą na wyciągniętych przednich łapach.

- Znajdziemy jakiś środek transportu, proszę się nie martwić - obiecali żołnierze i zniknęli za murem.

Sarah bynajmniej nie martwiła się tym, w jaki sposób sama wróci do Brukseli. Pomocy potrzebował przede wszystkim ranny oficer. I jej brat Justin...

Dobry Boże, chybaby się wściekł, pomyślała, widząc ją w tym momencie. Nawet Gideon ją ostrzegał, żeby się trzymała z dala od majora Bartletta. A Gideon, jak to Gideon, przynajmniej wyjaśnił swoje stanowisko.

- Chociaż raz zgadzam się z Justinem - stwierdził poważnie, zauważywszy uwodzicielskie mrugnięcie majora skierowane do Sarah. - Jest takim niepoprawnym kobieciarzem, że przezywają go Kocurem. Znalazł się tak wcześnie rano na Allée Verte, bo zapewne wymykał się z łóżka swojej najnowszej zdobyczy.

Usłyszawszy, że Bartlett ma opinię rozpustnika, od razu wyrzuciła go z pamięci. Nie znosiła rozpustników. I nie zamierzała z własnej woli się do niego zbliżać.

Westchnęła ciężko. I proszę, oto siedziała na ziemi, trzymając na kolanach jego głowę, i porównywała go ze swoim ukochanym bratem Gideonem.

Serce jej się ścisnęło. Biedak musiał być w fatalnym stanie, skoro sądził, że ona może mu pomóc. Pewnie postradał zmysły...

- Wszystko w porządku, panienko?

Żołnierze wrócili, sprawiali wrażenie bardzo z siebie zadowolonych.

- Zdobyliśmy jeden z tych francuskich wozów do przewożenia rannych - oznajmił pierwszy. Drugi tylko ściągnął brwi i szturchnął swego kompana w bok.

Wielkie nieba! Bez wątpienia ukradli ambulans. Cóż, w końcu czego miałyby się spodziewać, skoro zdaniem Gideona ludzie Justina nie stronili od rabunku i rozboju?

- Nie można go zwyczajnie przerzucić przez siodło, panienko. Człowiek z raną w głowie jak nic by nie przeżył takiego wstrząsu. - Ten bardziej rozmowny poczuł się zobowiązany do wyjaśnień.

- Tak, oczywiście. Rozumiem - odparła z łagodnym uśmiechem, który pozwalał jej wybrnąć z wielu niezręcznych sytuacji. Zadziałał i tym razem. Żołnierze nie próbowali jej wtajemniczać w żadne dalsze szczegóły.

Ściągnęli majora Bartletta z jej nóg i przenieśli na wóz czekający po drugiej stronie muru. Zrobili to o wiele delikatniej, niż można by oczekiwać od ludzi, którzy nie przebierali w słowach, a do tego zapewne nie wahali się przed aktem przemocy, byle zdobyć odpowiedni pojazd do przewiezienia swoich oficerów do Brukseli.

Sarah była przekonana, że zwróci się do Mary, by doglądała rannych w czasie podróży, a następnie zapewniła im opiekę, mogła więc uznać, że major Bartlett zostanie na dobre zabrany z jej rąk.

Opuściła wzrok na swoje dłonie i aż się wzdrygnęła. Przypomniała sobie, że niedaleko szopy, za kępą sitowia, płynie mały strumyk, gdzie mogłaby je umyć. Udała się tam i zanurzyła ręce w zimnej wodzie. Zmywając plamy krwi, zastanawiała się, co należy zrobić. Zakładała, że Gideon nie żyje, choć nadal nie mogła się z tym pogodzić. Justin jej nie potrzebował, mogła mieć pewność, że Mary zajmie się nim znacznie lepiej. Poza tym, kiedy już dojdzie do siebie, widok siostry tak go rozzłości, że natychmiast znów mu się pogorszy. Nie chciał, żeby przyjeżdżała do Brukseli, kazał jej wyjechać, natychmiast i bez dyskusji.

Nie pozostawało jej nic innego, jak wrócić do Antwerpii i się wytłumaczyć. Ramiona jej opadły, kiedy sobie wyobraziła minę Blanchardsa; sama czuła się winna, że martwiła jego biedną żonę, na którą należało chuchać i dmuchać. Na początku małżeństwa Gussie przeżyła dwa poronienia, a później długo nie mogła zająć w ciążę. Nic więc dziwnego, że markiz Blanchards był wobec niej niesłychanie opiekuńczy, skoro wreszcie zaistniała szansa, że doczeka się upragnionego dziedzica. A Sarah poważnie nadwerężała jego cierpliwość, jeszcze zanim uciekła. Nie miał nic przeciwko zabraniu jej do Paryża, kiedy Gussie zaproponowała taką wycieczkę. Zaczęło się, kiedy Napoleon uciekł z Elby i przeważająca część elity pospiesznie wróciła do Anglii, jako że we Francji zrobiło się niebezpiecznie. Zaczął koso na nią patrzeć, bo uważał, że Gussie nie wyrывałyby się tak ochoczo do Brukseli, gdyby bliźniak Sarah tam nie stacjonował. Teraz mogła mieć pewność, że nic go nie powstrzyma przed wysłaniem jej do Anglii, z powrotem pod skrzydła mamy. W dodatku z taką opinią, że mama wyda ją za pierwszego kandydata, który się nawinie, niezależnie od tego, co Sarah będzie o nim myśleć. Z drugiej strony, jakież to miało znaczenie, kogo jej wybiorą na męża? Bez Gideona i tak miała żyć tylko połową życia, gdziekolwiek i z kimkolwiek.

Z opuszczoną głową, brnąc przez błoto wróciła pod rozwalony mur.

- Panienska już gotowa? - odezwał się jeden z żołnierzy, stojący z tyłu wozu z rękami splecionymi na szerokiej piersi.

Zadarła podbródek i gestem poprosiła, by zrobił jej przejście, po czym oznajmiła:

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę powiadomić Mary, że wracam do Antwerpii, by mogła przekazać tę wiadomość Justinowi, kiedy pułkownik już dojdzie do siebie.

- Do Antwerpii? - powtórzył, nie kryjąc zdziwienia.

- Owszem. Gdyby pan zechciał przyprowadzić mojego konia...

W odpowiedzi mężczyzna mruknął coś pod nosem i posłał jej nieprzychylny spojrzenie.

Sarah, nie przejmując się jego gburowatym zachowaniem, podeszła do wozu, żeby zajrzeć do środka.

Zobaczyła jedynie majora Bartletta.

- Chwileczkę, zanim pan pójdzie po mojego konia... - powiedziała, choć nic nie wskazywało, by zamierzał spełnić jej wcześniejsze życzenie. - Może mi pan powiedzieć, dlaczego tu nie ma Justina? I gdzie jest panna Endacott?

- Panna Endacott uparła się, że nie możemy ruszać pułkownika - warknął. - Jesz-

cze przez jakiś czas.

- Ale major wymaga opatrzenia. Natychmiast! Przeleżał tu już całą noc z otwartą raną. Ktoś musi go umyć i założyć szwy.

Miała zamiar zostawić obu rannych pod opieką Mary. Tylko czy znajdzie ona czas, żeby zrobić cokolwiek dla majora Bartletta, skoro Justin był w tak kiepskim stanie, że nie dało się go nawet ruszyć? Poza tym major błagał o pomoc. Ją, Sarah. Nie piękną i praktyczną Mary. Nie mogła tak po prostu odjechać, skazując rannego na niepewny los. Miałyby go porzucić z nadzieją, że ktoś inny mu pomoże? Niezależnie od tego, jakim był człowiekiem, nie zasługiwał na takie potraktowanie. Mógłby przecież umrzeć pozostawiony sam sobie. A tego by nie życzyła nikomu.

Starając się odrzucić myśl, że właśnie tak mógł zakończyć życie jej brat bliźniak, wdrapała się na tylną część wozu.

- Zostanę z majorem, dopóki nie dowieziemy go do lekarza - oznajmiła wyraźnie zaskoczonemu żołnierzowi.

Widziała wcześniej prowizoryczne szpitale polowe rozstawiane na rogatkach od strony Namur. Ranni ciągnęli tam, albo kuśtykając o własnych siłach, albo przyniesieni przez sanitariuszy, żeby skorzystać z pomocy medycznej jeszcze w czasie trwania bitwy.

- W takim razie przyprowadzę konia panienki - zdecydował. - Nie ma co tu zostawiać takiego ładnego zwierzęcia. Ktoś mógłby go ukraść.

Przyprowadził nie tylko Kastora, ale też dwa wierzchowce, na których przyjechali, i przywiązał wszystkie do wozu.

Jego towarzysz, oparty nonszalancko o burtę wozu, pokiwał głową.

- Po bitwie strasznie się szerzy rozmaite złodziejstwo - stwierdził tonem znawcy. - Nawet sobie panienka nie wyobraża.

- O, doprawdy? - odparła takim głosem, że obaj odwrócili głowy w jej stronę, a potem wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Proszę posłuchać, panienko - zaczął ten, którego w myślach nazwała Pierwszym Zabijaką. - Droga jest fatalna. Choćbyśmy nie wiem jak ostrożnie jechali, i tak będzie trzęsło. Musi panienka mu przytrzymywać tę pokiereszowaną głowę, żeby się nie wykończył.

- My obaj musimy siedzieć z przodu... - uzupełnił wyjaśnienia Drugi Zabijaka - ... żeby nikomu się nagle nie wydało, że może nam świsnąć ten wóz dla swoich rannych.

Zagrożenie wydawało się całkiem realne, zwłaszcza że sami zrobili dokładnie to, o czym mówił.

- Boże uchroni - odpowiedziała Sarah, przywołując na twarz swój sprawdzony rozbijający uśmiech, po czym usadowiła się w odpowiednim miejscu.

Kątem oka widziała, jak Pierwszy Zabijaka siada na koźle i chwyta lejce, a Drugi zajmuje miejsce obok niego z muszkietem na kolanach.

Miała nadzieję, że Ben wskoczy za nią do wozu, ale wolał biec obok, szczerząc zęby i warcząc na każdego, kto miał czelność zanadto się zbliżyć.

Sarah miała wrażenie, że powrót do Brukseli trwał o połowę krócej niż wyjazd z miasta. Prawdopodobnie dlatego, że skupiła się bez reszty na zapewnieniu majo-

rowi względnego komfortu, więc ominęły ją widoki i zapachy, które wcześniej tak bardzo ją poruszyły.

Niemniej pielęgnowanie nieprzytomnego człowieka, żeby dodatkowo nie ucierpiał przez trudy podróży, wcale nie było łatwym zadaniem. Wóz wprawdzie miał resory, ale tylko częściowo łagodziły one wstrząsy na zrujnowanej drodze. Za każdym razem, gdy wpadali w szczególnie głęboką koleinę, głowa majora Bartletta podskakiwała, mimo że Sarah z całych sił starała się ją podtrzymać.

Szybko doszła do wniosku, że najlepiej będzie uklęknąć na dnie wozu, objąć majora za szyję i przygarnąć go do swoich kolan. W pierwszej chwili śmiałość takiego rozwiązania przyprawiła ją o rumieniec, ale zaraz skarciła się w duchu za przesadną wstydlivość. Ostatecznie miała do czynienia z nieprzytomnym od ran, ciężko uszkodzonym człowiekiem. Biedak nawet nie wiedział, czego dotyka nosem. Wyobraź sobie, że to Gideon, pomyślała, żeby dodać sobie odwagi.

Na wspomnienie brata łyzy zapiekły ją pod powiekami. Zamrugła szybko, to nie był odpowiedni moment na smutek i żal. Gideon już jej nie potrzebował, ale temu człowiekowi mogła pomóc. Jakimś cudem udało mu się przeżyć. Więc mimo że nie znalazła Gideona, jej poszukiwania nie poszły całkiem na marne. Jedynie tym drobnym, praktycznym gestem mogła stawić opór fali śmierci, która zabrała jej ukochanego brata. Zagryzłszy zęby, objęła zakrwawioną głowę majora Bartletta i przycisnęła do siebie ostrożnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

W szpitalu polowym, do którego w końcu dotarli, panował chaos.

Sarah wysiadła z wozu, po czym podeszła do siedzących na koźle Zabijaków.

- To wygląda okropnie - powiedziała, wskazując na ludzi z potwornymi obrażeniami zajmujących każdy skrawek ziemi. Jęczeli z bólu, a nad ich otwartymi ranami brzęczały roje much.

- Co racja, to racja, panienko - przyznał Pierwszy Zabijaka. - Medycy są za bardzo zajęci odcinaniem rąk i nóg tym biedakom, których próbują uratować, żeby zwracać uwagę na takich, którzy leżą bez ruchu i głosu, jak nasz major. Tych zostawiają na później. A jak w końcu przychodzi ich kolejka, to już nic im nie może pomóc.

- Nie możemy tu zostawić majora - stwierdziła, przerażona tym, co zobaczyła. - Znacie jakiś inny szpital? Mam na myśli normalny, porządny szpital. Gdzie otrzymałby taką pomoc, jakiej potrzebuje?

Pierwszy Zabijaka podrapał się z chrzęstem po brodzie.

- Szpitale w mieście są przepełnione. Sam widziałem, jak układali rannych w parku i na poboczach ulic. I to było, zanim wyjechaliśmy. Bóg jeden wie, jak jest teraz.

- No dobrze, a może by go zawieźć tam, gdzie mieszkał? Jego służący mógłby chyba pomóc? - Kamerdyner Justina, Robbins, zawsze się nim opiekował w chorobie. Wiedziała to od Gideona.

- Ten człowiek padł w boju - odparł szorstkim tonem Drugi Zabijaka. Użył określenia, które słyszała wcześniej u Justina, kiedy mówił o swoich żołnierzach.

- W takim razie co mamy z nim zrobić? - Nawet jej nie przyszło do głowy, żeby wsiąść na Kastora i odjechać. Nie wiedzieć czemu miała poczucie, że jeśli pozostawi majora na łasce Opatrzności, skaże go na niechybną śmierć.

I w pewien sposób splami tym pamięć o Gideonie.

- Panienska ma opatrunki i różne medykamenty w tej swojej torbie - odezwał się Drugi Zabijaka.

- Skąd...?

- Zajrzałem - wszedł jej w słowo, a widząc jej wahanie, zapewnił zaraz ze wzruszeniem ramion: - Niczego nie wziąłem.

- To jasne jak słońce, los zesłał panienkę, żeby uratowała naszego majora - powiedział Drugi. - Jeśli panienska się nim zaopiekuje, to ma szansę się wylizać.

- Ja? Ale... - Pomyślała o ranach pokrywających całe jego ciało, zwłaszcza o tej największej, na głowie.

Na twarzach żołnierzy pojawiło się rozczarowanie. I niechęć. Założyli z pewnością, że jako dama nie zamierza się zniżyć do ich poziomu.

- Chyba mogłabym spróbować - powiedziała ostrożnie. - W końcu choćby najmniejsza pomoc jest lepsza niż nic, prawda?

- Przyjrzałem mu się, kiedy go ładowaliśmy na wóz - podchwycił Drugi Zabijaka. -

Czaszka jest cała. Panienska mogłaby go pozszywać lepiej niż jakiś doktor. Poza tym potrzebuje tylko pielęgnacji.

- I dużo picia - włączył się Pierwszy. - No i oczyszczenia wszystkich ran.

- Pomożemy paniencie. Przy podnoszeniu, przewracaniu na boki i w ogóle.

W ich ustach brzmiało to bardzo prosto. Brzmiało tak, jakby świetnie się nadawała do opieki nad ciężko rannym człowiekiem.

Serce zabiło jej żywiej. A może rzeczywiście była do tego zdolna? W końcu obiecali, że jej pomogą. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że już dotąd wiele zrobiła, o wiele więcej, niż ktokolwiek by się po niej spodziewał. Dojechała do Brukseli całkiem sama, podczas gdy wszyscy uciekali z tego miasta. Uratowała warczącego i kłapiącego zębami Bena spod przewróconego wozu. Nie posłuchała huzarów, kiedy ją ostrzegali, że Francuzi zajmą Brukselę, i to ona miała rację. Stawiła nawet czoło żadnym łupów wieśniaczkom, które chciały zabić biednego majora Bartletta. A do tego przejechała przez zasłane trupami pole bitwy i w ogóle nie zemdląła.

No i rzeczywiście całkiem nieźle posługiwała się igłą, a choć nigdy dotąd nikogo nie pielęgnowała, uważnie słuchała każdego słowa Bridget, ponieważ wierzyła, że przyjdzie jej się opiekować rannym Gideonem. Naparem z nagietków należało przemywać rany, żeby nie ropiały. Maść z żywokostu goiła rozcięcia. A herbatka z suszonych ziół, lepsza w smaku od tej z wierzbowej kory, skutecznie obniżała gorączkę.

Biedny Gideon nie potrzebował jej wiedzy o leczniczych środkach ani żadnej pomocy, ale los tego oficera spoczął w jej rękach, również dosłownie. Błagał ją, żeby go ratowała... Nie miał nikogo innego. Był samotny, podobnie jak ona.

Zacisnęła usta w wyrazie stanowczości. Może major Bartlett o tym nie wiedział, ale miał ją... bo postanowiła mu pomóc.

- Dobrze więc - powiedziała, wdrapując się z powrotem do wozu. - Zrobię, co w mojej mocy. Zabierzemy go tam, gdzie mieszkam.

Zaczęła już udowadniać, przynajmniej samej sobie, że nie jest kruchą bezradną panienską, zdaną na znalezienie mężczyzny, który by się nią zaopiekował, choć właśnie za kogoś takiego uważała ją cała rodzina. Teraz miała okazję również im pokazać, że nie potrzebuje męskiej opieki. Wręcz przeciwnie!

Z dumnie uniesioną głową podała żołnierzom adres, po czym znów uklękła, żeby wziąć w objęcia głowę majora Bartletta i przez resztę podróży chronić ją przed wstrząsami.

Wkrótce znaleźli się pod domem przy Rue de Regence, przenieśli majora na nosze, w które wóz był wyposażony, i zapukali do drzwi.

- Och, milady! - zawołała madame Le Brun. - Więc jednak pani znalazła swojego brata?

Mężczyźni trzymający nosze spojrzeli na nią, a potem zgodnie skierowali wzrok przed siebie, zachowując kamienne oblicza.

Sarah zamrugała.

Poprzedniego wieczoru, kiedy pojawiła się w tym miejscu wystraszona i w opłakanym stanie, ściskając z całych sił wodze Kastora, powiedziała madame Le Brun, że uciekła z Antwerpii, by szukać brata bliźniaka, ponieważ słyszała wiadomość, że

zginął, ale w nią nie uwierzyła. Wyjaśniła, że wróciła do poprzedniego miejsca zamieszkania, ponieważ nie wiedziała, gdzie mogłaby przenocować w sytuacji, gdy wynik wciąż trwającej bitwy nie był jeszcze przesądzony. Dom, w którym lord Blanchards wynajmował apartament, gdy Bruksela stanowiła centrum spotkań kosmopolitycznego towarzystwa z wyższych sfer, znajdował się poza tą najbardziej szykowną częścią miasta, ale był porządnie utrzymany i cieszył się dobrą opinią. A madame Le Brun traktowała swoich gości z macierzyńską wręcz troską.

Myśl, że miałyby w tym momencie okłamać zacną gospodynię, wydała się Sarah wstrętna. Nie znosiła kłamców i sama unikała mijania się z prawdą. Zawsze jednak uważała, że kłamstwo to jedno, a pozwalanie ludziom, by sami wyciągali dowolne wnioski, to drugie. Zwłaszcza w sytuacjach, gdy wyznanie całej prawdy mogło niebezpiecznie skomplikować sytuację.

- Odniósł poważne obrażenia - odparła, zręcznie pomijając kwestię tożsamości rannego. - Zamierzam osobiście sprawować nad nim opiekę, więc najlepiej będzie położyć go w moim pokoju. To znaczy w tym, który zajmowałam poprzednim razem, gdy tu byłam. - Posłała gospodyni słaby uśmiech, po czym zwróciła się do żołnierzy: - Proszę go ostrożnie wносить po schodach.

W tym momencie Ben pojawił się jak na zawołanie i odwrócił uwagę od niewygodnego tematu, próbując się dostać do środka.

- O nie, na to nie pozwolę - wykrzyknęła madame Le Brun, machając groźnie na psa, który od czasu, gdy go ostatnio widziała, pokrył się dodatkową warstwą błota. - Do stajni! Tam jest miejsce zwierząt.

Benowi nie spodobało się, że ktoś chce stanąć pomiędzy nim i trzema przybranymi członkami jego stada, którzy wchodzili już po schodach na piętro. Wyszczерzył zęby i zaczął warczeć na gospodynię. W powstałym zamieszaniu mężczyźni pośpiesznie wnieśli rannego do dawnego pokoju Sarah, unikając dalszych kłopotliwych pytań. Kiedy dołączyły do nich Sarah i Le Brun, opędzając się z krzykiem od kłapiącego zębami Bena, major Bartlett spoczywał już na wygodnym panieńskim łóżku swej opiekunki.

- *Madame* - odezwała się ugodowo Sarah - może później zdecydujemy, co zrobić z psem, który jak sama pani widzi, jest bardzo przywiązany do swojego pana. Teraz potrzebujemy dużo czystego płótna, gorącej wody i ręczników.

Choć nigdy wcześniej nie zajmowała się ranną osobą, nie ulegało dla niej wątpliwości, że należy zacząć od dokładnego umycia pacjenta.

- Płótno, gorąca woda i ręczniki - powtórzyła madame Le Brun, po czym przeżegnała się szybko, zerkając na zakrwawione ciało. - Ale to psisko...

- Tak, tak. Obiecuję, że nim też się zajmę. Nie będzie pani przeszkadzał. Ale teraz proszę... - Przybrała błagalną minę.

- Dobrze, milady. Chociaż muszę powiedzieć, że moim zdaniem brudne zwierzę nie powinno przebywać w pomieszczeniu z tak ciężko rannym...

- To właśnie pies go znalazł - odezwał się Pierwszy Zabijaka.

- W istocie wiele Benowi zawdzięczamy - potwierdziła Sarah.

Madame Le Brun, narzekając pod nosem na brudnego, wściekłego czworonoga, który wdarł się do jej domu, w końcu opuściła pokój.

Sarah nie mogła wprost uwierzyć, że wygrała tę potyczkę. Przecież nie dalej jak

poprzedniego wieczoru zrejterowała do stajni, ponieważ gospodyni nie wpuściła Bena do domu, a poza tym bała się, że ktoś z uciekających z Brukseli przed Francuzami może próbować ukraść jej konia. Nie miała śmiałości prosić madame o coś więcej poza kocem oraz papierem i atramentem. Tymczasem teraz zdołała wprowadzić do swojego pokoju nie tylko psa, ale i rannego oficera.

Z wrażenia aż zakręciło jej się w głowie.

Otrzeźwiała w okamgnieniu, widząc, że żołnierze zaczynają zdejmować z majora ubranie. Jedyne ocalały but zdążyli mu już ściągnąć z nogi. Ben od razu pochwycił zębami cholewkę i przeniósł but na chodnik przed kominkiem, skąd obserwował całe towarzystwo, zabawiając się gryzieniem miękkiej skóry.

- Pewnie panienka zechce wrócić po te swoje medykamenty - odezwał się mrukliwie Pierwszy Zabijaka z rękami na zapięciu spodni majora. - A my go w tym czasie umyjemy.

- Tak, tak, oczywiście - podchwyciła nienaturalnie piskliwym głosem Sarah. Następnie odwróciła się i szybko wyszła z pokoju, wdzięczna swym pomocnikom za podsuniecie wygodnego rozwiązania.

Na korytarzu przytknęła dłonie do rozpalonych policzków. Nogi jej się trzęsły, ale nie zamierzała wpadać w histerię tylko dlatego, że niewiele brakowało, by zobaczyła mężczyznę bez spodni.

Nieco chwiejnie, zeszła po schodach, trzymając się poręczy. Miała świadomość, że będzie musiała się przyzwyczaić do takich widoków, jeśli w ogóle ma być użyteczna jako pielęgniarka. Co więcej, będzie musiała złamać praktycznie każdą z zasad, których wcześniej tak gorliwie przestrzegała. Zawsze tak bardzo ceniła swoją reputację, że nie rozstawała się z przyzwoitką, nawet idąc do pokoju wypoczynkowego dla pań podczas balu. Nie mogła uwierzyć, że dopiero co kazała dwóm rzeźmieszkom umieścić osławionego pułkowego hulakę w swoim pokoju, ba, w swoim łóżku.

Dobry Boże, co by ludzie na to powiedzieli? Tak naprawdę doskonale wiedziała... gdyby się dowiedzieli. No tak...

Wyprostowała ramiona i przemaszerowała przez podwórze do stajni. Należało zadbać o to, żeby nikt nie usłyszał o jej poczynaniach, bo w przeciwnym razie mogło się rozpętać prawdziwe piekło. Na szczęście całe plotkarskie towarzystwo znane jej z Londynu uciekło z Brukseli przed wojną. Wiele tych najbardziej wścibskich osób widywała w Antwerpii. A nawet jeśli ktoś został w mieście, to przecież madame Le Brun myślała, że major Bartlett jest jej bratem.

A co do Justina... Zagryzła wargę; przyszło jej do głowy, że nieborak może wciąż leżeć w zrujnowanej szopie, zbyt poważnie ranny, żeby dać się ruszyć, a co dopiero myśleć o poczynaniach młodszej siostry. Właściwie, jeśli cały czas był nieprzytomny, mógł nawet nie wiedzieć, że wróciła do Brukseli. Trochę zawstydzona tymi samolubnymi kalkulacjami pochyliła głowę i odmówiła w duchu krótką, lecz serdeczną modlitwę za starszego brata.

Natychmiast jej ulżyło; wiedziała, że brat jest w najlepszych rękach, a kiedy zacznie dochodzić do siebie, Mary na pewno nie wspomni mu o niczym, co mogłoby go zdenerwować i tym samym zakłócić rekonwalescencję.

Zabrała torbę ze środkami medycznymi i wróciła do domu, pełna troski o biedne-

go majora. Żałowała go tym bardziej, że był skazany na jej opiekę; przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby jej za osobę zdolną do pełnienia tak odpowiedzialnej posługi, jak pielęgnacja poważnie rannego człowieka. Zwątpienie we własne możliwości kazało jej się zatrzymać przed wejściem do pokoju; w środku czekało ją mnóstwo różnego rodzaju wyzwania, a wszystkie mieściły się w nagim, bezradnym ciele rannego żołnierza.

Przytknęła czoło do drzwi. Postanowiła już, że nie będzie dłużej osobą, dla której zasady moralności przeważają nad koniecznością ratowania życia. Mimo to niełatwo jej było przekroczyć próg, za którym czekali na nią dwaj nieokrzesani wojacy i goły mężczyzna.

Może należało postrzegać to pomieszczenie jako tymczasową salę szpitalną, a nie swoją dawną sypialnię? A w majorze Bartlecie widzieć jedynie ciężko poszkodowanego człowieka, a nie niebezpiecznego rozpustnika, w dodatku rozebranego do rosołu? Po prostu pacjenta. Tak... – przytaknęła sobie w duchu. Takie nastawienie wydawało się zdecydowanie lepsze. To, że była kobietą, której kiedyś zabraniano nawet z nim rozmawiać, teraz nie miało znaczenia. Obecnie była jego opiekunką, nikim więcej.

To postanowienie ułatwiło jej odzyskanie spokoju na tyle, by w końcu zapukać do drzwi. Usłyszawszy mrukliwe zaproszenie, weszła do środka i popatrzyła na mężczyznę, który leżał w jej łóżku, a raczej „zajmował miejsce na szpitalnej sali”. Wystarczyło cały czas o tym pamiętać, by dowieść, przede wszystkim samej sobie, że nie jest już dawną wychuchaną panienką, która we wszystkich osobnikach przeciwnej płci widziała niebezpieczeństwo, lecz potrafi być sprawną, użyteczną pielęgniarką.

Poza tym obiecała obu Zabijakom Randalla, że zrobi, co w jej mocy, by pomóc ich majorowi.

Pod jej nieobecność madame przyniosła wodę i ręczniki, a żołnierze zrobili z nich dobry użytek, sądząc po zakrwawionej stercie na podłodze.

– Nie jest z nim aż tak źle, jak na to wyglądało – odezwał się Pierwszy. – Ma mnóstwo siniaków i rozcięć na plecach po tym, jak mur się na niego zawalił, ale żadna kość nie jest złamana. Czaszka też w całości.

– On chyba rzeczywiście ma dziewięć żyć jak ko... – urwał w pół słowa, ale Sarah i tak wiedziała, co chciał powiedzieć.

Cóż, może zyskał przezwisko nie tylko z powodu swych nocnych hulanek. Może odnosiło się też do jego większego niż przeciętnie szczęścia?

– Im prędzej się go pozszywa, tym lepiej – powiedział szybko Pierwszy, jakby chciał odciągnąć jej uwagę od reputacji rannego i skupić ją na niezbędnych dla jego zdrowia zabiegach. – Rozcięcie na głowie sięga aż do kości.

Obaj patrzyli na nią wyczekująco. Uprzedzali ją przecież, że nie obejdzie się bez szycia.

– Ja... – Przycisnęła dłoń do piersi. Mimo że powtarzała sobie w duchu, że pokaże, co potrafi, teraz, kiedy przyszło co do czego, serce łopotało jej ze strachu. W takim momencie mama z pewnością spodziewałaby się po niej ataku hysterii albo co najmniej łez bezsilności.

– Da panienska radę – próbował jej dodać odwagi Drugi Zabijaka. – Paniencie przyj-

dzie to łatwiej niż nam z naszymi niezdarnymi paluchami – dodał z przekonaniem.

– Sama nie wiem – wydukała, zawstydzona własną nieporadnością.

– Będziemy panience mówić, co ma robić. I przytrzymamy majora na wypadek, gdyby się ocknął.

O tak, to było konieczne. Ból spowodowany ukłuciami igły mógł go nagle wyrwać z letargu. W końcu już raz miał przebłysk przytomności, kiedy szabrowniczki zdierały z niego koszulę.

– Nie mogę...

– Da panienska radę – powtórzył Drugi Zabijaka.

Uśmiechnęła się słabo.

– Chciałam powiedzieć, że nie mogę was dłużej nazywać w myślach Zabijaką Pierwszym i Zabijaką Drugim, jakbyście byli bohaterami sztuki teatralnej. Musicie się jakoś nazywać? Ja jestem lady Sarah. – Wyciągnęła rękę do Pierwszego. – Bardzo mi miło.

– Dawkins, milady – odpowiedział, ściskając delikatnie podaną dłoń.

– A ja Cooper – przedstawił się Drugi i tylko skinął głową, ponieważ w prawej ręce trzymał nożyczki. – Trzeba zacząć od obcięcia mu włosów, tak krótko, jak się da, wokół tego rozcięcia od szabli – stwierdził.

– Od sz-szabli?

– Na oko to musiała być kawaleryjska szabla – potwierdził Cooper. – Tylko nią można człowieka ogłuszyć i tak rozplatać głowę, a wszystko jednym machnięciem.

Nie zwymiotuję, za nic w świecie nie mogę zwymiotować, powtarzała sobie w duchu Sarah.

– Jak sądzicie, może by wolał, żebym mu przystrzygła wszystkie włosy? – powiedziała z udawaną swobodą, starając się skierować rozmowę na lżejszy temat.

– Na to będzie czas, jak mu się trochę poprawi, panienko.

Racja, ale podtrzymywanie rozmowy zmniejszyło ryzyko, że zaraz zemdleje albo nie powstrzyma mdłości, które ją ogarniały na myśl o tym, co ma zrobić.

– Tak, oczywiście. – Odcięła kosmyk posklejanych włosów. Teraz, pokryte warstwą kurzu i ciemnymi skorupami zaschłej krwi, nie wyglądały ładnie, ale pamiętała je, rozświetlone słońcem, tamtego dnia na Allée Verte. Nigdy by nie pomyślała, że kiedyś będzie ich dotykać, w jakichkolwiek okolicznościach.

– Możemy go spytać, jaką by wolał fryzurę, kiedy już trochę dojdzie do siebie, prawda? Można by nawet wezwać cyrulika, żeby jakoś poprawił to, co ja teraz robię. – Zaśmiała się trochę piskliwie, a potem głośno przełknęła ślinę. – Niesamowite, czego potrafi dokonać profesjonalny fryzjer. – Ciach. – Nawet z włosami takimi jak moje. – Ciach, ciach. – Z natury są zupełnie proste. Zanim mama pozwoli mi wyjść z domu, muszę się poddawać bardzo kosztownym zabiegom przy użyciu różnych specyfików i gorącego żelazka. A już przygotowanie do balu zajmuje mi tyle czasu, że zyskałam przez to opinię wyjątkowo próżnej.

Im też musiała się taka wydać, skoro paplała o układaniu fryzury w takim momencie. Tylko że zajęcie myśli zabiegami upiększającymi i balami pomogło jej trochę okiełznać rozedrgane nerwy.

– Chyba już wystarczy, panienko – ocenił Cooper. Wyjął jej z ręki nożyczki i podał igłę z nitką.

- Dzi-dziękuję. - Usta jej zdrętwiały, twarz z pewnością przybrała trupio blady odcień, ręce się trzęsły.

Miała wbijać tę igłę w ludzkie ciało? Zamknęła oczy. Że też nie mogła ich trzymać zamkniętych, dopóki nie będzie po wszystkim...

Gdyby tak miała przy sobie Harriet, jej wszechstronnie wykształconą siostrę, która z pewnością wyrwałaby jej igłę z ręki, deklarując, że lepiej sama to zrobi, bo przecież wszyscy wiedzą, że Sarah nie nadaje się do tak odpowiedzialnych zadań jak opieka nad rannym.

Ale Harriet przy niej nie było. A nie mogła się wycofać z podjętego zobowiązania. Pokazałaby wówczas, że naprawdę jest taka słaba i tchórzliwa, jak wszyscy ją postrzegają. Wszyscy poza Gideonem. „Pokaż im”, niemal słyszała głos brata, „Pokaż im wszystkim, na co cię stać”.

- Za-zawsze zwycięzcy - mruknęła pod nosem. - To nasze rodzinne motto - wyjaśniła żołnierzom, którzy spoglądali na nią z wyraźnym niepokojem. Powtarzała sobie te dwa słowa przez całą drogę z Antwerpii. Dzięki temu nie stchórzyła i nie zawróciła. I mówiła je szeptem, jak modlitwę, skulona w stajni obok swojego konia, żeby dodać sobie otuchy.

- To jest też motto naszego oddziału - powiedział Cooper.

- No tak, oczywiście. - Wzięła głęboki oddech i założyła pierwszy szew. - Justin... to znaczy lord Randall, wasz pułkownik, zaczerpnął te słowa z naszego herbu. Po łacinie brzmią *Semper Laurifer*. Jak laur, prawda? A mamy w herbie właśnie laurowe liście. Myślę, że ktoś, kto wymyślił to motto, zrobił to ze względu na grę słów. Laur. *Laurifer*. Po jakiejś długiej i trudnej bitwie... Bo w naszej rodzinie zawsze byli żołnierze. I przypuszczam, że wiele moich poprzedniczek z rodu Latymorów musiało zszywać rany. Niemal czuję, jak patrzą mi teraz przez ramię i zachęcają mnie do podtrzymywania rodzinnej tradycji.

Paplała nienaturalnie wysokim głosem, bo recytowanie historii rodziny, wyobrażanie sobie herbowych barw i dostojnych przodków pomagało jej znieść widok poszarpanej skóry, w którą raz po raz wbijała igłę.

- Gideon mówił mi, że w przypadku waszego oddziału Justin... to znaczy lord Randall... stosował wszelkie możliwe środki prowadzące do zwycięstwa. Co wydaje się dość bezwzględne, nawet jak na niego. Trudno mi było uwierzyć w rzeczy, jakie opowiadał o czynaniach mojego wyniosłego, autokratycznego brata podczas kampanii na Półwyspie. Gideon z takim podziwem mówił o jego odważnych wyprawach za linię wroga, wysadzaniu różnych obiektów i powodowaniu ogólnego zamieszania.

- Pułkownik nazywał to wyprowadzaniem Francuzów w pole - wtrącił Dawkins.

- Stąd się wzięła nazwa Zabijaki Randalla - powiedziała Sarah, spoglądając na twarz nieprzytomnego majora. Towarzyszył wówczas Justinowi, robił te wszystkie rzeczy, o których Gideon opowiadał zielony z zazdrości. „Wiem, że mój regiment kawalerii prezentuje się znacznie bardziej elegancko”, zrzędził, „ale ileż bym dał, żeby mieć takich ludzi jak Justin. Chciałbym być właśnie takim dowódcą jak Justin”.

Starszy brat nie życzył sobie, by miała cokolwiek wspólnego z majorem Bartlettem, ale Gideon szczerze go podziwiał.

- Już prawie skończone, panienko - odezwał się łagodnym tonem Dawkins, kiedy na dłużej zatrzymała wzrok na twarzy majora. - Świetnie panience idzie.

- Tak - westchnęła drżąco. - Doszłam do wniosku, że skoro mężczyźni z mojej rodziny tak bardzo się starają żyć według motto wypisanego na herbie, to ja także mogę się postarać. To oznacza, że zrobię, co tylko będę mogła dla tego nieszczęśnika. Jeśli na przykład poczuję, że muszę wymiotować, zrobię to dopiero po zszyciu jego głowy.

- I bardzo dobrze, panienko - pochwalił Dawkins i uśmiechnął się.

Jakimś cudem mdłości całkowicie ją opuściły; na miękkich nogach odeszła od łóżka i z ulgą opadła na fotel. Tymczasem żołnierze obficie posmarowali świeży szew maścią żywokostową.

Sarah żałowała, że nie ma brandy. Wprawdzie jeszcze nawet nie знаła jej smaku, ale słyszała, że działa kojąco na nerwy. A to zdecydowanie by jej się przydało.

- Pójdziemy teraz po rzeczy majora - oznajmił Dawkins, kiedy już skończyli bandażować rannemu głowę.

- Słucham? - Chcieli ją zostawić samą z człowiekiem, który wyglądał, jakby lada moment miało ujść z niego życie? - Ale nie zabawicie długo, prawda?

- Nie, ale... - Znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dobry Boże, jaką wiadomość chcieli jej przekazać tym razem?

- Po jego rzeczy uwiniemy się migiem, panienko. Ale potem nie będziemy mogli tu zostać. Musimy się zameldować w jednostce.

Serce w niej zamarło. Kiedy obiecywali, że jej pomogą, wyobrażała sobie, że chodzi o czas, aż do pełnego wyzdrowienia majora. Tymczasem zamierzali tylko go wnieść do jej mieszkania i umyć. Cóż, w końcu nie byli cywilami, którzy mogą swobodnie dysponować swoim czasem. Gdyby się nie zameldowali swoim dowódcem, mogliby zostać uznani za dezertersów.

- Tak, oczywiście, rozumiem.

- Jemu teraz trzeba już tylko pielęgnacji. A z tym sobie panienska poradzi. Nawet lepiej, niż ktoś inny.

Podierwała się na nogi.

- Ale... ja nigdy nikogo nie pielęgnowałam. Nigdy. Nie to, żebym się chciała wycofywać, tylko... nie wiem, co mam robić. - Splotła dłonie, żeby nie było widać, jak bardzo się trzęsą.

- To, co będzie trzeba.

- Ma panienska zioła na obniżenie gorączki, to trzeba zaparzyć i go napoić.

- Gorączki? - powtórzyła niepewnie.

- Przeleżał całą noc w błocie, z otwartą raną. Z pewnością będzie gorączkował.

- Jeśli napar nie pomoże, trzeba go przemyć letnią wodą.

- A jak zacznie drzeć, to go okryć.

Po raz pierwszy w życiu miała sobie radzić sama, bez pomocy pokojówki, lokaja czy kogokolwiek innego.

Cóż, wiecznie narzekała, że nikt w nią nie wierzy. Teraz dostała szansę pokazania, na co ją stać. Miałaby lamentować, że zadanie przerasta jej możliwości? O nie! Zamierzała wziąć się w garść i sprostać wyzwaniu.

- Podawać lekarstwo, obmyć go, jeśli będzie za gorący, przykryć, jeśli zmarznie - wyrecytowała nieco drżącym głosem. - Coś jeszcze?

- Gospodyni na pewno ma jakiegoś służącego, który mu pomoże... w naturalnych

potrzebach.

No tak, oczywiście. W domu było kilkoro służby, co oznaczało, że nie będzie tak do końca zdana tylko na siebie.

- Powiemy też wojskowemu chirurgowi, gdzie jest major, żeby mógł przyjść go obejrzyć.

Nie kryła, że ten pomysł bardzo jej się podoba.

- Ale nie sądzę, żeby zrobił coś, czego panienka sama by nie mogła zrobić - ostudził jej entuzjazm Dawkins.

- I niech panienka nie da się przekonać, że major powinien trafić do szpitala - dodał z przejęciem Cooper. - Tam by o niego tak dobrze nie dbali.

Słowa Coopera zabrzmiały jak komplement pod adresem Sarah. Popatrywał na nią koso za każdym razem, gdy ogarniała ją słabość. W istocie jego postawa działała na nią mobilizująco, podobnie jak łagodne zachęty Dawkinsa. Ilekroć bowiem Cooper patrzył tak, jakby wątpił w jej możliwości, rosła w niej determinacja, by mu pokazać, że podoła zadaniu, którego się podjęła.

Dlatego słysząc z jego ust pochwałę świadczącą o zaufaniu, poczuła dumę i radość.

- Nie zawiodę was - obiecała. - Nie zawiodę majora - poprawiła się szybko.

Żołnierze skłonili jej się na pożegnanie i wyszli.

- Wielkie nieba - westchnęła, opadając z powrotem na fotel. - W co ja się wpakowałam?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Działa umilkły. Bitwa dobiegła końca. Wygrana albo przegrana. Na poboju zostali tylko martwi i umierający. I kruki. Całe stada kruków. Dziobały go po plecach. I po głowie...

Nie! Żeby się od nich opędzić, zamachał ramionami. I zdziwił się, że w ogóle może nimi ruszać. Wcześniej nie mógł nawet drgnąć, jakby go już pochowali. Przygniatały go kamienie, mnóstwo kamieni, tak, że ledwie dawał radę oddychać.

Kto go wydobył z tego grobu? Sam nie mógł się uratować, choć próbował. Wyteżył wszystkie siły, ale skutek był taki, że tylko zlał się potem i na powrót zapadł w ciemność.

Pod ziemią byłby jednak bezpieczniejszy. Kruki nie mogłyby już wbijać w niego szponów. Ani dziobów.

- Włóżcie mnie z powrotem do ziemi - jęknął błagalnie.

- Proszę nie opowiadać głupot - odpowiedział mu zniecierpliwiony głos.

- Ale jestem martwy. - Poprzez dzwonienie w uszach słyszał, jak inne potępione dusze wokół niego błagają o litość. I o wodę. Bo na skraju otchłani panował okropny żar.

A może to proch zalepił mu usta i nozdrza i dlatego wszystko cuchnęło siarką?

- Więc to kruki, nie demony? - Z początku sądził, że są zjawami, prześlizgującymi się bezszelestnie pośród rozsianych wokół niego innych ciał. Widział jednak błyski noży, uciszających jęki niedobitków. Ci, co je trzymali, wydali mu się bardziej podobni do ludzkich hien szukających łupów na opuszczonym polu bitwy niż do wysłaników szatana. Kimkolwiek byli, wbijali w niego swoje ostre pazury.

- Nie ma tu żadnych kruków - powiedział ten sam głos co wcześniej. - Demonów też nie ma. Jestem tylko ja. I Ben.

Coś chłodnego przejechało mu po czole. Wyciągnął rękę i zacisnął. Poczł ludzką dłoń. Drobną, miękką i lekko drżącą.

- Nie pozwól, żeby mnie zabrali. Zasłużyłem na piekło. Ale, proszę... - Sam nie wiedział, dlaczego to mówi. Nikt nie mógł go uratować. Już wcześniej błagał o litość, jak wszyscy pozostali. A raczej błagałby, gdyby mógł wydobyć z siebie głos. Zrozumiał wtedy, że nie będzie mu dane wyrazić tej ostatniej prośby. Miał zostać tam na zawsze, przygnięciony do ziemi, rozmyślać o wszystkich grzechach, jakie popełnił, wspominać ludzi, których zabił, i żałować swych występków powodowanych skłonnością do rozpusty.

- Nikt pana nie zabierze. Nie pozwolę na to.

Szukając wzrokiem źródła głosu, zobaczył twarz. Twarz anioła. Anioła... którego znał. To była...

Rozdzierający ból głowy nie pozwalał na żaden wysiłek umysłu. Wiedział tylko tyle, że znał te rysy.

No tak, błagał ją, żeby go ratowała. Słyszał wtedy śpiew ptaków i pomyślał, że nie

może być martwy, bo przecież w piekle nie śpiewają ptaki. A skoro nie był martwy, to istniała też nadzieja.

Ona tam była. To ona przepędziła te paskudne czarne kruki. Odleciały, machając swoimi wielkimi brzydkimi skrzydłami, a on wpadł w jej ramiona...

Nie pamiętał, co nastąpiło potem. Musiała go jakoś stamtąd zabrać, wtulonego w fałdy aksamitu, miękkie jak pióra.

Była aniołem? Nie znajdował żadnego innego wyjaśnienia. Piękne kobiety nie pojawiały się zniecka na polach bitew, żeby zabierać stamtąd umierających.

Czyli jednak od początku miał rację...

- Leciałaś? - Jak inaczej miałyby go przenieść tu, gdzie się znajdował? W końcu była aniołem, a anioły miały skrzydła. Ale nie czarne, jak krucze, tylko niebieskie. W bladym odcieniu błękitu, jak niebo umyte deszczem.

- O mój Boże... - chlupnęła anioł.

- Dlaczego płaczesz? Nie jestem wart tego, żeby po mnie płakać.

- Nie płaczę. - Anioł głośno pociągnął nosem.

- Skoro nie żyję, to dlaczego wciąż mnie tak boli? - jęknął. - Słuchaj, oni wiedzą, że moja dusza należy do ich pana. Dlatego mnie szarpia swoimi szponami. Może powinnaś pozwolić, żeby mnie zabrali. Nie ma co płakać.

- Nie! To nie żadne szpony. Jesteś ranny. Proszę, wypij jeszcze trochę. Ulży ci w bólu.

Wsunęła mu ramię pod kark, uniosła głowę i przytknęła kubek do jego ust.

Jeszcze trochę? To znaczy, że już wcześniej go poila? No tak, przypomniał sobie, że marzył o czymś do picia, a nikt inny nie mógł tego zrobić. Nikogo innego nie obchodził jego los.

- Tak bardzo dokuczało mi pragnienie... - A teraz był zmęczony. Zbyt zmęczony, żeby pić. Albo mówić czy nawet myśleć.

To była najdłuższa noc w życiu Sarah. Ranny leżał bezprzytomnie, dopóki żołnierze nie zostawili jej z nim samej. Od momentu, gdy drzwi się za nimi zamknęły, nie miała chwili spokoju.

Nie winiła go za to, że rzucał się na łóżku, chciał pić, męczyła go gorączka albo dolegało mu coś innego. Po prostu opieka nad osobą w takim stanie wiązała się z odpowiedzialnością, która ją przerastała. Za jednym razem wypijał najwyżej dwa łyki leczniczego naparu. Przecieranie go gąbką pomagało najwyżej na parę minut. I to tylko z początku, bo później gorączka wzrosła, zaczął mamrotać dziwne rzeczy o piekle, demonach i rzucać głową po poduszce, jakby się próbował wydostać spod jakiegoś wielkiego przygniatającego go ciężaru.

A już naprawdę mocno się wystraszyła, gdy zwracał się do niej tym dziwnym głosem i mówił niestworzone rzeczy. Uspokajał się tylko, kiedy odpowiadała mu tonem normalnej rozmowy. Zapewniała go, że jeszcze nie trafił do piekła, niezależnie od tego, czy na to zasługiwał, czy nie. I obiecywała, że nie pozwoli mu umrzeć. Obiecałyby mu dosłownie wszystko, byle leżał cicho i dał jej się choć trochę przespać. Była taka zmęczona... Poprzedniej nocy, spędzonej w stajni, prawie nie zmrużyła oka ze strachu. Jeszcze wcześniejszej też nie spała, załamana wiadomością o śmierci Gideona.

Mimo to, kiedy madame Le Brun weszła, żeby spytać, jak się miewa jej brat, i wyraziła gotowość zastąpienia jej na chwilę przy łóżku chorego, Sarah nie potrafiła na dłużej go opuścić.

Z zadowoleniem się posiliła, jako że przez cały dzień nic nie jadła. Możliwość umycia się i zmiany ubrania także poprawiła jej samopoczucie. Jednak gdy tylko zadbowała o swoje najbardziej podstawowe potrzeby, natychmiast zaczęła się znów martwić o majora.

Wracając do pokoju, żeby zmienić madame Le Brun na posterunku, doszła do wniosku, że nie powinna nazywać swego podopiecznego w myślach wojskowym stopniem. Gdyby naprawdę był jej bratem, używałaby jego imienia... Zdawało jej się, że słyszała, jak nazwano go Tomem. Prawda wkrótce i tak musiała wyjść na jaw.

Nagle otworzył oczy.

- Tak mi gorąco... Jesteś pewna, że...

- Całkowicie pewna. Nie jesteśmy w piekle, tylko w Brukseli. - Zamoczyła ręcznik w ustawionej na stole miednicy z letnią wodą i przetrła mu twarz, szyję i pierś. Nie sądziła, by to wiele pomogło; wydawał się jeszcze bardziej rozpalony niż wcześniej.

- Ale jesteś moim aniołem stróżem? - spytał z nadzieją. Zaraz potem jęknął i pokręcił głową na boki. - Niemożliwe. Tacy dranie jak ja nie zasługują na anioła stróża.

- Każdy ma swojego anioła stróża - zapewniła go pośpiesznie. - Niezależnie od tego, czy na niego zasługuje.

Jeśli rzeczywiście tak było, akurat przypominała anioła, jakiego by przydzielono komuś takiemu jak major Bartlett. Anioła, który nie całkiem wiedział, co robi, i panicznie bał się odpowiedzialności. Nedorastającego do swojej roli.

Nawet ubranie miała z drugiej ręki. Madame Le Brun uparła się, że nie można pielęgnować chorego w zabłoconej amazonce, i pożyczyła jej strój jednej ze swoich pokojówek. Jeanne była niższa od Sarah - w istocie niewiele kobiet dorównywało jej wzrostem - i miała okrągłą figurę. Nic więc dziwnego, że suknia wisiała na Sarah i jednocześnie była na nią za mała. Doskonale ilustrowała jej sytuację, w której wszystko wyglądało nie tak, jak trzeba.

Że też musiała wyjeżdżać z Antwerpii w takim pośpiechu... Nie spakowała nawet koszuli nocnej. Z irytacją otarła z policzka pojedynczą łzę. Jak mogła płakać z powodu głupiej koszuli nocnej, kiedy biedny major Bartlett... no tak, miała go nazywać w myślach Tomem, walczył o życie?

Tak naprawdę chodziło o wydarzenia ostatnich kilku dni, nie o brak odpowiedniego stroju. Od czasu balu u księżnej Richmond przenosiła się z miejsca na miejsce w stanie bliskim paniki, zostawiając po drodze swoje rzeczy.

Chciało jej się płakać, kiedy myślała o licznych kufrach wypełnionych ubraniami, które kupiła podczas krótkiego pobytu w Paryżu. Wszystkie stały stłoczone w jej niewielkim pokoju w Antwerpii.

Gdyby mogła napisać do Gussie i poprosić, by przysłano jej rzeczy do Brukseli... Niestety, to nie wchodziło w grę. Po pierwsze, nie chciała, by Gussie знаła jej prawdziwe miejsce pobytu i wiedziała, co się z nią dzieje, bo na pewno by się zamartwia-

ła. Poza tym, zamiast wysłać kufry, wysłałaby Blanchardsa z misją sprowadzenia Sarah do bezpiecznego miejsca, czyli ich domu. A to z kolei oznaczało, że biedny Tom byłby zdany na opiekę obcych ludzi. No cóż, właściwie ona też była dla niego obcą osobą, ale przecież osobiście prosił ją o pomoc. Nie madame Le Brun czy kogoś innego. Nawet nie Mary Endacott.

I wpatrywał się w nią nieruchomym, lekko szklistym spojrzeniem, jakby była jego jedyną nadzieją.

- Wypij to - poprosiła, przytykając mu do ust kubek z ziołowym naparem. Posłuszny jak owieczka rozchylił wargi i przełknął parę łyków.

Ufał jej. Nie obchodziło go, że nie ma żadnego doświadczenia w pielęgnowaniu rannych. Przez gorączkę nawet nie zauważał, w co jest ubrana. Tamtego dnia w parku zachowywał się zgoła inaczej, okiem znawcy ocenił jej nową amazonkę uszytą przez Odette, zdolną modniarkę, której zakład odkryły przy małej uliczce odchodzącej od Place de la Monnaie.

Wielkie nieba! W poprzednim tygodniu złożyła u Odette zamówienie, ale w piątek Blanchards w takim pośpiechu zabierał je na barkę płynącą do Antwerpii, że nie zdążyła odebrać gotowych wyrobów. Odstawiła pusty kubek na stolik przy łóżku i patrzyła, jak Tomowi sennie opadają powieki. Cały czas myślała o strojach czekających na nią w zakładzie. Bez trudu mogła napisać do modniarki, poprosić o niezwłoczne przysłanie uszytych rzeczy i dołączyć listę innych, których potrzebowała, na przykład pończoch i halek. Bez wątpienia mogła się spodziewać wysokiego rachunku, ale ostatecznie nigdy nie musiała się martwić o pieniądze. Justin, jako głowa rodziny, zajmował się takimi sprawami. Sarah pozostawało wysyłanie rachunków do osoby, która akurat dbała o zaspokajanie jej życiowych potrzeb. W tym momencie tę rolę pełnił Blanchards.

Uśmiechając się kwaśno na wspomnienie szwagra, podeszła do biurka i zapaliła lampę. Otrzymała już od niego wiadomość w odpowiedzi na swój list, w którym wyjaśniała, dlaczego musiała nocować w stajni, z Kastorem w sąsiednim boksie i Benem u swych stóp. List Blanchardsa był tak oschły, że zmięta go i wrzuciła do pieca w kuchni, kiedy udała się tam, by podgrzać leczniczy napar. Blanchards całkowicie zignorował jej prośbę o zapewnienie Gussie, że ma się dobrze i że nie trzeba się o nią martwić. Oskarżał Sarah o nieczułość i narażanie ciężarnej siostry na niepotrzebne zgryzoty. Oczywiście nakazywał jej bezzwłocznie wracać i nie przyjmował do wiadomości, że to żal po stracie Gideona był powodem jej niecodziennego zachowania.

W ogóle nie powiedział Gussie, że jej siostra opuściła Antwerpię. Z przesadnej troski o stan żony skłamał, że Sarah przebywa u przyjaciół i „wkrótce wróci”. Wyobrażała sobie jego minę, kiedy zacznie otrzymywać rachunki od modniarki. Będzie wściekły, że nie usłuchała jego polecenia, a do tego przyjdzie mu maskować tę wściekłość przed Gussie, skoro nie powiedział jej, co się dzieje z Sarah.

Parsknęła kpiąco; należało mu się za to, że utrzymywał tajemnice przed żoną. Sarah uważała, że nie wolno oszukiwać ukochanej osoby, nawet w przekonaniu, że tak jest dla niej lepiej. Tak naprawdę udzielała szwagrowi cennej nauki.

A poza tym dawała dowód, że umie sobie radzić bez niego. I to radzić sobie całkiem dobrze.

Tom otworzył oczy i spojrzał na profil anioła, który maczał pióro w kałamarzu i pisał. Złote włosy lśniły tak samo jak aniołom, które widywał na prześwietlonych słońcem witrażach.

- Masz nawet aureolę - stwierdził.

Sarah gwałtownie uniosła głowę, tak zaskoczona, że aż pióro wypadło jej z dłoni.

- Przeszkadzam ci... To coś ważnego? - Oczywiście, że tak. Wszystko, co pisał anioł, musiało być ważne. - Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać. To tylko lista.

- Lista? Moich grzechów? Wystarczy ci papieru?

Podeszła do niego. A raczej przyleciała na chmurze pachnącej fiołkami.

- Mam mnóstwo papieru, dziękuję za troskę.

Usiadła przy łóżku w wiklinowym fotelu, który lekko zaskrzypiał pod jej niewielkim ciężarem.

On leżał na łóżku. Ona siedziała w fotelu.

- Jakies dziwne to piekło - odezwał się, marszcząc czoło.

- Bo to nie żadne piekło. - Zaczynał już rozpoznawać jej nieco szorstki, rzeczowy ton. - Jesteśmy w Brukseli.

- Nie w piekle? Dlaczego?

- Lepiej wypij trochę tego - odparła krótko i podsunęła mu zioła.

- Co to jest?

- Poczujesz się lepiej.

- Wystarczy mi twój widok.

- Chciałabym, żeby tak było - przyznała. - Wtedy opieka nad tobą byłaby znacznie mniej pracochłonna.

- Dlaczego mi pomagasz?

- Ponieważ... Czuję się już za ciebie odpowiedzialna... Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś...

- Przecież uratowałaś mi życie - przerwał jej.

- Tym bardziej zależy mi, abyś wydobrzał - odparła.

- Naprawdę nie chcesz, żebym umarł?

- Oczywiście, że nie. Jak możesz nawet o to pytać?

- Chyba lepiej byłoby, żebym umarł. Nie mam po co żyć. Żyję z przyzwyczajenia.

- Z tego, co słyszałam, to chyba twoje jedyne przyzwyczajenie, którego nie powinienś się wyzbywać - powiedziała smutnym głosem, jej oczy zasły łzami.

- Przepraszam... Nie chciałem doprowadzić cię do płaczu.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, a potem znowu zapadł w czarną otchłań.

Kiedy się ocknął, nachylał się nad nim porucznik Foster. Znieruchomiał ze zdenerwowania. Znał tego człowieka. Uwielbiał odcinać kończyny swoim bezradnym ofiarom tylko po to, żeby obserwować ich reakcje. Co więcej, twierdził, że ich leczy. Już na samą myśl, że mógłby wpaść w ręce tego człowieka, Tom zlał się zimnym potem.

- Porucznik... - Skrzywił się. Jak brzmiało to nazwisko? A, Foster. - Aniele... Nie pozwól, żeby mnie pokroił.

Porucznik Foster wyprostował się i przeszył lady Sarah surowym spojrzeniem.

- Sama pani widzi, jaki jest zagubiony. Nawet nie wie, jakie nosi nazwisko. Wydaje mu się, że jest porucznikiem. Często tak się dzieje przy ranach głowy.

- Ale on wyzdrowieje, prawda?

- Trudno ocenić. Czasami wydaje się, że chory dochodzi do siebie, a tu nagle następuje gwałtowne pogorszenie i koniec - odparł, przez chwilę wyraźnie ożywiony. - Mózg to delikatny organ. Może pani jedynie dbać, by się nie ruszał, i zapewnić mu spokój. Resztę zrobi natura.

Chirurg rozejrzał się szybko po pokoju.

- Nie mogę dla niego zrobić nic poza tym, co pani już robi - oznajmił na koniec i wyszedł.

Sarah teraz rozumiała, dlaczego Cooper nalegał, by sama pielęgnowała majora. Nie powierzyłaby nawet psa temu rzeźnikowi o zimnym spojrzeniu.

Ben, jakby czytając jej w myślach, zaskamlał i szturchnął ją nosem.

- Powinieneś być w stajni - zwróciła się do psa z udawaną surowością, jednocześnie mierzwiąc mu sierść między uszami. - Pilnować mojego konia - dodała, choć Kastor nie potrzebował już tak ścisłego dozoru. Z tego, co mówiła madame Le Brun, odkąd rozeszła się wieść o ucieczce Bonapartego z pola bitwy, w mieście zapanał względny spokój. Dla Sarah była to dobra i zarazem zła wiadomość. Dobra, bo siły sprzymierzone ostatecznie rozprawiły się z Napoleonem, a zła w tym sensie, że gdyby ktoś z towarzystwa odkrył, że wróciła do miasta i mieszka w jednym pokoju z notorycznym hulaką, jej reputacja mogłaby poważnie ucierpieć.

- Oboje powinniśmy się ukrywać - powiedziała do Bena. - Inaczej wpadniemy w kłopoty. Ale nie mogę się na ciebie złościć, mądra psino, że wpadłeś tu za tym okropnym lekarzem. Czułam się dzięki temu pewniej. A teraz jestem wykończona.

Usiadła przy łóżku i zamknęła oczy. Pies położył jej głowę na kolanie, jakby chciał ją pocieszyć. Przez chwilę po prostu odpoczywała. Była bliska zapadnięcia w drzemkę, gdy Ben poskrobał ją po nodze.

- O co chodzi?

Nie musiał odpowiadać, bo natychmiast sama się zorientowała. Tom nie spał, patrzył na nią spod ściągniętych brwi z taką miną, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Czuła, że gorączka ustąpiła, bo jego oczy straciły wcześniejszą szklistość i nie miał problemu ze skupieniem wzroku w jednym punkcie. Na niej. Patrzył jak człowiek, który nagle obudził się w obcym miejscu i nie pamiętał, jak do niego trafił.

W odruchu troski przyłożyła mu dłoń do czoła. Nie, nie miał gorączki.

- Poszedł sobie? - Głos majora brzmiał chrapliwie, ale po raz pierwszy to, co mówił, miało sens.

- Lekarz? Owszem.

Złapał Sarah za rękę.

- Nie pozwoliłaś, żeby mnie zabrał. Dziękuję. - Zadrżała lekko, dostrzegając wyraz uwielbienia w jego zielonych oczach. Nic dziwnego, że cieszył się powodzeniem wśród kobiet.

- Oczywiście, że nie pozwoliłam. - Zaniepokoił ją lęk, który wojskowy chirurg budził w swoich pacjentach. Poza tym, skoro Tom odzyskał władze umysłowe, musiała bardziej uważać na swoje zachowanie.

- Obiecałam, że sama się tobą zaopiekuję.

Ścisnął jej rękę mocniej.

- Zawsze dotrzymujesz swoich obietnic?

- Tak, oczywiście.

Skrzywił się nieznacznie; prawdopodobnie w jego świecie nie było to wcale takie oczywiste. Miała świadomość, że nie powinna ani na chwilę zapominać, jakiego pokroju jest mężczyzną.

- Zatem mój los jest w twoich rękach.

- Owszem.

Westchnął i zamknął oczy.

- Dzięki Bogu - wymamrotał. Zaraz potem zasnął, jakby nagle wielki ciężar spadł mu z ramion.

Zaufał jej.

Sarah czuła, jak jej oczy stają się coraz cięższe, aż w końcu uległa i zapadła w drzemkę. Niedługo jednak zażywała snu, bowiem wkrótce rozległo się głośne pukanie do drzwi. Madame Le Brun przyniosła tacę z jedzeniem.

Sarah puściła dłoń Toma i przeciągnęła się, ziewając. Gospodyni zamaszycie postawiła tacę na stoliku przy łóżku.

- Ładnie pachnie - zachrypiął Tom. - Co to jest?

Sarah obejrzała zawartość tacy.

- Rosół, chleb. I wino.

- Życiodajny nektar - westchnął.

- O! On już nie śpi... - zauważyła madame - ...i chyba jest głodny.

- To dobry znak, nie sądzi pani? Musi oznaczać, że mu się poprawia.

- Owszem. Kawał chłopca z niego - rzuciła z uznaniem madame, zerkając na nagłotors Toma. Sarah odruchowo podążyła za jej wzrokiem. Po raz pierwszy od czasu bitwy pozwoliła sobie spojrzeć na majora jako na mężczyznę, a nie tylko ранnego. Oblała się rumieńcem zawstydzona nieskromnymi myślami, jakie wzbudzał w niej widok półnagiego ciała.

- Pomoże mi go pani posadzić? - zwróciła się do madame tonem udawanej obojętności. - Łatwiej będzie go nakarmić.

- Sam sobie poradzę - wymamrotał.

Starał się usiąść samodzielnie, ale zabrakło mu sił, więc we dwie oparły go o wysoko ułożone poduszki i łyżka po łyżce karmiły, aż syty i zmęczony zamrugał sennie.

- Jestem słaby jak kocię - wycharczał ze złością, kiedy pomagały mu się znów położyć.

- Ale gorączka spadła, więc lada chwila stanie pan na nogi - pocieszyła go dobroduszenie madame.

To była dobra wiadomość. Sarah mogła przyjąć, że niedługo przestanie mu być potrzebna. Nie będzie musiała przy nim siedzieć, obmywać chłodną wodą jego rozpalonej skóry ani okrywać go podczas ataku dreszczy.

Będzie mogła wyjechać, zanim ktokolwiek odkryje, że w ogóle miała do czynienia z majorem Bartlettem, i jej reputacja pozostanie nienaruszona. Będzie bezpieczna.

Tylko dlaczego znowu chciało jej się płakać?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Co za głupota, żeby tak siedzieć i płakać... Sarah bezradnie potrząsnęła głową; nawet nie wiedziała dokładnie, dlaczego leje łzy.

Zła na samą siebie wstała i przeszła do biurka. Uznała, że zamiast marnować czas na próżne żale, lepiej będzie się zająć odpisywaniem na listy.

Najpierw Gussie. Sarah zachowała się wobec niej niewłaściwie i pragnęła to naprawić. Przede wszystkim jednak nie chciała, żeby siostra się o nią zamartwiała.

Droga Gussie...

Gryząc koniec pióra, zastanawiała się co dalej; nie mogła przecież napisać: „Sprowadziłam do domu pewnego rozpustnika i mieszkam z nim w jednym pokoju. Ma tak fatalną opinię, że choć jest oficerem, Justin nigdy by mi go nie przedstawił”.

Oparła głowę na rękach. Musiał być jakiś sposób, żeby uspokoić siostrę, nie uciekając się przy tym do kłamstwa. A pozostawianie jej w pełnej nieświadomości, tak jak robił jej mąż, bardzo się Sarah nie podobało i w tym przypadku nie wchodziło w grę. Z drugiej strony, całej prawdy też nie mogła wyjawić.

Jestem w Brukseli, zaczęła. Mocno się zdenerwowałam, kiedy Blanchards powiedział mi o śmierci Gideona. Rzecz jasna mam świadomość, że Blanchards nie okłamałby mnie w takiej sprawie, ale przecież to tragiczne doniesienie mogło być pomyłką, czyż nie? W każdym razie czułam, że nie potrafię w nie uwierzyć, dopóki nie uzyskam jakiegoś dowodu. Dotarłam aż na pole bitwy, gdzie znalazłam Justina. Jest poważnie chory i wymaga stałej opieki.

To jej dawało powód do pozostania poza Antwerpią bez niepokojenia Gussie tym, co naprawdę robiła. Justin w istocie potrzebował stałej opieki, tyle że zapewniała mu ją Mary. Sarah otrzymała od niej krótką wiadomość, że udało się przewieźć Justina do jego mieszkania, gdzie Mary również zamieszkała, by móc go pielęgnować. Nawet gdyby Blanchards podejrzewał, że wiadomość nie zawiera całej prawdy, nie mógł ujawnić swych podejrzeń przed żoną, bo zależało mu przede wszystkim na jej zdrowiu.

Nagle zrodziła się w niej refleksja, że powinna była wszystko zawczasu dokładnie przemyśleć. Z dłonią przyciśniętą do czoła próbowała sobie przypomnieć po kolei wydarzenia, które nastąpiły po otrzymaniu od Blanchardsa wiadomości o śmierci Gideona.

Słowo „śmierć” wzbudziło w niej dreszcz. Jak mogła cokolwiek spokojnie rozważać w takiej sytuacji? Po prostu robiła to, co było konieczne. Nieszczęsny wojskowy lekarz był jedynym potencjalnym źródłem plotek, ale mógł jej zaszkodzić tylko, jeśli wiedział, kim ona jest.

- Aniele? Jesteś tam?

Słyszając chrapliwy głos Toma, Sarah poderwała się na nogi i szybko podeszła do łóżka. Pozwoliła, by ją tak nazywał trawiony gorączką, bo wówczas nie było sensu czegokolwiek prostować. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że nawet on jej nie zna.

Zapomniał, że już kiedyś ją widział, ponieważ nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Jestem. Pisałam listy.

Chwycił ją za rękę, jakby to mu miało uratować życie.

- Nie widziałem cię. Myślałem, że sobie poszłaś. Albo że tylko sobie ciebie wymyśliłem.

- Nie, nie wymyśliłeś mnie. I nigdzie się nie wybieram. Przynajmniej dopóki nie wydobrzejesz na tyle, by sobie poradzić beze mnie.

- W takim razie mam nadzieję, że nigdy nie wydobrzeję - powiedział głosem pełnym żaru. Wiedział, że wtedy jej rodzina zadba, by trzymać ją z dala od kogoś takiego jak on.

Skąd to wiedział?

Ponieważ wyobraźnia podsuwała mu obraz dziewczyny na koniu, która zarumieniła się, gdy do niej mrugnął. I strzępki słów jej towarzysza: „Chociaż raz zgadzam się z Justinem...”.

Do licha, miał poczucie, że zna tę kobietę, mimo że nigdy wcześniej z nią nie rozmawiał. To była ukochana, niewinna młodsza siostra pułkownika Randalla. Lady Sarah Latymor.

- Och, nie mów tak!

Po tonie lady Sarah można by sądzić, że naprawdę jej zależało, by wyzdrowiał. Cóż, chyba rzeczywiście tak było, skoro trwała przy nim i pielęgnowała go.

- Dlaczego nie, skoro to prawda?

- Ponieważ chcę, żebyś wyzdrowiał - oznajmiła z mocą.

No tak, oczywiście. Bo wtedy będzie mogła zniknąć z jego życia. Na zawsze. Myśl, że miałby jej więcej nie zobaczyć, wydała mu się tak okropna, że bezwiednie się skrzywił.

- Och, znowu cię boli? Chcesz lekarstwo, które zostawił wojskowy doktor?

- Wszystko mnie boli, a najbardziej głowa. Mam wrażenie, jakby ktoś mi próbował odciąć jej czubek.

- Rzeczywiście próbowali. Podam ci laudanum.

- Nie... jeszcze nie. Robię się od niego senny. A chcę... - Uścisnął jej dłoń, wdzięczny, że nie cofnęła ręki. - Porozmawiasz ze mną? Tylko przez chwilę.

- Dobrze. - Odwzajemniła uścisk, następnie usiadła i odchrząknęła, wyraźnie zakłopotana. - Pytanie może ci się wydać dziwne, ale wiesz, jak się nazywasz?

- Dlaczego o to pytasz?

- Chirurg sugerował, że możesz mieć kłopoty z pamięcią.

Bóg musiał jednak istnieć. Irytowała go własna niemoc, ale kiedy cieszył się pełnią sił, nie dane mu było się zbliżyć do lady Sarah. A teraz, proszę, trzymał ją za rękę, w dodatku w jej sypialni.

Z całą pewnością na to nie zasługiwał, jednak obiecał sobie, że zanim lady Sarah wróci na bezpieczne łono swej jakże szacownej rodziny, zrobi coś znacznie śmielszego: pozna smak jego ust.

- Chyba wolałbym zapomnieć o różnych rzeczach - wyszeptał chrapliwie.

- To znaczy, że nie wiesz, kim jesteś? - Nie udało jej się skryć przestachu.

Dopiero w tym momencie się przekonał, że widocznie jednak posiada coś takiego

jak sumienie, bo poczuł się nieswojo. Lady Sarah okazała mu życzliwość i pomoc, a on udawał.

Nie zamierzał jej uwodzić. Nigdy się nie wysiłał na tego rodzaju zabiegi wobec kobiet, nawet tych, które dawno zapomniały o niewinności. Po prostu, jeśli były chętne, brał je do łóżka, a jeśli nie, odchodził bez żalu.

Lady Sarah z całą pewnością nie byłaby chętna, ale nie mógłby od niej odejść. W ogóle nie mógł nigdzie pójść. Co więcej, gdyby się nagle obudził u boku ochoczej wdowy, nie byłby w stanie sprostać jej oczekiwaniom.

Lady Sarah była całkowicie bezpieczna.

Posłał jej słaby uśmiech, który miał świadczyć o kiepskim stanie jego umysłu oraz absolutnej niewinności.

- Czy muszę być kimś konkretnym? Nie możesz się do mnie zwracać po prostu...

- Uśmiech nabrał figlarności. - Po prostu „sir”.

Tak jak miał nadzieję, wyraz twarzy lady Sarah złagodniał, pojawiło się nawet na niej coś na kształt rozbawienia.

- No cóż, przynajmniej pamiętasz, że jesteś oficerem.

- Owszem - potwierdził. - I chyba lubię wydawać rozkazy.

- Pewnie byś chciał, żebym stawała na baczność i ci salutowała?

- Nie - odpowiedział szczerze. Nigdy od żadnej kobiety nie oczekiwał tak uległego zachowania. Chciał, żeby kobiety z nim były z własnej woli i chęci. Podobał mu się u nich entuzjazm, pomysłowość i...

Zaschło mu w gardle. Wyobrażanie sobie lady Sarah wykazującej entuzjazm i pomysłowość było doprawdy niebezpieczne.

- Tak naprawdę to chciałbym... - Opuścił powieki w wyćwiczonym powłóczyстым spojrzeniu, dochodząc do wniosku, że nie zawadzi trochę wybadać grunt. - Chciałbym, żebyś mnie pocałowała. Jako moja pielęgniarka chyba masz obowiązek mnie pocałować, żeby nie bolało?

Zarumieniła się, po czym gniewnie ściągnęła usta.

- Nie jesteś dzieckiem i nie należy to do moich obowiązków.

- W takim razie może byś to zrobiła dla przyjemności?

Ku jego zaskoczeniu nie zaprotestowała. Przyglądała mu się z zadumą z lekko pochyloną na bok głową.

Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, tylko dlatego że zastanawiała się, czy go pocałować. Miał wrażenie, że jego rana na głowie otworzy się, gdy go pocałuje, i spowoduje natychmiastową śmierć. Ale za to jaką...

- Zabij mnie... To znaczy pocałuj mnie, Aniele. Niech umrę szczęśliwy.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby poważnie rozważała jego prośbę. Wychyliła się do przodu na krześle, ale zaraz znów przycisnęła plecy do oparcia.

- Nie. To niestosowne. Nie wiesz, kim jesteś ani kim ja jestem. Nie wiesz nawet, co mówisz.

Do licha, pomyślał. Powinien był się przyznać, że z jego pamięcią wszystko jest w porządku wbrew temu, co twierdził lekarz.

Wyszarpnęła rękę, jakby dopiero w tym momencie sobie uświadomiła, że on wciąż ją trzyma.

- Poza tym chyba nie mówiłeś poważnie? Nie jestem typem dziewczyny, które

mężczyźni chcą całować.

- Co? Dlaczego tak mówisz? - Wcale by go nie zdziwiło, gdyby lady Sarah wymierzyła mu policzek za impertynencję, ale takiej uwagi nie spodziewał się.

- To chyba oczywiste! Czyżby uderzenie w głowę razem z pamięcią wybiło ci z niej także rozum?

- Możliwe - powiedział wolno. Najpierw miał zamiar poprzestać na niewinnym flircie, ale tym razem posunął się za daleko. Nic dziwnego, że lady Sarah wyglądała na obrażoną.

- Naprawdę chcę cię pocałować - wyznał. - I szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego uważasz, że inni mężczyźni tego nie chcą.

- Wystarczy na mnie spojrzeć. Na moją twarz, a zwłaszcza na nos. Moim braciom pasuje, bo jest arystokratyczny i męski, ale u kobiety... - Wzruszyła ramionami. - Tak czy inaczej, nie chcę, żeby mężczyźni mnie całowali. - Zadrzała, jakby ją przebiegł dreszcz odrazy.

W tym momencie do pokoju wpadł wielki czarny pies, oparł przednie łapy na materacu i zamasyście machając jęzorem, wylizał mu twarz.

- Wielkie nieba, to przecież nasza pułkowa maskotka - wykrzyknął, zapominając o swym udawanym zaniku pamięci. - Skąd się tu wzięłeś? - Poczochnął sierść na kudłatym łbie.

- Ben, zejdź - rzuciła ostro lady Sarah. - Tom jeszcze nie ma dość sił na takie zabawy.

Zatem знаła jego imię. A psa nazywała Benem, podobnie jak ludzie z oddziału od niedawna.

- Ktoś jednak chce mnie całować - powiedział ze śmiechem, spoglądając na zwierzę merdające radośnie ogonem. Zauważył, że lady Sarah zerknęła na jego usta z taką miną, jakby myśl o ewentualnym pocałunku wzbudzała w niej niechęć, ale zaciekawienie.

A to już było coś... na początek.

- Skąd to zwierzę się tu znalazło?

Zanim odpowiedziała, ujęła łeb Bena w obie ręce i spojrzała w psie ślepie tak czule, że Tom natychmiast poczuł coś na kształt zazdrości.

- W pewnym sensie uratowaliśmy się nawzajem w drodze na Soignes. Był przywiązany do jednego z wozów bagażowych, który się przewrócił, kiedy banda tchórzliwych huzarów uciekała z pola bitwy, tratując wszystko, co znalazła na swej drodze... Był bardzo wystraszony. Nie mogłam go tam zostawić.

Tom popatrzył na swą wybawczynię z szacunkiem. Mógł sobie wyobrazić, jak zachowywał się przerażony, uwięziony pod wozem pies. Pewnie kłapał zębami i warczał, rozpaczliwie próbując zerwać więzy. Nie znał człowieka, który by się odważył zbliżyć do Bena w takiej sytuacji.

Nie mógł się jednak odezwać ani tym bardziej przytaczać zdarzeń z udziałem psa, których był świadkiem, skoro rzekomo nie pamiętał nawet tego, kim jest. Z drugiej strony powitanie z Benem właściwie go zdradziło.

- A potem - mówiła dalej, głaszcząc gęstą czarną sierść - odpłacił mi za ratunek, odpędzając dezertera, który chciał mi ukraść Kastora... mojego konia... podczas gdy zajęta wpełzaniem pod wóz, spuściłam go z oczu. Dobrze się spisałeś - pochwa-

liła psa, klepiąc go po łopatce. – Dobry piesek.

Myśl o ryzyku, na jakie lady Sarah dobrowolnie się naraziła, ratując Bena, zmroziła mu krew w żyłach. Wczołgała się pod wóz, żeby pomóc najgroźniejszemu zwierzęciu, jakie znał, a do tego dezertier chciał jej ukraść konia? I mówiła o tym tak, jakby opowiadała o wyprawie do sklepu po nowe stroje. Czy nic nie było w stanie nią wstrząsnąć? Zmącić ten arystokratyczny spokój?

Pies sapał z zadowoleniem pod miękkim dotykiem jej dłoni. Tom na wszelki wypadek zacisnął usta, żeby się nie zdradzić z własnymi odczuciami.

– Od tamtej pory jesteśmy nierozłączni, prawda, Ben?

– Od tamtej pory? – powtórzył. Popatrzył w stronę okna na wpadające do pokoju smugi słonecznego światła. Miał wrażenie, że przeleżał w gorączce długie godziny, a nawet dni. – Od kiedy tu jestem? Jaki dziś dzień?

– Wtorek.

– Wtorek? – Zatem opiekowała się nim od dwóch dni. Nie aż tak długo jak na obrażenia, którym uległo jego ciało. Pragnienie i utrata krwi mogły go osłabić do tego stopnia, że nie wiedział, kim jest ani gdzie się znajduje, nawet bez uderzenia w głowę.

Ale co jej kazało przy nim czuwać? Skąd w ogóle się wzięła w Brukseli? Z tego, co słyszał, wszyscy cywile opuścili miasto w piątek.

I dlaczego nikt jej nie szukał?

Oderwał wzrok od okna, żeby na nią spojrzeć. Dostrzegł lekki rumieniec na policzkach. No tak! Doskonale wiedziała, że nie powinna być przy nim. Zwłaszcza odkąd odzyskał przytomność. Tymczasem nic nie wskazywało na to, by zamierzała odejść.

Dlaczego wciąż była przy nim? Gdyby mógł tak po prostu ją o to zapytać... Jednak gdyby to zrobił, postawiłby i ją, i siebie w sytuacji, z którą jeszcze nie był gotów się zmierzyć.

– Wiesz... – zaczął z żartobliwą powagą – ...skoro już ustaliliśmy, że jestem oficerem bez przeszłości i bez nazwiska, to nie mam ci nic do powiedzenia i to ty musisz podtrzymywać konwersację. – Odniósł wrażenie, że dostrzegł w jej oczach błysk złości. Jakby jej wytknął, że siedząc przy nim, łamie zasady, których zawsze tak sumiennie przestrzegala. – Poza tym lubię słuchać twojego głosu – przyznał z rozbrajającą szczerością. Nawet zaprawiony zniecierpliwieniem, przynosił mu ulgę w gorączce. W pewien sposób trzymał go przy życiu. – I do tego jestem za słaby, żeby się nadweręzać mówieniem. Będę leżał i słuchał, a ty mnie zabawiaj.

– Jesteś... nieprawdopodobnym impertynentem!

Bez namysłu przytaknął skinieniem.

– Owszem. A ty, kim jesteś, poza tym, że odgrywasz rolę mojego anioła stróża? Masz jakieś imię? Nie... – Uświadomił sobie, że jeśli poda mu swoje prawdziwe imię i nazwisko, ujawni swe pokrewieństwo z jego dowódcą. To znaczy, musiałby przyznać, że o nim wie... gdyby nie udawał zaniku pamięci. A na przyznanie się do swojego małego oszustwa jeszcze nie był gotowy. Do licha, sytuacja poważnie się komplikowała... – Pozwól, że sam zgadnę. – Patrzył na nią z zadumą, jakby szukał w myślach imienia, które by do niej pasowało. Gdyby nie była Sarah, jak by ją nazwał? – Już wiem, Helena.

- Wyglądam jak Helena?

- Helena Trojańska. Z powodu takiej twarzy tysiące okrętów wyruszają na wojnę.

- Twarzy z takim nosem? Prędzej Parys kazałby wyrzeźbić moją głowę i umieścić jako galion na jednym z tych okrętów - powiedziała kwaśnym tonem. - Opowiadasz bzdury.

- Jeśli nie Helena, to kto?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Gdybym już miała wybierać, chyba chciałabym mieć na imię Elizabeth - wyznała.

Aha. Czyli ona też wcale nie miała ochoty stawiać czoła prawdzie, bo inaczej przecież by mu wyjawiała swoją tożsamość.

- Lizzy. Elizabeth brzmi stanowczo zbyt oficjalnie jak na sytuację, w której się obecnie znajdujemy.

- Nie. Elizabeth - sprostowała z naciskiem. - I powinieneś wiedzieć, że wybrałam to imię, bo rządziła całym krajem i nigdy nie pozwoliła się zmusić do niechcianego małżeństwa.

- Królowa Dziewica - wymruczał z zadumą. - Tak. Pasuje do dziewczyny, która otrząsa się ze wstętem na myśl o pocałunku z mężczyzną. Ponieważ żaden mężczyzna nie jest godzien pocałować nawet rąbka twojej ozdobionej klejnotami sukni. - Jeśli nawet nie odnosiło się to do wszystkich mężczyzn, to do niego z całą pewnością. I dodawało całej sytuacji pikanterii...

Przyłapawszy jego wzrok, odruchowo przesunęła dłonią po fałdach sukni, cechującej się elegancką prostotą.

- Nie jest zbyt praktyczna do opieki nad rannym, ale nie wiedziałam, że będę robić takie rzeczy, kiedy ją zamawiałam, czyli przed naszą ucieczką do Antwerpii - powiedziała tonem usprawiedliwienia. - Pewnie to brzmi, jakbym myślała tylko o strojach, ale zapewniam cię, nie było łatwo, bo kiedy tu przyjechałam, nie miałam do słownie nic na zmianę.

- Jestem żołnierzem, wasza królewska mość. Oczywiście wiem, jak to jest zgubić swój bagaż podczas wojny.

- Och, wcale nie zgubiłeś! Dwóch ludzi z twojego oddziału przyniosło twoje rzeczy. Możesz się przebrać w czystą koszulę, kiedy tylko zechcesz.

Chciała mu dać do zrozumienia, że wolałaby nie oglądać jego gołej piersi? Tak czy inaczej, wypadało się odziać; w końcu mężczyźni zwykle nie paradowali bez koszul w obecności dam.

- Bardzo mi doskwierało, że nie mam własnych ubrań na zmianę - przyznała. - Ludzie mówią, że jestem okropnie próżna. Rzeczywiście spędzam dużo czasu na zakupach. Ale wiesz co? Coś ci powiem, jeśli nikomu tego nie powtórzysz.

- Królowo, jestem twoim lojalnym poddanym. Będę strzegł twojego sekretu, jakby to była tajemnica wagi państwowej. - Pochylił głowę w żartobliwym ukłonie... i natychmiast się skrzywił, bo świdrujący ból przeszył mu czaszkę.

- Głupiec - skarciła go, wyraźnie zatroskana. - Leż spokojnie! I słuchaj. Mój sekret polega na tym, że kiedy jestem dobrze ubrana, mam poczucie, że strój odciąga uwagę od mojej pospolitej urody.

- Pospolitej? - Popatrzył jej w twarz; w tym momencie wydała mu się śliczna.

Pewnie dlatego, że zawdzięczała jej życie, bo w istocie nos miała nieco zbyt wydatny, jak na kobietę. Usta trochę zbyt surowe w wyrazie. A włosy... choć ładne w odcieniu, wyglądały, jakby je usztywniła jakimś środkiem, żeby pozostawały zakręcone. W tym momencie dawno niefryzowane końce trochę sterczały. Ale oczy...

- Masz niesamowite oczy - powiedział. Ten niebieski kolor jest naprawdę ładny.

- To mój największy atut - przyznała. - Staram się je podkreślać. - Wzruszyła ramionami. - Ale i tak nos najbardziej widać.

- Taki nos mają osoby stworzone do rządzenia - oznajmił w nagłym przypiływie fantazji. - Sama mówiłaś, że chciałabyś być królową, czyż nie? Zatem doskonale do ciebie pasuje.

- Nic dziwnego, że masz takie powodzenie u kobiet - stwierdziła, kręcąc głową.

- Doprawdy? - Zaczerwienił się, co rzadko mu się zdarzało. Co takiego miała w sobie lady Sarah, że po raz pierwszy w życiu wstydził się swojej reputacji rozpustnika?

- Och, przepraszam - powiedziała tonem pełnym skruchy. - Nie powinnam ci przypominać o... umówiliśmy się, że na razie każde z nas jest, kimkolwiek chce być.

Serce radośnie podskoczyło mu w piersi. To, co powiedziała, oznaczało, że chciała być z nim tak samo, jak on pragnął być z nią.

Mimo że oboje wiedzieli, że to nie potrwa długo.

- Zatem ty zostałeś Królową Dziewicą. - Umościł się wygodniej na poduszkach. Dokonała całkiem trafnego wyboru jako dama o niekwestionowanej cnotliwości. - Ponieważ, jak twierdzisz, nie chcesz być zmuszana do niechcianego małżeństwa. Czyżby istniało zagrożenie, że coś takiego może cię czekać?

Westchnęła.

- Mama mówi, że dotąd cierpliwie znosiła moje fanaberie, jak je nazywała. Nie naciskała na mnie, bym przyjęła którąś z propozycji małżeńskich, jakie otrzymałam. Ale nie traci nadziei, że to się zmieni, że w końcu zaznam małżeńskiego szczęścia. - Bezwiednie zmarszczyła czoło. - Nie rozumiem, jak może nawet mówić o szczęściu, skoro własne małżeństwo przyniosło jej jedynie zgryzoty, bo papa był hulaką.

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, że z poczucia winy miał ochotę schować głowę pod kołdrę.

- Mama miała udawać, że nie dostrzega jego zrad - podjęła po chwili. - Wymagało to sporo wysiłku, bo w Chalfont Magna roi się od jego nieślubnych dzieci. Chyba lubił wdawać się w romanse tuż pod jej nosem, czym dodatkowo ją upokarzał. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie musiał udowodniać swojej jurności, bo z nią też spłodził wiele potomstwa. Dała mu dwie pary bliźniąt, dziedzica i dwie córki, nie wspominając już o wielokrotnych poronieniach. Dziwisz się, że nie chcę wychodzić za mąż?

Zupełnie się nie dziwił, skoro tak postrzegała małżeństwo.

- To, co mówisz, rzeczywiście nie brzmi zachęcająco - przyznał. - Ale nie wszyscy mężczyźni są tacy.

- Czyżby? - Posłała mu wymowne spojrzenie. - Nie będę się z tobą spierać, bo jesteś na to za słaby.

Zaraz potem zaskoczyła go, rozciągając usta w przewrotnym uśmiešku.

- Zabawne, że mówisz dokładnie to samo, co zawsze powtarza mi mama.

- Nie! - Wytrzeszczył oczy w wyrazie przerażenia, nie do końca udawanego. -

Który mężczyzna chce słyszeć, że mówi jak mama panny na wydaniu?

- Nie tylko mama, również moje siostry. Poślubiły istne wzory cnót, więc tym bardziej chcą mi znaleźć kandydata podobnego do ich małżonków.

- I jak ci się udaje oprzeć ich planom?

- Bardzo łatwo. Przez lata nabrałam sporej wprawy. Nigdy się nie sprzeciwiam. Nie robię scen. Dzięki temu nikt nigdy nie wie, co naprawdę myślę. Zresztą i tak zakładają, że nie jestem zdolna samodzielnie myśleć. Przetrwalam kilka sezonów, nawet nie rozważając żadnej z propozycji. A były liczne i niezwykle atrakcyjne - dodała z udawaną wyniosłością, naśladując machanie wachlarzem.

Oczy Toma rozbłyły szczerym rozbawieniem.

- Zaczynam podejrzewać, że jesteś szelmą bez skrupułów.

Zadarła wysoko podbródek.

- Jak śmiesz tak się odzywać do swojej królowej, sir Tomie?

- Pokornie proszę o wybaczenie, wasza królewska mość. Zapomniałem się.

Zachichotała. I niemal natychmiast przybrała poważny wyraz twarzy.

- Najgorsze jest to, że chyba masz rację. - Popatrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała się upewnić, czy dobrze zrozumiała. - Bez skrupułów namówiłam mamę, żeby wysłała mnie do Francji, podsycając jej nadzieje, że jeśli poznam tam nowych ludzi, zwiększę swoje szanse na zameście. A ja po prostu chciałam jechać, bo Gideon tam stacjonował. Mój brat bliźniak - wyjaśniła, jakby naprawdę tego nie wiedział. - Nie dlatego, że wszyscy odpowiedni kandydaci ciągnęli do Paryża na sezon zamiast do Londynu - dodała cierpko.

Milczał, więc mówiła dalej.

- Naprawdę sądzili, że olśni mnie jakiś bogaty europejski arystokrata. Jakby tytuł księżnej mógł osłodzić małżeńską niedolę! - Pokręciła głową. - Ale nie żałuję wyprawy do Paryża ani późniejszej przeprowadzki do Brukseli po powrocie Napoleona do Francji, bo dzięki temu spędziłam ostatnie miesiące blisko Gideona. - Cięń przebiegł jej po twarzy, ale zaraz znów się rozpogodziła. Teraz już wiesz, dlaczego chcę być Elizabeth. Dlaczego tak bardzo ją podziwiam.

Mimo uśmiechu na ustach oczy miała smutne. Żałował, że nie umie jej pocieszyć. W każdym razie nie mógł tego zrobić bez zrywania ich niepisanej umowy.

- Wasza królewska mość... - Ujął jej dłoń i ucałował z wdzięcznością. - Zaszczycasz mnie swoim zaufaniem.

Nie miała już wątpliwości, dlaczego tak się podobał kobietom. Nawet blade i posiniaczony, z obandażowaną głową, stanowił czarujące towarzystwo.

Rzecz jasna tylko sobie żartował, deklarując swoje oddanie. Mężczyźni jego pokroju nie przywiązywali się na dłużej do jednej wybranki. Ale po raz pierwszy w ogóle jej to nie przeszkadzało. Nie widziała nic złego w dalszym udawaniu, w tym, że każde z nich może być, kim zechce, choćby przez następną godzinę. Zwłaszcza kiedy oboje wiedzieli, że to tylko rodzaj gry.

Nigdy nie lubiła osoby, jaką chciała w niej widzieć rodzina. I wcale nie miała ochoty wracać do swojego nudnego codziennego życia. Miało wyglądać znacznie gorzej po tym, jak straciła głowę i uciekła. Co do tego nie miała wątpliwości. Mogła się spodziewać powszechnej niełaski i potępienia. I uczucia bolesnej pustki po stracie

Gideona.

Znacznie przyjemniej było odgrywać królową przed dworzaninem Tomem. Pławić się w jego dobrze wyćwiczonych pochlebstwach i komplementach. Śmiać się z jego błyskotliwych, dowcipnych ripost.

Zdecydowanie wolała to niż powrót do rzeczywistości, ponurej i pełnej cierpienia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy madame Le Brun przyniosła następną porcję swojego wybornego bulionu i świeżego chleba, Tom zjadł wszystko z apetytem. Sarah uznała to za swoje osobiste zwycięstwo. Poczucie, że osiągnęła coś ważnego, uskrzydlało ją i napełniało radością. Tom był bliski śmierci, gdy żołnierze przynieśli go do tego pokoju.

Odstawiając pustą miskę na stolik, pomyślała, że wprawdzie nigdy nie zostanie królową, ale z całą pewnością nie jest już tą samą osobą, którą była zaledwie przed dwoma dniami. Tom ją zmienił... czy raczej sprawowanie opieki, dzięki której wrócił do życia, wywołało w niej zmianę. Zyskała wiarę w siebie. Przestała być bezużyteczną, pustogłową pannicą, za którą wszyscy ją uważali. Postanowiła nie dopuścić do śmierci rannego i zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby go uratować.

Może właśnie to spowodowało odmianę – nigdy wcześniej niczemu tak się nie poświęciła. Dotąd na ogół dryfowała z prądem, wybierając najłatwiejszą drogę.

Odwróciła się w stronę łóżka.

– Dziękuję ci – powiedziała szybko, czując, że lada moment może się rozmyślić lub zabraknie jej odwagi.

Tom popatrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Dziękujesz mi? Niby za co?

– Że zmieniłeś swój zanik pamięci w grę. Pomogło mi to zapomnieć na chwilę o prawdziwym życiu. – Uświadomiła sobie, dlaczego tak ochoczo tę grę podjęła, choć podejrzewała, że z pamięcią Toma nie jest aż tak źle, jak próbował to przedstawiać. Zdradzały go drobne zdarzenia: powitanie z Benem, moment spontaniczności, który usiłował zatuszować zmianą tematu. Mimo wątpliwości nie chciała przypierać go do muru i demaskować kłamstwa. Po pierwsze dlatego, że nie odzyskał jeszcze sił i nadal potrzebował doglądania; po drugie... co miałyby robić, gdyby nie musiała pielęgnować Toma? Nie mogła pójść do Justina i spytać go o Gideona, bo stan jej brata pułkownika nie pozwalał na męczenie go problemami. Nie była też gotowa wracać do Antwerpii z podkulonym ogonem i błagać wszystkich o wybaczenie.

W istocie była Tomowi wdzięczna, że daje jej pretekst do pozostania w Brukseli, dopóki nie zbierze w sobie odwagi na stawienie czoła przyszłości.

– Nie wiem, co będę robić, jak to się skończy, ale udawanie przed tobą królowej stanowiło jasny promień w ciemności.

– Naprawdę? Cieszę się – odparł, zapadając powoli w sen. – Chciałbym dać ci więcej takich promieni.

– Cóż, oboje udawaliśmy osoby, którymi nie jesteśmy. Taka zabawa nie może trwać wiecznie.

Grymas bólu na moment ściągnął mu twarz. Widziała, że mimo to stara się zabawić ją żartobliwym flirtem.

– Mam jeszcze jeden rozkaz, ostatni, i jako mój lojalny poddany musisz go spełnić.

Z uśmiechem próbował skinąć głową.

- Spełnię bez zastrzeżeń - obiecał, wpadając w pułapkę.

- W takim razie wypij lekarstwo i śpij.

- To nie fair - zaprotestował.

- Bynajmniej. Musisz odpoczywać. - Odmierzyła stosowną ilość kropli do kieliszka, dokładnie tak, jak kazał lekarz. - Wypij wszystko, jak grzeczny chłopiec.

- Grzeczny chłopiec?

Wzruszyła ramionami.

- Nasza niania zawsze tak mówiła, kiedy chcieliśmy się wymigać od przyjęcia leku. A potem kazała nam spać, ponieważ sen jest najlepszym lekarstwem.

- No tak, masz rację, tylko że.... - Posłał jej jedno ze swoich rozbijających spojrzeń; działały niezawodnie. - Nie chcę, żeby to się skończyło. Zapamiętam to wszystko na zawsze - powiedział z takim żarem w głosie, że bardzo chciała mu uwierzyć. - Każdą chwilę. Każdy twój uśmiech. Będę je przechowywał w pamięci jak największe skarby.

- Miło, że tak mówisz - powiedziała, patrząc, jak przełyka laudanum.

- Ale mi nie wierzysz? - Skarcił ją przesadnie surowym spojrzeniem, po czym prawie natychmiast zasnął.

- Najgorsze jest to, że chcę ci wierzyć - mruknęła pod nosem. - Mimo iż wiem, jaki z ciebie gagatek.

Usiadła obok łóżka, z kieliszkiem po lekarstwie w dłoni, i patrząc na Toma, zastanawiała się, jak to możliwe, że czuje słabość do kogoś takiego. I dlaczego widok jego nagiego torsu przyprawia ją w tym momencie o gęsią skórę, choć nie budził w niej tego rodzaju emocji, kiedy przecierała go gąbką. Dlaczego nie zauważała, jak pięknie jest zbudowany, dopóki się nie ocknął i do niej nie odezwał?

Odpowiedziała sobie bez trudu: ponieważ o jego atrakcyjności nie decydował jedynie wygląd. Uznała, że jest przystojny, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła, ale nie miała wówczas ochoty pozostawać dłużej w jego towarzystwie. Chodziło o to, co kryło się w środku. O to, czego nie mogła wiedzieć, dopóki z nim nie porozmawiała.

Nic dziwnego, że Justin nie życzył sobie, by doszło do takiej rozmowy. Jaka kobieta oparłaby się mężczyźnie, który tak wyglądał, a do tego umiał doskonale zabawiać, wcielając się w rolę dworzanina i uznając ją za swoją królową?

Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że pociągał ją nie tylko z powodu swojego osobistego uroku. Ten urok w ogóle by na nią nie podziałał, gdyby wcześniej nie była świadkiem jego cierpienia, kiedy opędzał się od swoich demonów i trzymał się jej głosu i dotyku, jakby tylko one dawały mu szansę na powrót do żywych.

Jakby był równie samotny jak ona.

Miała jednak świadomość, że przypisuje mu cechy, które chciałaby w nim widzieć. A tak naprawdę wszyscy byli samolubnymi, nieczułymi tyranami.

Czy naprawdę wszyscy? A Gideon?

Nie potrafiła myśleć o swym bracie bliźniaku w taki sposób. Wydawało jej się to nielojalnością. Jednak czyż nie był tak samo skupiony na sobie jak pozostali mężczyźni członkowie jej rodziny? To prawda, że chętniej spędzał z nią czas. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, by przedkładać jej życzenia i potrzeby ponad swoje. Zawsze

to ona go wspierała. Ratowała go przed konsekwencjami rozmaitych wybryków w czasach wczesnego dzieciństwa, a potem otwierała mu okno, żeby mógł się wymykać kraść jabłka. Nawet w Brukseli, przed wielką bitwą, zdarzyło jej się zagadywać dowódcę Gideona, żeby nie zauważył jego drobnych występków.

Plan wyjazdu do Paryża – rzekomo w poszukiwaniu kandydata na męża – wziął się stąd, że wyczuła z listów Gideona, że on jej potrzebuje. Spomiędzy opisu rozrywek towarzyskich, w jakich mógł wybierać jego regiment, wyzierała dziwna niemoc i apatia. Chciała mu pomóc. Dlatego podsyciała nadzieje Gussie i mamy, żeby się znaleźć blisko brata.

Tyle że przybyła za późno. Nie było jej we właściwym miejscu we właściwym czasie. Zawiodła go. Umarł, a ona siedziała tu i doglądała obcego...

Jakby czując, że o nim myśli, Tom wydał z siebie gardłowy jęk. Powieki mu zadrgały, a potem gwałtownym ruchem próbował zedrzeć z siebie kołdrę.

Sarah pochyliła się nad nim i dotknąwszy jego czoła, odkryła, że jest bardzo gorąco.

– Nie mogę się wydostać – mamrotał Tom, szarpiąc prześcieradło zaplątane wokół nóg. – Nie pozwól, żeby mnie zabrali.

Biedny Tom... Męczyły go złe sny.

– Aniele! – Po omacku wyciągnął do niej rękę.

Chwyciła jego dłonie i mocno przytrzymała.

– Ćśśś Jestem tu. Nic ci nie grozi.

– Fiołki. – Westchnął i znów się uspokoił.

Usiadła i odgarnęła z czoła luźne kosmyki. Była okropnie zmęczona i sama też chciała się już położyć. Spojrzała tęsknie na prowizoryczne posłanie, rozłożone w narożniku pokoju na polecenie madame Le Brun.

Co za ironia, powiedział do siebie. Tytułował ją swoją królową, ale był w takim stanie, że to ona musiała mu usługiwać i spać w kącie jak pokojówka.

Wyjęła już wszystkie spinki z włosów i zaczęła rozczesywać splecione kosmyki, kiedy Tom ponownie ją zawołał.

Uspokoiwszy go znów, szykowała się do nocnego spoczynku, ale wołania rozlegały się raz po raz i w końcu pogodziła się z myślą, że czeka ją bezsenna noc.

W istocie jedyną szansę na choćby krótką drzemkę dawało położenie się obok niego.

Własna śmiałość mocno ją zaskoczyła; nie mogła uwierzyć, że w ogóle rozważa taką możliwość. Jednak kiedy wołania zaczęły się powtarzać coraz częściej, a głośkanie Toma po czole przestało wystarczać, by się na dłużej uspokoił, położyła się obok niego i objęła go ramionami. Tłumaczyła sobie w duchu, że sytuacja jest podobna do tej w wozie, kiedy podtrzymywała mu poranioną głowę.

Kiedy z westchnieniem znieruchomiał, jakby się w końcu poczuł bezpieczny, nabrała pewności, że postąpiła właściwie. Sama też poczuła się lepiej, mniej samotnie, bo jeszcze nikt nigdy tak bardzo jej nie potrzebował. Nawet Gideon.

Przygarnęła Toma do siebie mocniej. Odkryła, że przytulanie drugiej osoby jest bardzo przyjemne. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Sama również nie była przytulana. Pamiętała, jak raz Bridget tuliła Gideona, kiedy upadł i zadrapał sobie kolano. Starsza niania, odpowiedzialna za wychowanie rodzeństwa, zbesztala ją

wówczas, twierdząc, że chłopiec nie wyrośnie na prawdziwego mężczyznę, jeśli będzie tak rozpieszczany.

I skończyło się przytulanie. Dla nich obojga. Mama odwiedzała pokoje dziecinne tylko wieczorem, żeby sprawdzić, czy jej pociechy leżą już w łóżkach, a papa w ogóle się tam nie pojawiał.

- Ale z nas para - mruknęła, przesuając się tak, by móc położyć głowę na piersi Toma. - Trzymamy się siebie rozpaczliwie, niczym dwoje ocalałych z katastrofy.

Żadne słowa nie mogły jej pocieszyć po stracie Gideona. I nic nie mogło się równać z takim uściskiem, jakby była Tomowi niezbędna do oddychania. Nie zamierzała więc się przejmować, czy łamie zasady, czy nie. Była na to zbyt zmęczona.

I było jej zbyt dobrze.

Tom nie chciał się obudzić. Trzymał w ramionach cudownie kruchą, ciepłą kobietę.

Jakim cudem? Przecież nigdy nie sypiał z kobietami. Po cielesnych igraszkach opuszczał ich łóżka najszybciej, jak na to pozwalała przyzwoitość.

Właściwie to nie on trzymał ją w ramionach, tylko wzajemnie się obejmowali. Przerzuciła przez niego jedną nogę, okrywając go obfitymi fałdami spódnicy. Wydało mu się to dziwne. Kiepsko się spisywał, skoro ona nadal była ubrana, a on nagi. Dotykał jej piersi głową... która piekielnie go bolała.

Otworzył oczy i przez burzę jasnych loków zobaczył twarz lady Sarah. Zaklął w duchu. Spędziła noc w jego łóżku! Czyżby nie rozumiała różnicy pomiędzy siedzeniem u jego boku, ocieraniem mu czoła i wlewaniem do ust leku a tuleniem go?

Prawdopodobnie nie. W swej niewinności pewnie uznała, że tak najlepiej go uspokoi. Robiła to za każdym razem, kiedy ją wzywał. Senne koszmary atakowały go bezlitośnie, dręczyły, nie dawały od siebie odetchnąć. W końcu z obawy przed nimi bał się zamknąć oczy.

Poczuł się cudownie, kiedy weszła do łóżka i go utuliła. Miał wrażenie, że cofnął się do czasów dzieciństwa i tak jak wtedy marzył, żeby ktoś... ktokolwiek go ukołysał w objęciach do snu. Ale nikt tego nigdy nie zrobił.

Wyglądało na to, że sama także zasnęła. Biedna dziewczyna, musiała być wyczerpana. Domyślał się, że nie należy do łatwych pacjentów. Okazywała mu niewyczerpaną cierpliwość. Ani razu nie zostawiła go samemu sobie przy ataku gorączki czy złym śnie. Nie uciekła też, kiedy mu się poprawiło, choć wiedziała, że pozostawanie z nim sam na sam zagraża jej reputacji.

Żałował, że nie może tak z nią leżeć już zawsze.

Choć właściwie pragnął czegoś jeszcze - chciał ją pocałować.

Służący pokornie czekali na pozwolenie naciśnięcia klamki; tymczasem drzwi otwały się gwałtownie i dudniące kroki zbliżyły się do jego łóżka.

- Bartlett? Mówią, że...

Tom odruchowo zamknął oczy, żeby nie patrzeć na wykrzywioną gniewem twarz majora Flinta, i jęknął w duchu. Że też musiało trafić akurat na oficera, który był przyrodnim bratem lady Sarah. Tym bardziej że zawdzięczał swą karierę w armii jej rodzonemu bratu. Plotka głosiła, że pułkownik Randall rozpoznał u Flinta cha-

rakterystyczny nos Latymorów – cechę stanowiącą źródło kompleksów dla lady Sarah – i dlatego powierzył mu dowodzenie oddziałem podczas bitwy.

Tom był przekonany, że już po nim.

Nagły hałas obudził lady Sarah. Zawstydzona zerwała się z posłania i szybko okryła kołdrą obnażoną pierś Toma. Jakby Flint nigdy wcześniej nie widział nagiego mężczyzny.

– Co, u licha... – wydukał osłupiały major Flint.

Tomowi przyszło do głowy, że być może major oszczędzi mu konfrontacji z pułkownikiem Randallem, zabijając go na miejscu. Nie byłby to najgorszy sposób opuszczenia ziemskiego padołu. Przynajmniej ostatni dzień spędził z nią, z lady Sarah. Piękny, idealny dzień, za dobry jak na kogoś takiego jak on. Taki dzień z pewnością nie mógł się powtórzyć.

Lady Sarah sprawiała wrażenie przerażonej. Naprawdę sądziła, że to, co robiła, ujdzie jej na sucho? Okłamała gospodynię, że ranny jest jej bratem, i myślała, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw?

– Adam Flint, poznaję pana! Justin nie chciał mi pana przedstawić na paradzie.

Bartlett uchylił powieki, żeby ostatni raz na nią spojrzeć. Głos miała drżący ze zdenerwowania, a nawet przepraszący.

Nic dziwnego. Wszystko było dobrze, póki sądziła, że uda się zachować jej poczucia w tajemnicy. I nagle stała przed wściekłym obliczem Flinta ze świadomością, że nieuchronnie musi nastąpić katastrofa. Flint uchodził za twardego, nieprzejednanego typu. Wychował się w rynsztoku i wstąpił do wojska jak wielu jemu podobnych. Tam własnym wysiłkiem zdobywał kolejne stopnie, dopóki nie zainteresował się nim przyrodni brat. Flint jako jeden z nielicznych oficerów potrafił zapanować nad żołnierską zbieraniną z oddziału Zabijaków Randalla, prawdopodobnie dlatego, że był ulepiony z podobnej gliny. Bynajmniej nie należało się po nim spodziewać taktu i poślizgnięcia.

– Nie przedstawiłby pani żadnego z Zabijaków – warknął Flint. – Nie bez powodu. Żaden z nas nie powinien mieć z panią nic wspólnego. A już on szczególnie. – Oskarżycielskim gestem wskazał na Bartletta.

Nie dało się zaprzeczyć. Ramrod Randall wiedział, że jego ludzie to szumowiny i dowodzić nimi mogli jedynie oficerowie podobnie szemranej proweniencji. Naturalnie chciał chronić przed nimi swoją młodszą siostrę. Próbował ją nawet przekonać do opuszczenia Brukseli, kiedy okazała zbyt jego zdaniem duże zainteresowanie Zabijakami. Ustąpił tylko dlatego, że jej brat bliźniak, służący w eleganckim regimencie kawalerii, zapewniał jej znacznie bardziej odpowiednie towarzystwo.

– Wiem, dlaczego nie chciał mi pana przedstawić – odezwała się niepewnie, szybko splatając potargane włosy w warkocz. – Jest pan moim przyrodnim bratem. Mam nie wiedzieć, że tacy w ogóle istnieją, a co dopiero zawierać z nimi znajomość. I proszę przestać krzyczeć. Biednego Toma boli głowa.

Biednego Toma? To brzmiało, jakby nie był jej obojętny. I jakby się nie bała wyjawiać tego przed Flintem.

Serce mu się ścisnęło. A zaraz potem wypełniło je dziwne pragnienie, podobne do tęsknoty.

– Głowa biednego Toma – warknął Flint – niechybnie spadnie mu z karku. Proszę

wziąć swój płaszcz i czepek. Natychmiast zabieram panią do domu. Nie może pani tu zostać ani chwili dłużej.

Żegnaj, lady Sarah. Jestem zaszczycony, że mogłem cię poznać. Choć na tak krótko... – powtarzał w duchu, jednak lady Sarah ani myślała się podporządkować życzeniu Flinta.

– Jestem w domu. To mój pokój.

– Dobrze więc, zabieram panią do mieszkania jej brata.

– Nie może pan tego zrobić – odparła z satysfakcją. – Mary Endacott twierdzi, że jest zbyt chory, by go niepokoić.

Słuchając wymiany zdań przebiegającej nad jego łóżkiem, Tom pomyślał, że lady Sarah jest jak mały terier stawiający czoło potężnemu bykowi. Kąsała go swoimi bystrymi ripostami. Major Flint, bardziej przywykły do stosowania brutalnej siły wobec swych podwładnych, pokrzykiwał na nią coraz bardziej bezradny, zdeorientowany szybkością i celnością ataków.

Tom miał ochotę się rozplakać. Nadal go broniła. Robiła to od samego początku. Nie tylko przed obcymi i śmiercią od ran, ale obecnie również przed własną rodziną. Przed ludźmi, którym leżało na sercu jej dobro... i reputacja.

Wcześniej nikt nigdy o niego nie walczył. Ani go nie bronił. Prędzej by go skazali, nie troszcząc się o jakiegokolwiek dowody.

– Bartlett! – Major Flint pochylił się nad łóżkiem, jakby Tom był rekrutem, którego można zastraszyć krzykiem i groźną miną. Jakkolwiek w przypadku Toma również te metody nie skutkowały.

Z przyzwyczajenia zastosował taktykę, która sprawdzała się od czasu, gdy zaczął swą służbę wojskową. Otworzył szeroko oczy, jakby się dziwił, że jest sztorcowany. Nie mógł się oprzeć pokusie zagrania Flintowi na nosie.

– Tak, sir?

– Bez takich, Bartlett. Jesteśmy równi stopniem, do diabła.

W istocie, obaj dosłużyli się majora w dowodzonym przez Randalla pułku wyrzutków. I żaden z nich nie mógł dziedziczyć ziemi, tytułu ani majątku, którym dysponowali ich szlachetnie urodzeni ojcowie.

Między Tomem i lady Sarah rozpościerała się głęboka przepaść. Ona, dama o nieposzlakowanej opinii, stała po jednej stronie, on po drugiej. Hultaj i rozpustnik. Przez chwilę mogli trzymać się za ręce ponad tą przepaścią, ale nadszedł czas, by zwolnili uścisk.

Kłótnia przy łóżku trwała w najlepsze, tymczasem Tom pograżył się w rozpacz. Wiedział, że nie będzie mu dane zostać z lady Sarah na dłużej, i nie rozumiał, dlaczego tak go to boli. Przecież nie czuł nawet cienia żalu, żegnając się z każdą inną kobietą wcześniej.

– Majorze Flint, proszę go zostawić – żądała stanowczo. – On nie ma pojęcia, kim jest i co mu się przytrafiło.

Co takiego? Skąd jej się wziął taki pomysł? No tak, Tom ze wstydem pomyślał o poprzednim dniu. W końcu sam zaczął tę przewrotną grę, licząc na całusa.

– Nie zna pana.

Tom wziął oddech, żeby się wytłumaczyć, ale po krótkim namyśle uznał, że jednak lepiej będzie milczeć. Miałby zaprzeczać temu, co mówiła lady Sarah? Wprawdzie

z majorem Flintem łączyło go coś na kształt szorstkiej męskiej przyjaźni, ale przez ostatnie parę dni lady Sarah z pewnością zasłużyła sobie na jego lojalność.

- Wydaje mu się, że jest porucznikiem.

A to skąd jej przyszło do głowy? Ani razu nie padła nazwa jego stopnia; pilnował, żeby w rozmowie nie nawiązywać do takich spraw. Czyli... Serce zabiło mu mocniej. Kłamała. Dla niego. Mówiła, że jest zbyt słaby, żeby się ruszać? Zatem nie zamierzał nawet drgnąć. Rzekomo nie pamiętał, kim jest? Broń Boże nie zamierzał tego prostować.

- Może mu się wydaje, że jest na początku swojej wojskowej służby - stwierdziła tonem osoby całkowicie pewnej swoich racji.

Kiedy Flint na niego spojrzał, Tom próbował swym wyglądem potwierdzić diagnozę lady Sarah. Ostatecznie ryzykowała dla niego swoją reputację, więc mocno się postarał, żeby wypaść przekonująco.

- Widział pan ranę na jego głowie? - spytała i nieco pobladła. Następnie zaskoczyła Toma po raz kolejny, opisując ze szczegółami krwawe rozcięcie na czaszce i opowiadając o własnoręcznym zszyciu poszarpanej skóry. - Wydobrzeje - zakończyła z mocą. - Musi wyzdrowieć.

Flint spojrzał na lady Sarah jakoś inaczej. Jakby była kimś innym, nie rozpieszczoną bogatą dziewczyną, za którą wszyscy ją brali. Jej własny brat uważał, że nie powinna bez eskorty przechodzić przez ulicę, bo może sobie nie poradzić, tymczasem w ciągu ostatnich dni sama przyjechała konno do Brukseli, okiełznała wystraszonego psa, odpędziła dezertersów, szukała ocalałych żołnierzy na polu bitwy, wreszcie zszyła jednemu z nich ranę i swym poświęceniem ocaliła go od niechybnej śmierci.

Flint już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy rozległo się drapanie do drzwi. Sarah z wyraźną ulgą wpuściła Bena do pokoju. Tom zdążył zauważyć, że bardzo polubiła psa, choć udawała, że go strofuje za wchodzenie do domu, kiedy w pobliżu znajdowała się gospodyni.

Tym razem zwierzę w ogóle nie zwracało na nią uwagi, tylko od progu radośnie rzuciło się ku Flintowi. Major z wyraźną przyjemnością wydał mu komendę, którą pies natychmiast wykonał, posłusznie siadając u jego stóp.

Tom wcale się Flintowi nie dziwił - po raz pierwszy od wejścia do pokoju udało mu się nad czymś zapanować.

- Skąd Ben się tu wziął?

Lady Sarah opowiedziała mu w skrócie historię ratowania psa spod przewróconego wozu. Major podrapał Bena między uszami, po czym wyprostował się i oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Zabieram to zwierzę. I panią także - zwrócił się do lady Sarah. - Proszę się spakować. Pojedzie pani do domu pułkownika Randalla.

- Nie pojedę. - Usiadła na brzegu łóżka, kładąc dłoń na nodze Toma. - Będzie pan mnie musiał zawlec siłą. A ja przez całą drogę będę krzyczeć i kopać.

Flint zafrasował się, po czym zmienił taktykę.

- W takim razie każe jego stąd zabrać.

- To go może zabić! - wykrzyknęła ze łzami w oczach.

Tomowi zaczęło doskwierać poczucie winy. Ostatecznie nie było z nim tak źle. Poza tym powinna wiedzieć, że nie jest wart nawet jednej łzy. Należało usiąść,

ubrać się i wyjść z Flintem. I zdusić w zarodku to, co się między nimi działo...

- Skąd wiecie, że Gideon nie żyje? - spytała, znienacka zmieniając temat.

- Ponieważ byłem przy tym, jak zginął - odparł sucho Flint.

- Jest pan pewien?

- Pewien, że tam byłem, czy pewien, że nie żyje? Jestem pewien jednego i drugiego. Po takich ranach się nie wstaje.

Bartlett zacisnął usta i postanowił jednak nie opuszczać lady Sarah. Złościło go, że Flint mówi o śmierci jej brata bliźniaka w tak bezceremonialny sposób.

- Został postrzelony? Umarł szybko? - dopytywała, z trudem powstrzymując szloch.

Na litość boską, człowieku, myślał Tom, powiedz, że zginął na miejscu. Niezależnie od tego, jak było naprawdę.

- Doznał ran od szabli.

Tom jęknął w duchu. Jak ten idiota Flint mógł to powiedzieć, wiedząc, że widziała taką ranę, a nawet ją zszywała?

Lady Sarah musiała mieć identyczne odczucie, bo gwałtownie wskazała na drzwi.

- Wynoś się - krzyknęła tak głośno, że pies leżący u stóp Flinta aż się skulił. - Wynoś się - powtórzyła. - Jeśli jeszcze raz tu przyjdiesz niepokoić Toma, to nie zawaham się użyć jego pistoletów!

Pistolety akurat zostały skradzione, ale Flint nie wiedział, że to czcza pogroźka. Tak czy inaczej zbytnio by się nią nie przejął, bo wizja kruchej dziewczyny machającej mu przed nosem bronią wypadła blado w porównaniu z atakami wrogich wojsk na polu bitwy i bandami pijanych dezertersów.

Niemniej jednak major Flint wymaszerował z pokoju i już w progu pstryknął palcami, na co Ben posłusznie wybiegł za nim. Sarah patrzyła na psa takim wzrokiem, jakby ją zdradził. Łzy wciąż spływały jej po policzkach. Widać było, że cała się trzęsie.

- Ben poszedł za nim - chlipnęła, po czym opadła na łóżko, jakby nie miała siły ustać na nogach.

- To jego pies - wyjaśnił, chwytając jej drobną, drżącą dłoń. Miał nadzieję, że odbierze jego gest jako dodający otuchy.

- Nie... - Pokręciła głową. - Gideon mówił, że pies należy do wszystkich Zabijaków. Że znaleźliście go na jakiejś farmie, gdzie was zakwaterowano, i już z wami został.

Doszedł do wniosku, że powinien jej wyznać prawdę, choć dalsze udawanie zaniku pamięci byłoby mu na rękę.

- To major Flint go przygarnął i oswoił. I chociaż pies zaakceptował resztę oddziału jako część stada Flinta, to jego uważa za swojego pana.

- Aha. Rozumiem. A ja niemądrze myślałam...

Ścisnął jej rękę nieco mocniej.

- Byłaś wspaniała - rzekł z powagą.

- Ja? - Poczul, że się wzdrygnęła. - Spójrz na mnie. Trzęsę się jak osika. To było okropne, straszne. Po raz pierwszy w życiu tak z kimś rozmawiałam. Nie sądziłam, że potrafię. A teraz na samą myśl jest mi niedobrze.

- Każdy tak się czuje po bitwie. To dziwne. Podczas starcia z wrogiem człowiek

bez mrugnięcia okiem robi niewiarygodne, okropne rzeczy, ale potem... Potem cały aż dygocze.

- Żałuję, że do tego doszło. To było moje pierwsze spotkanie z majorem Flintem, a musiałam go potraktować jak wroga. A przecież jest moim... - Głośno pociągnęła nosem. - Jest moim... bratem. I zabrał Bena. A myślałam, że stanowimy drużynę. - Spojrzała z żalem na drzwi, przez które niedawno wyszli. - Nie obchodzi mnie, czy należy do majora Flinta...

Nie zdołała dłużej powstrzymać łez, które popłynęły obfitym strumieniem.

Normalnie na widok płaczącej kobiety brałby nogi za pas i uciekał jak najdalej. Ale nie teraz. Wiedział, że nie da się cofnąć słów i czynów majora Flinta. Mógł ją jedynie objąć i przytulić.

Tak jak ona go tuliła podczas jego najczarniejszych godzin.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tom z wysiłkiem podniósł się do pozycji siedzącej, a potem udało mu się klęknąć za jej plecami i ją objąć. Miał obawy, że Sarah się zachnie i zaprotestuje, tymczasem odwróciła się i ukryła twarz na jego piersi. Mimo że był nagi, poobijany i właściwie go nie znała.

Szybko odczuł zmęczenie niewygodną pozycją, zaczęło mu się kręcić w głowie. Nie przypuszczał, że jest aż taki słaby.

- Tak mi przykro... - chlipnęła. - Zwykle się tak nie mażę. A wszystko dlatego, że jakiś człowiek zabrał swojego psa...

- Nie tylko dlatego - powiedział łagodnym tonem. - Dopiero co usłyszałaś, że twój brat bliźniak został pocięty na kawałki kawaleryjskimi szablami.

Zesztywniała, a potem wyswobodziła się z jego objęć. Otarła oczy ręką przesćieradła.

Obraził ją. I zniweczył wszelkie szanse na to, by dalej móc udawać, że nie wie, kim jest. Wyczerpany i przygnębiony opadł z powrotem na posłanie.

- Och, Tom. Wybacz, zalewam się łzami, podczas gdy powinnam się tobą opiekować. - Szybko wstała i zaczęła wygładzać na nim kołdrę.

- Nie, to ja cię przepraszam. Sądziłem, że mogę pomóc. Wiem, że nie zdołam ci zastąpić Bena, ale myślałem, że potrzebujesz pocieszenia. Ale nawet do tego się nie nadaję. Jestem zupełnie bezużyteczny.

- Nie jesteś. Nie pozwól nikomu tak mówić - rzuciła ze złością.

- Czy tego właśnie doświadczyłaś? To dlatego walczyłaś z Flintem o mnie? -

Wydało mu się to logiczne. On sam nic dla niej nie znaczył. Domyślił się, że rodzina nie miała pojęcia, do czego Sarah jest zdolna. Zapewne widziała w nim symbol swojej przemiany.

Nie udało jej się skryć zakłopotania.

- Nieważne. - Wzruszył ramionami. - Zawsze miałem świadomość, że nie warto o mnie walczyć.

- Proszę, nie czuj się mną rozczarowany. Nie wiedziałam, kim jesteś, kiedy cię znalazłam na polu bitwy. I byłam... Och, nie wyobrażasz sobie, ile to dla mnie znaczyło, że twoi ludzie mi zaufali. Uwierzyli, że będę umiała zapewnić ci właściwą opiekę. Wcześniej nikt nie wierzył, że nadaję się do czegokolwiek.

- Chyba umiem to sobie wyobrazić. - Uśmiechnął się smutno. - Wszyscy zawsze uważali, że jestem do niczego. I mieli rację.

- Ależ nie, nieprawda. Jesteś oficerem. I to artylerii. Już samo to o czymś świadczy. A żeby dosłużyć się stopnia majora, musiałeś...

- Po prostu przeżyć - parsknął kpiąco.

- O, nie! Znacznie więcej. Akurat wiem, że w artylerii nie można awansować za pieniądze albo korzystając z protekcji.

- Nawet jeśli tak, to gdyby major Flint odkrył, że pielęgnujesz kogoś takiego jak

Bennington Ffog... – Ściągnął usta, wymawiając nazwisko jej najbardziej zagorzałego wielbiciela, fircyka dowodzącego regimentem, w którym służył jej brat bliźniak. To właśnie od niego zapożyczyli imię dla psa. Byli gotowi przysiąc, że zwierzę ma nie tylko futro podobne w kolorze do krzaczastych bokobrodów pułkownika, ale też ten sam poziom inteligencji. – Ffoga Flint nie próbowałby zostawić na zatrącenie. Prędzej by mu zaproponował, żeby się z tobą ożenił dla zachowania przyzwoitości.

– No tak. O tym nie pomyślałam.

– A może powinnaś – rzucił ostro. Benningtona Ffoga nikt by nie uznał za nieodpowiedniego kandydata z powodu pieniędzy i tytułu. Nie liczyło się to, że był głębszy od swojego konia. – Twoi bracia woleliby mnie widzieć na marach niż z tobą przy ołtarzu.

Zaśmiała się niepewnie.

– Tak ci się wydaje? Według mnie woleliby, żebym wyszła za kogokolwiek, niż była... Och, dlaczego w ogóle rozmawiamy o małżeństwie? Przecież nie chcesz się żenić, tak jak ja nie chcę wychodzić za męża.

– Nie o to chodzi. Nie mam nic do zaoferowania kobiecie. A już zwłaszcza damie. Nie mogę się ożenić.

Przesunęła wzrokiem po jego nagim torsie; oczy dziwnie jej rozbłysły.

Dobry Boże! Chyba uważała, że jednak mam coś do zaoferowania, pomyślał. Serce zabiło mu mocniej. Miał wrażenie, że jej się podoba, i zastanawiał się, jak to możliwe, skoro widziała go w stanie krańcowej słabości, rannego i poobijanego...

Nie mógł się jednak mylić, popatrzyła na niego pożądliwie, choć zaraz przybrała na twarz maskę uprzejmej obojętności, zdecydowanie odpowiedniejszą dla damy.

Widziała w nim symbol własnego buntu.

– Wybacz mi szorstkość. Nie chcę się z tobą kłócić, Tom. Po prostu... – Potarła czoło gestem zdradzającym wielkie zmęczenie.

Chyba w tym momencie miała dosyć mężczyzn, wszystkich bez wyjątku. Nadal miał wielką ochotę ją pocałować, ale wiedział, że lepiej nie kusić losu i nie wykorzystywać tego pojedynczego sygnału zachęty. Należało zdobyć jej zaufanie, zanim wykona następny ruch. Nie planował jednak jej posiąść. Pragnął tylko pocałunku. Jednego.

– Opieka nade mną bardzo cię wyczerpała – powiedział łagodnie i wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po policzku. Wbrew obawie nie odepchnęła jego dłoni, lecz zamknęła oczy i poddała się pieścizocie. Ten drobny, niewinny akt uległości podziałał na niego mocniej, niż gdyby jakakolwiek inna kobieta rozebrała się przed nim do naga.

– Gdybym miał choć trochę przyzwoitości, zaproponowałbym, że się stąd wyniosę do szpitala albo gdziekolwiek indziej. Takie wyjście byłoby honorowe. Ale go nie wybiorę.

Gwałtownie otworzyła oczy i przyjrzała mu się ze szczerym zaciekawieniem.

– Bo nie jesteś człowiekiem honoru?

Do licha, trafiła w sedno. Gdyby posiadał choć cień honoru, nie planowałby zdobywania jej zaufania po to, by je wykorzystać.

– Raczej dlatego, że mnie o to nie poprosiłaś. – Uśmiechnął się rozbrawająco. – Z jakiegoś powodu, który jak przypuszczam nie ma nic wspólnego ze mną, chcesz, żebym tu został.

Zarumieniła się i odsunęła, tak że nie dosięgał już do jej twarzy. Wolno opuścił rękę.

- Masz rację - powiedziała, zadzierając dumnie podbródek. - Chcę, żebyś tu ze mną został. Może to świadczy o mojej próżności, ale kiedy się tobą opiekuję... kiedy jesteś ode mnie we wszystkim zależny, czuję, że moje życie po raz pierwszy ma jakiś sens.

- No cóż, chętnie zostanę, tak chory, jak sobie zażyczysz, i na tak długo, jak będziesz czuła potrzebę sprawowania nade mną opieki.

- Och, Tom, nie mów tak. Chcę, żebyś wyzdrowiał. Musisz wyzdrowieć. Żeby pokazać wszystkim... i mnie... że... - Urwała i pokręciła głową. - To okropnie samolubne, że opiekuję się tobą po to, by coś udowodnić. - Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs.

- Jestem pewien, że robisz wszystko z właściwych powodów. Wiem, chyba lepiej niż ktokolwiek, że ludzie sądzą innych po uczynkach, a nie zastanawiają się nad ich motywami.

- Jesteś wielkoduszny, że tak mówisz.

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się cierpko. - Ale po tym, jak major Flint wyciągnął same pochopne wnioski na nasz temat, widząc mnie nagiego i ciebie w moich ramionach... - Znacząco uniósł brew. - Założył, że jesteśmy winni. Ludzie zawsze zakładają najgorsze. A przecież nie miał prawa myśleć o tobie niczego złego... - Skrzywił się, czując złość na Flinta.

- Tom, musisz przestać mnie uważać za anioła, bo bynajmniej nim nie jestem. Wyładowałam tu, żeby się tobą opiekować z wielu głupich, przyziemnych powodów. Zapewniam cię, że żaden nie miał w sobie nic anielskiego.

- W takim razie powiedz mi, jak to się stało, że mnie znalazłaś? Co ktoś taki jak ty robił na polu bitwy?

Patrzyła mu w twarz, szukając śladów potępienia za to, że znalazła się w takim miejscu. Dostrzegła jedynie zaciekawienie. Kiedy poprzednio ktoś chciał znać motywy jej postępowania? Interesował się jej punktem widzenia, zamiast z góry ją osądzać?

- Pojechałam na pole bitwy szukać Gideona - zaczęła. - Albo jego ciała. Lub chociaż odpowiedzi. Tak sobie przynajmniej wmawiałam. Ale tak naprawdę to był akt desperacji. Nie mogłam uwierzyć, że Gideon nie żyje. Nie powiedzieli mi niczego, co by mnie przekonało. Nie dowiedziałam się nawet, kiedy będzie pochowany i gdzie. - Odwróciła się tak, żeby dokładnie widzieć twarz Toma i móc zobaczyć, jak ocenia to, co zrobiła. Wzięła głęboki oddech. - Byłam pewna, że Gideon nie mógł zginąć, bobym to czuła. Nasza niania zawsze mówiła, że jesteśmy jedną duszą żyjącą w dwóch ciałach. Byliśmy ze sobą blisko, tak blisko, że myślałam... - Potrząsnęła głową. - Jak mogłam tak bardzo się mylić? Byłam taka głupia...

Chwyił ją za rękę.

- Wcale nie byłaś głupia.

- Ależ tak. Uświadomiłam to sobie tuż przed spotkaniem huzarów równających z ziemią wszystko na swej drodze. Czułam się jak Ben, wyjący ze strachu pod przewróconym wozem. Nie miałam pojęcia, co robić. A potem ten dezertier próbował mi ukraść Kastora... - Straszne wspomnienie przyprawiło ją o dreszcz.

- Musiałaś umierać ze strachu.

- Nie! Jeśli już, to bałam się utraty konia. Dlatego że Kastor był ostatnim prezentem, jaki otrzymałam od Gideona. Sam miał identycznego siwka i razem odbywaliśmy przejażdżki. Wiesz, zadawaliśmy szyku... Złotowłose bliźniaki na jednakowych wierzchowcach. Chciał nawet, żebym sobie sprawiła amazonkę w kolorze jego munduru, dla lepszego efektu. Żeby ludzie mówili, że wyglądamy jak mityczne bliźnięta, Kastor i Polluks.

- Widziałem cię - przyznał.

- Wiem. - Dobrze pamiętała tamten dzień. Stał oparty nonszalancko o drzewo. - Mrugnąłeś do mnie.

Wyraźnie skrępowany otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć. Ale Sarah nie chciała nic słyszeć o tamtym dniu.

- W każdym razie nie zniosłabym utraty Kastora. Dlatego w Brukseli chciałam znaleźć jakieś bezpieczne miejsce i go ukryć na wypadek, gdyby Francuzi mieli zająć miasto. Spałam przy nim w stajni, bo bałam się spuścić go z oka. Rozumiesz, wystarczyło, bym weszła na chwilę pod wóz, żeby odwiązać Bena, a ten dezertor już chwycił wodze. Ani przez chwilę nie myślałam o własnym bezpieczeństwie, zależało mi jedynie na zachowaniu konia łączącego mnie z Gideonem. - Przygnębiona zwiesiła głowę. - Nawet kiedy zaczęło już do mnie docierać, że naprawdę zginął, nadal nie zachowywałam się racjonalnie. I kiedy dosłownie spadłeś na mnie, powiedziałam sobie, że właśnie po to przyjechałam w to straszne miejsce. Poczułam się trochę lepiej, wyobrażając sobie, że może to los mnie ku tobie skierował. Że może po prostu musiałam wrócić do Brukseli, bo tak mi było pisane... Sam widzisz, jaka byłam głupia.

- Nie, nie chcę słuchać, jak mówisz o sobie w ten sposób.

- Ale uciekłam z domu. Przysporzyłam zmartwienia mojej biednej siostrze, która spodziewa się dziecka i musi na siebie uważać. Rozgniewałam jej męża. Zlekceważyłam polecenie Justina. Wszystko dlatego, że nie chciałam przyjąć prawdy. Jak mogłam opowiadać te bzdury, że nie czułam, by jego dusza opuszczała ten świat? Madame Le Brun pewnie myślała, że postradałam zmysły, kiedy stanęłam na jej progu.

- Czasami, kiedy dzieje się coś złego, a człowiek nie chce w to uwierzyć, wpada w taki dziwny stan... - odezwał się cicho Tom. - Coś w tobie krzyczy: Nie! I ten krzyk zagłusza wszystko inne, również zdrowy rozsądek. Nawet jeśli dowody są niepodważalne i leżą przed oczami, człowiek słyszy, widzi i czuje tylko to „nie”.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Prędzej się spodziewała, że będzie wywracał oczami jak jej starszy brat i siostry, kiedy mówiła o szczególnej więzi łączącej ją z Gideonem. Powtarzali niezmiennie, że powinna w końcu wyrosnąć z bajek, które opowiadała jej niewykształcona i przesądna niania.

- Jakoś mnie nie przekonywał ten ich zdrowy rozsądek, bo nikt z nich nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego zawsze wiedziałam, kiedy mój brat bliźniak wpada w tarapaty. Czułam też, że jest w drodze do domu... Wystarczyło, byśmy wymienili spojrzenia, by wiedzieć, co myślimy.

- Naprawdę? To niesamowite.

Widziała, że jego zdumienie jest szczere. Nie próbował jej schlebiać, nie śmiał się z niej ani nie uważał, że powinna przestać sobie roić niestworzone rzeczy.

- Dziękuję, że to powiedziałaś, Tom.

Jak to możliwe, że tak dobrze ją rozumiał, choć przecież prawie jej nie znał?

- Mówisz, jakbyś sam kiedyś przeżył to co ja. Zdarzyło ci się w życiu coś podobnego?

- Owszem - przyznał smutno. - Tak właśnie się czułem, kiedy umarł mój ojciec. Straciłem wszystko, co miałem. I to, kim byłem. Nawet potem, kiedy to „nie” już we mnie ucichło, nadal nie wiedziałem, kim jestem. - Popatrzył na nią z zadumą. - Nie mogłem wrócić do przeszłości, a znalezienie dla siebie nowej drogi zajęło mi dużo czasu. Ale ty dasz sobie radę - dodał z przekonaniem. - Jesteś silna.

Jeśli mówił szczerze, to był jedyną osobą na świecie, która tak uważała.

- I masz rodzinę, która cię wspiera. Nie jesteś dzieckiem nierozumiejącym zasad rządzących światem.

- Dzieckiem? - Czyżby stracił wszystko jako dziecko?

- Co ci się przydarzyło, Tom? Chciałabym usłyszeć, jak doszło do tego, że taki jesteś?

- Czyli jaki? - Rozciągnął usta w cynicznym uśmiešku.

- Owszem. - Nie dała się zbić z tropu. - Uśmiechasz się w taki sposób, jakbyś... To tylko maska, prawda? Nie próbuj zaprzeczać, wiem, kiedy ludzie się za nią chowają, ponieważ sama tak robiłam przez całe dotychczasowe życie. I ciebie także widziałam bez tej maski. Przestań więc opowiadać te bzdury, że jesteś nie dość dobry i nie masz nic do zaoferowania. To wymówka. Ty po prostu nie pozwalasz nikomu się do siebie zbliżyć.

- Uważaj, lady Sarah - mruknął ostrzegawczo. - Bo jeszcze pomyślę, że zmieniłaś zdanie co do swojego wolnego stanu.

- Nie zmieniaj tematu. Wyczuwam, kiedy ktoś unika odpowiedzi. Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, zrozumieć. Ludzie skrywają rozmaite rodzinne tajemnice...

- Tajemnica? - Skrzywił się. - Nie, moja rodzina wywołała tak wielki skandal, że nie dało się niczego ukryć.

Wiedziała, co miał na myśli.

- I musisz z tym żyć - powiedziała ze współczuciem. - Starać się trzymać wysoko głowę, choć wiesz, że wszyscy plotkują za twoimi plecami.

- Owszem, muszę z tym żyć - przytaknął z westchnieniem. - Muszę żyć ze świadomością, że mój ojciec się powiesił. Po tym, jak przegrał cały majątek.

- O mój Boże! - wyrwało się Sarah, nim zdążyła przycisnąć dłonie do ust. - Myślałam, że mój ojciec jest niegodziwy, ale nawet on nie zapominał, do czego zobowiązuje nazwisko. Przynajmniej nie całkiem.

- No właśnie - mruknął Tom, uśmiechając się z goryczą. - Większość mężczyzn postarałaby się upozorować wypadek na polowaniu, żeby ich dzieci mogły dziedziczyć. Nawiasem mówiąc, do dziedziczenia pozostały jedynie długi. Już wcześniej dziadek stracił tytuł.

- Stracił tytuł? - Tom pochodził z arystokratycznej rodziny? Co takiego mógł zrobić jego dziadek?

- Poparł roszczenia Karola Stuarta do tronu - wyjaśnił jej Tom, jakby odgadł niewypowiedziane na głos pytanie. - A potem przystąpił do jakobitów. Oto cała historia, lady Sarah. Mój dziadek był zdrajcą. Mój ojciec... cóż... najlepsze, co można

o nim powiedzieć, to to, że był stuknięty. Ale po skandalach obejmujących dwa pokolenia nikt nie ma wątpliwości, że płynie we mnie skażona krew.

- Ty naprawdę straciłeś wszystko - wyszeptała. - Przy tym moje przeżycia... moje troski... - Pokręciła wolno głową.

- Nic podobnego - rzucił ostro. - To, co mi się przydarzyło, w niczym nie umniejsza twoich smutnych doświadczeń.

- Czyżby? Miałam bezpieczny dom. I rodzinę. Choć zawsze mi się wydawało, że spośród nich wszystkich tylko Gideon naprawdę mnie lubi.

- Z tego, co mi mówiłaś, tobie ojciec też zniszczył dzieciństwo.

- Tak, był lubieżnym capem, który nie potrafił trzymać rąk przy sobie, kiedy spotkał na swej drodze ładną kobietę. A co do zobowiązań wynikających z posiadanego tytułu... - Uśmiechnęła się z goryczą. - Dobrze pilnował, żeby każde dziecko urodzone przez moją matkę było spółdzone przez niego. Zostawiał ją samą tylko, kiedy był pewien, że jest w ciąży z jego kolejnym potomkiem.

- Zatem można powiedzieć, że problem mojego ojca był dokładnie odwrotnej natury. Kochał moją matkę do szaleństwa. Kiedy umarła, wydając mnie na świat... zupełnie stracił zainteresowanie życiem. Wiesząc się, chciał mi prawdopodobnie pokazać, jak bardzo żałuje, że to ja przeżyłem.

- Obaj nasi ojcowie byli do niczego - podsumowała, ściągając gniewnie usta. - Twój z własnej woli osierocił niewinne dziecko, dodatkowo wzbudzając w tobie poczucie winy za jego grzechy. Och... - Zacisnęła dłonie w pięści. - Myślałam, że żaden ojciec nie może być gorszy od mojego...

Tom z nikim wcześniej tak otwarcie nie poruszał rodzinnych spraw. Ci, którzy go dobrze znali, wiedzieli o mrocznej historii jego przodków. Często słyszał przykre uwagi, ale nikt nigdy nie pytał, jak sobie radzi z takim brzemieniem. A tym bardziej nie okazywał mu współczucia jak lady Sarah.

Widać było, że z czułością wyobrażała sobie nieszczęśliwego, osieroczonego chłopca, podczas gdy inni skupiali się na piętnie hańby plamiącym rodowe nazwisko. Damy z towarzystwa przyjmowały w stosunku do niego jedną z dwóch strategii. Jedne ignorowały go wyniośle; inne, podniecone reputacją hulaki, otaczały go wianuszkiem. Ani jednych, ani drugich nie interesowały jego odczucia.

- Co się potem z tobą działo? Mówiłaś, że miałaś wówczas zaledwie sześć lat. - Sarah skuliła się na fotelu przy łóżku i oparła podbródek na dłoni. - Musiałaś zamieszkać w sierocińcu?

- Nie. Było jeszcze gorzej. Przygarnęła mnie siostra ojca.

- Jak to mogło być jeszcze gorsze?

- Cóż, jej mąż widział we mnie potomka słabego, zdegenerowanego człowieka, który z kolei był potomkiem zdrajcy. I uważał za swój chrześcijański obowiązek dopilnowanie, bym nie poszedł w ślady przodków. Co w istocie stanowiło wymówkę, żeby mnie bić przy każdej nadarzającej się okazji.

- Twoja ciotka nie próbowała go powstrzymać? Ostatecznie w jej żyłach płynęła ta sama „skażona” krew.

- Teraz rozumiem, że za bardzo się go bała, by mnie bronić. Był tyranem. Ale jako dziecko tego nie pojmowałem. Myślałem, że ona się z nim zgadza i nawet nie próbuje dostrzec we mnie niczego dobrego. - Nagle się uśmiechnął. - Rzecz jasna

ich postępowanie miało łatwy do przewidzenia skutek. Szybko się przekonałem, że moje starania, by być grzecznym chłopcem, niczego nie zmieniają, więc uznałem, że skoro mam tak czy inaczej dostawać lanie, to niech przynajmniej wiem za co.

- I bardzo dobrze - powiedziała z przekonaniem Sarah. - Mam nadzieję, że uprzykrzałeś im życie tak jak oni tobie.

Parsknął śmiechem.

- Chyba mi się to udało. Zachowywałem się okropnie. Nie mogli mnie utrzymać w domu przy nauce, bo wolałem ganiać z wiejskimi chłopakami, którzy wkrótce zaczęli mnie traktować jak swojego przywódcę. To ja rozstrzygałem, zwykle siłą, wszelkie wioskowe spory - dodał z pewną dumą. - Wuj twierdził, że jeśli nie położy temu kresu, skończę jak mój ojciec - na stryczku. I wysłał mnie do wojska. Jako syn dżentelmena nie mogłem się tak po prostu zaciągnąć, a wuj nie kwapił się z wykładaniem pieniędzy, żeby kupić mi stopień. Skierował mnie więc do królewskiej akademii wojskowej w Woolwich, którą ukończyłem jako oficer inżynier - zakończył z kwaśnym grymasem.

- Nie widzę w tym niczego nagannego - powiedziała Sarah. - Justin też wybrał służbę w artylerii, jak nasz dziadek.

- No tak, ale to nietypowy wybór. Zwykle idzie się do kawalerii albo do królewskiej gwardii.

- Ludzie nie wstępują do kawalerii ot tak, dla fasonu - obruszyła się Sarah. Gideon pragnął... - Wydała z siebie drżące westchnienie. - Idealizował Justina, ale nie chciał go naśladować. Dlatego mama kupiła mu stopień w regimencie kawalerii. To ona chciała, żeby się dobrze prezentował, jemu na tym nie zależało. On jest... to znaczy był podobny do mnie. Najszczęśliwszy w siodle. Gdy tylko był w domu, pakowaliśmy juki i wyruszaliśmy na cały dzień. - Oczy Sarah zalśniły żalem i tęsknotą. - Zaczęło się, kiedy byliśmy jeszcze całkiem mali. Wymykaliśmy się z pokoju lekcyjnego, żeby budować tamy na strumieniach, wspinać się na drzewa i urządzać w nich kryjówki. Po wyjeździe do szkoły z internatem nie mógł się doczekać powrotu, żebyśmy mogli znów się razem bawić. Mówiliśmy sobie o wszystkim. Raz czy dwa przywiózł ze sobą przyjaciół, jednak oni tylko psuli zabawę, dziwiąc się Gideonowi, że trzyma z dziewczyną. Ale on uważał, że jestem inna niż reszta dziewcząt. Wytrzymywałam cały dzień poza domem, bez okazywania zmęczenia, bez narzekania na błoto i kolce jeżyn. Potem już ich nie zapraszał.

Rzeczywiście była inna niż reszta kobiet, pomyślał. Mógł z nią rozmawiać jak z przyjacielem. Żałował, że nie znał jej, kiedy był zaniedbanym, niekochanym chłopcem. Może by nie wyrósł w przekonaniu, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Zastanawiał się, czy jej to powiedzieć, kiedy madame przyniosła na tacy śniadanie.

- Dzień dobry. Wygląda pan znacznie lepiej - oceniła, przyglądając się Tomowi z uwagą.

- Dzięki pani doskonałej kuchni - odparł z kurtuazją Tom i posłał gospodyni najbardziej uwodzicielski ze swoich sprawdzonych uśmiechów. - Do tego dwie piękne kobiety tak o mnie dbają, że czuję się jak jakiś sułtan w haremie. - Wyciągnięty na posłaniu wsunął obie ręce pod głowę.

Ku zaskoczeniu Sarah madame Le Brun, która musiała dawno przekroczyć pięć-

dziesiątkę, zachichotała, rumieniąc się jak dzierlatka, po czym żartobliwie pogroziła Tomowi palcem. Następnie dłużej, niż to było konieczne, krążyła po pokoju, udając, że poprawia ustawienie niektórych przedmiotów. Gdy wreszcie wyszła, Sarah spojrzała na Toma karcąco.

- Co? - Wzruszył ramionami, przybierając minę niewiniątka. - Flirt jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Przełykając kolejne łyżki jajecznicy, myślał o tym, że flirtowanie weszło mu w nawyk. Ze wszystkimi kobietami, niezależnie od ich wieku. Kiedy się rumieniły, czuł, że zyskuje nad nimi przewagę. A to z kolei dawało mu poczucie, że panuje nad sytuacją. Flirt stanowił najszybszy sposób na przekonanie się, czy kobieta jest chętna użyć mu swych wdzięków. Jeśli była, nie tracił czasu. Jeśli nie, bez wahania szukał następnej. Metoda się sprawdzała, miał więcej kochanek niż jakikolwiek inny oficer z pułku Zabijaków czy innych oddziałów, w których zdarzyło mu się służyć.

Z lady Sarah było zupełnie inaczej. Wcale nie miał ochoty jej obłaskawiać, bardziej mu zależało, żeby ją poznać. Czuł, że flirtując, mógłby ją do siebie wręcz zrazić. Oczywiście nadal chciał ją pocałować. Ale to miał być inny pocałunek. Chciał...

Znienacka, nie wiadomo dlaczego, przyszły mu do głowy słowa małżeńskiej przysięgi: „Ślubuję ci miłość...”.

Z przerażenia zjeżyły mu się włosy na karku. Przecież nigdy nie brał pod uwagę ożenku. Po prostu Sarah była typem dziewczyny, o której się myśli poważnie, z szacunkiem... Tak. Powinna mieć kogoś, kto będzie ją kochał i szanował... Zaraz, ale czyż nie wzbudzała w nim właśnie takich uczuć? Opiekuńczości, przyjaźni, lojalności? Zrozumiał, skąd to zaskakujące skojarzenie. Lęk ustał. Nie musiał się obawiać, że zrobi coś głupiego, że na przykład zakocha się w niej i poprosi ją o rękę.

Mężczyźni tacy jak on się nie zakochiwali. Bo tego nie umieli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sarah zasiadła przy biurku z filiżanką czekolady i popijając gorącą słodycz, wyglądała przez okno. Ulicą znów ciągnął orszak pogrzebowy. Codziennie kolejni młodzi ludzie umierali od ran odniesionych w bitwie, która zabrała także jej brata. Zamrugwała gwałtownie, ale to nie powstrzymało łez zbierających się pod powiekami. Ostatecznie śmierć Gideona stanowiła powód do płaczu, a do tego widok za oknem przypominał jej o stracie.

Bynajmniej nie martwiła się tym, że odkąd Tom odzyskał siły na tyle, by flirtować z madame Le Brun, zaczął Sarah traktować bardziej jak siostrę. Cały ranek spędzili na rozmowie, dokładnie takiej, jakie kiedyś prowadziła z Gideonem. Otwarcie wymieniali myśli, zwierzali się sobie nawzajem z bolesnych tajemnic i przywoływali wspomnienia z przeszłości.

Sięgnęła do górnej szuflady biurka po chusteczkę. Najciszej, jak mogła, wydumuchała nos, zerkając ukradkiem na Toma, ciekawa, czy zauważył jej przygnębienie. Leżał oparty plecami o poduszki, jego twarz miała ziemisty kolor.

- Zostawię cię, żebyś się wyspał - powiedziała, odwracając twarz tak, by przypadkiem nie dostrzegł śladu łez. - Wyglądasz na zupełnie wyczerpanego.

Nie zamierzała siedzieć w pokoju przez cały dzień i czekać, żeby Tom, znawca kobiet, spojrział na nią w ten szczególny sposób. Zresztą i tak by się nie doczekała. Nie podobała się mężczyznom. Oczywiście, wielu okazywało zainteresowanie jej ręką - wiedzieli, kim jest, jakie ma powiązania rodzinne i jak duży posag. Ale jako kobieta najwyraźniej była mniej pociągająca nawet od pięćdziesięcioletniej belgijskiej gospodyni.

Tom wprawdzie mówił, że chętnie pozostanie chory tak długo, jak ona będzie tego potrzebować, ale pewnie nie traktował tej deklaracji poważnie. Mogła się spodziewać, że gdy tylko poczuje się wystarczająco silny, by wstać o własnych siłach, zapragnie odzyskać wolność. Przecież mówił jej, że tacy jak on się nie żenią. Co oznaczało, że nie chce być związany z jedną kobietą.

Zwłaszcza z niemądrą i brzydką jak ona.

- Muszę się umyć i przebrać... a poza tym zaniedbałam Kastora. Opowiadając ci o naszych przejażdżkach z Gideonem, poczułam, że... - Zagryzła wargę. Niepotrzebne szczegóły niebezpiecznie prowadziły do kłamstwa.

- Jasne - mruknął ze słabym uśmiechem. - Powinnaś wyjść, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. To ci dobrze zrobi. Poza tym rzeczywiście chciałbym się przebrać. Nie ma sensu, żebyś cały dzień przy mnie siedziała.

- Otóż to. - Przytaknęła energicznym ruchem głowy.

Z ulgą weszła do stajni, gdzie przywitały ją znajome dźwięki i zapachy.

- Nie chodzi mi o to, żeby ze mną flirtował. Wcale tego nie chcę - zapewniła Kastora, skrobiąc go czule po aksamitnych chrapach. - Nie znoszę rozpustników. -

Cóż, o Tomie nie mogła powiedzieć, że go nie znosi... – Pora wybrać się na przejażdżkę, nie sądzisz? Ani myślę siedzieć cały dzień w miejscu i czekać, żeby jakiś mężczyzna mnie podziwiał. Albo udawał, że podziwia, bo to chyba typowe dla takich hultajów. – Och... – Z westchnieniem przytuliła się do potężnej końskiej szyi.

Brak odpowiedzi nie zniechęcił jej do dalszych zwierzeń.

– Tom nie ma wprawdzie tytułu poza swoim wojskowym stopniem, ale należy do mężczyzn z wrodzoną skłonnością do dowodzenia, jak moi bracia. Zarówno Justin, jak i major Flint oczekują, że wszyscy będą posłusznie wykonywać ich polecenia. Nie zawsze nawet muszą się odzywać, widać, kim są, już po samej ich postawie. – Tom wprawdzie jeszcze nie miał siły wstać z łóżka, ale mogła sobie wyobrazić, że krocząc dumnie ulicą, wzbudzałby powszechne zainteresowanie. Głównie chyba jednak wśród kobiet...

Kastor parsknął głośno, jakby całkowicie się z nią zgadzał.

– A najgorsze jest to, że nie rozumiem, dlaczego w ogóle mnie to obchodzi. Wiedziałaś, że jest niepoprawnym kobieciarzem, już kiedy zabierałam go z pobojo-wiska. Mogę zakładać z dużym prawdopodobieństwem, że pod moją nieobecność będzie chciał skraść całusa Jeanne. – Ledwie opanowała odruch, by wrócić na górę i temu zapobiec.

Zacisnąwszy usta, podprowadziła Kastora do podestu ułatwiającego wsiadanie.

– Jeśli się dowiem, że zrobił coś takiego, następną miskę rosółu wyleję mu na głowę – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Po ujechaniu zaledwie kilku metrów postanowiła jednak zmienić karę na inną, bo przypomniała sobie, że sama musiałaby zmieniać potem zmoczone rosółem bandaże.

Nim dotarła do Allée Verte, rozważyła chyba z dziesięć możliwości odpłacenia mu za ewentualne łajdactwo, ale jakoś żaden sposób nie poprawił jej humoru. Należało spojrzeć prawdzie w oczy, podniosłaby ją na duchu tylko pewność, że Tom nie będzie próbował całować żadnej innej kobiety.

Nawet gdyby to wymagało zajęcia się jego ustami osobiście. Wprawdzie nigdy jeszcze się nie całowała z mężczyzną, ale chyba nie było to szczególnie trudne? Zresztą bogate doświadczenie Toma w tych sprawach z pewnością by zrównoważyło jej ignorancję.

Gdyby w ogóle uznał ją za wartą całowania...

Determinacja, by mu się spodobać, uleciała z niej bez śladu, gdy tylko przekroczyła próg pokoju. Pod jej nieobecność Tom umył się, ogolił i włożył świeżą koszulę. Jadąc do domu, wyobrażała sobie, że przytuli się do półnagiego, porośniętego szorstkim kilkudniowym zarostem Toma, nadstawi mu swe usta... i przekona się, co nastąpi.

Ten ubrany, czysty, schludny Tom w ogóle nie przypominał „jej” Toma. Nagle dziwnie onieśmielona pojęła, jak bardzo niestosowny był jej plan. Poza tym brak zarostu uwidocznił błądność jego policzków, która natychmiast wzbudziła w niej wyrzuty sumienia.

– O co chodzi? – zaniepokoił się na widok jej miny. – Coś się stało?

Przecież nie mogła się przyznać do swoich niewczesnych rojeń. Skrępowana opuściła wzrok na trzymany w rękach kapelusz.

- Nie lubię tego kapelusza. Pozbędę się go. Zresztą amazonka, do której pasował, musiała zostać spalona po tym, jak ją zabrudziłam na polu bitwy - paplała nerwowo.

- Dajmy spokój amazonce i kapeluszu - przerwał jej łagodnie. - Przecież wiem, że nie o nie chodzi.

- Masz rację. - Podeszła do okna i przez chwilę stała zapatrzona na ulicę w dole. Zbierała w sobie siły i odwagę, by stawić czoło nowemu Tomowi.

- Tyle strat - odezwała się w końcu. - Tylu ludzi, głównie młodych mężczyzn... Wygląda, że nikogo nie obchodzi, co się z nimi stanie. Mieszkańcy miasta robią, co w ich mocy, noszą im jedzenie i picie. Niektóre pensjonaty wykładają na zewnątrz słomę, żeby im było choć trochę wygodniej. - Trzymając kapelusz za rondo, mechanicznie obracała go w palcach. - Żałuję, że nie mogę nic zrobić...

- Przecież robisz. Pielęgnujesz mnie w chorobie. Uratowałam mi życie, lady Sarah.

- Owszem. Dzięki Bogu, że twoi ludzie cię tu przywieźli. Słyszałam, że niektórzy oficerowie, ci, którzy wrócili do swoich kwater, zmarli, nie doczekawszy się pomocy lekarza. Więc tak, wierzę, że cię uratowałam. Ciebie jednego. A tam jest jeszcze tylu innych... - Wskazała za okno. Zawadziła trzymanym w ręku kapeluszem o geranium i parapet zasypały płatki o barwie krwistej czerwieni. - Czuję się taka bezradna... - westchnęła ciężko. - Mary urządziła w swojej szkole regularny szpital.

- Mary?

- Mary Endacott. Kobieta... - Już miała powiedzieć: „która zamierzała wyjść za Justina”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. - Kobieta, która pomogła mi się dostać na pole bitwy, żebym mogła szukać brata. Opiekuje się teraz Justinem. Jest taka zręczna, dobrze zorganizowana. Pielęgnowanie jednego rannego na pewno by jej nie wyczerpało.

- Nie umniejszaj swoich zasług, lady Sarah. To, co zrobiłaś dla mnie, graniczy z cudem. Nigdy nie sądziłem...

- Nie. Nikt inny też by nie podejrzewał, że potrafię zszyć ranę albo troszczyć się o chorego w gorączce. Jestem tylko płochą dziewczyną z wyższych sfer.

- Nie. Sama wiesz, że jest inaczej.

- Czyżby? - Cisnęła zmaltretowany kapelusz w drugi kąt pokoju. - Czego się można po mnie spodziewać poza upodobaniem do modnych strojów i błażej konwersacji?

- Lojalności - odparł bez wahania. - Niewiele dam z towarzystwa wyszłoby z bezpiecznych salonów szukać rannego brata; a nie znalazłszy go, okazało litość komuś innemu w potrzebie. Która z nich byłaby zdolna do takiego poświęcenia? Jeśli już, oddałyby mnie pod opiekę służby, żeby nie kalać swoich delikatnych rączek krwią i potem.

- Nie, z pewnością się mylisz.

- Bynajmniej. Może ta Mary lepiej sobie radzi z różnymi praktycznymi sprawami; nic dziwnego, skoro prowadzi szkołę. Ale nie porównuj swojej wielkoduszności z jej umiejętnością sprawnego działania.

Nic dziwnego, że pragnęła, by to on nadał smak pierwszemu w jej życiu pocałunkowi. Dzięki niemu miała poczucie, że o jej wartości stanowi nie tylko tytuł i bogactwo; jakby Tom dostrzegał w niej coś, czego przed nim nie widział nikt inny.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Miło z twojej strony, że mówisz takie rzeczy, ale...

- Wierzę w to, co mówię - przerwał jej. - Lady Sarah, może dotąd żyłaś pod kłosem, ale ostatnie dni pokazały, jaka jesteś naprawdę. A jesteś dzielna, wrażliwa i dobra. Nie uciekłaś od swoich lęków ani nie skryłaś się za pozorami przyzwoitości. Zakasałaś rękawy i zrobiłaś to, co należało zrobić.

I może właśnie to powinnam zrobić teraz, pomyślała, zakasać rękawy, ująć w dłoń jego twarz i pokazać mu, czego pragnę. Z mocno bijącym sercem podeszła do łóżka, usiadła na skraju pościelenia i wyciągnęła rękę.

Nie nachyliła się i go nie pocałowała, tylko ujęła jego dłoń i przycisnęła do swojego policzka.

- Och, Tom. - Nic dziwnego, że cieszył się takim powodzeniem u kobiet. Zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby im poprawić samopoczucie. I wzbudzić w nich czułość.

Właśnie dlatego rozpustnicy byli tacy niebezpieczni... I ich dotąd unikała.

Na szczęście madame Le Brun weszła z kolejną porcją zupy i świeżo upieczonego chleba, zanim Sarah zebrała w sobie dość odwagi, żeby się ostatecznie wygłupić.

Jednak z nastaniem wieczoru, kiedy zbliżała się pora spoczynku, Sarah coraz mocniej zdawała sobie sprawę z tego, że najbliższa noc będzie inna od poprzednich. Dopóki Tom leżał w gorączce, nie przejmowała się zbytnio faktem, że mieszkają w jednym pokoju. Poza tym przez cały czas pozostawała w pełni ubrana, jako że nie było czasu ani okazji, by się przebierać.

Jednak Tom odzyskał już pełną jasność umysłu. I choć kazała Gastonowi zamontować przepierzenie między łóżkiem a pościeleniem, które miała zajmować, czuła się nieswojo na myśl, że ma wejść do ich wspólnej sypialni w nocnym stroju. Zwłaszcza że przez całe popołudnie nie mogła się powstrzymać od rozmyślań o pocałunkach.

Musiała przyznać z westchnieniem, że Tom nie powiedział ani nie próbował zrobić niczego niestosownego. Wychwalał ją, że jest lojalna, dzielna i dobra, lecz w ogóle nie wspomniał o tym, że mogłaby wzbudzać pożądanie.

Moszcząc się na sienniku, z kocem podciągniętym pod brodę, próbowała sobie wmawiać, że wcale jej nie zależy na zainteresowaniu niepoprawnego rozpustnika. Zresztą konieczność oganiania się przed jego awansami byłaby okropnie męcząca...

Obróciła się na bok i poprawiła poduszkę. Nie należało zapominać, że gdyby próbował ją uwieść, robiłby to z najniższych pobudek; taką już miał naturę, że starał się zaciągnąć do łóżka każdą kobietę. Duma by jej nie pozwoliła dołączyć do jakże licznej gromady tych nieszczęśnic, które mu uległy.

Nawet gdyby ją o to poprosił.

Znów się poruszyła, bezskutecznie szukając wygodnej pozycji. Nie było to łatwe, gdy wiedziała, że Tom leży niewiele ponad metr od niej, odziany jedynie w koszulę. Wkrótce jednak powieki zaczęły jej ciążyć, aż w końcu opadły. Od kilku dni spała zaledwie po parę godzin, pracowała ciężiej i przeżyła więcej, niż przez całe swoje dotychczasowe życie.

I według tego, co mówił Tom, wiele się dowiedziała o sobie. Powiedział, że jest lojalna i dzielna oraz wrażliwa i dobra z taką mocą, że sama nieomal w to uwierzyła.

Bardzo żałował, że nie poprosił o lekarstwo na uśmierzenie bólu. Wprawdzie nie znosił otępienia, jakie czuł po zażyciu laudanum ani też nie chciał się od niego uzależnić, ale bezsenność spowodowana bólem również mu się nie podobała.

A bolało go wszystko. Dosłownie wszystko.

Wsunął rękę pod przykrycie, żeby dotknąć miejsca, które dokuczało mu najbardziej. Z tą dolegliwością mógł sobie poradzić... Poza tym przyszło mu do głowy, że chyba zdrowieje, skoro jego ciało zaczyna mu sprawiać takie kłopoty. Zaczęło się, kiedy lady Sarah wyszła z pokoju, żeby się przygotować do snu. Obok znajdowało się niewielkie pomieszczenie, zajmowane zwykle przez pokojówkę, które obecnie stanowiło jej garderobę. Umywalka musiała stać pod ścianą sąsiadującą z jego łóżkiem, bo wyraźnie słyszał plusk wody nalewanej do miednicy, a potem odgłos chłapania. Wyobraźnia dopowiedziała mu resztę: rozpinanie guzików, fałdy spódnicy opadające miękko na podłogę, namydloną skórę, gładką i białą jak porcelana. Woda spływała jej po ciele w miejscach, które chciał gładzić i których pragnął dotykać. Potem wytarła się ręcznikiem, rzecz jasna, najpierw twarz, potem ręce, nogi, piersi...

Wyjął rękę spod kołdry i zacisnął w pięść. Oddawanie się lubieżnym rozmyśleniom, podczas gdy ona leżała obok niczego nieświadoma, wydało mu się niegodziwe. Z trudem powstrzymał jęk, kiedy z westchnieniem obróciła się na swoim pościeliu. Biedaczka znosiła niewygodę, bo zajął jej łóżko. Po chwili usłyszał, że odrzuciła na bok koc. Widocznie było jej za ciepło.

Pocił się i był ciekaw, czy ona także.

Usta mu zwilgotniały, gdy sobie wyobraził, jak zlizuje słone kropelki z jej skóry, przesuwa językiem po szyi w dół, a potem między piersiami... Pragnął ją smakować, aż zacznie jęczeć z rozkoszy.

Jak na zawołanie wydała z siebie cichy jęk. I przeciągnęła się, jakby odpowiadała na jego nieczyste myśli.

Najpierw zatkał sobie uszy rękami, potem sięgnął nad głowę i naciągnął sobie poduszkę na twarz. Mimo to usłyszał nagły zduszony krzyk Sarah. Usiadł na łóżku. Rzecz jasna nie myślała o nim i niczego sobie na jego temat nie wyobrażała, tylko po prostu męczył ją zły sen.

Znów jęknęła. Tom postawił stopy na podłodze i odczekał, aż pokój przestanie mu wirować przed oczami. Wreszcie wstał, przeszedł do końca przepierzenia i spojrzał na pościel Sarah. Oddech uwiązał mu w gardle. Boże, ależ pięknie wyglądała wyciągnięta przez sen w swobodnej pozie. Widać było jej gorąco, bo zrzuciła z siebie nakrycie i podciągnęła koszulę do kolan. Jako dżentelmen powinien odwrócić wzrok, ale nie mógł oderwać oczu od pięknych kształtów łydek.

- Lady Sarah - odezwał się cicho, klękając obok niej. - Obudź się.

Znów wydała z siebie stłumiony jęk podobny do szlochu. W słabym świetle, które docierało tu od świecy przy jego łóżku, dostrzegł srebrzyste ślady łez na jej policzkach i ten widok natychmiast przywołał go do porządku. Nie myślał już o pieszczaniu odsłoniętych nóg, pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć.

- Lady Sarah - powtórzył trochę głośniejszym głosem. - Masz zły sen.

Ostrożnie dotknął jej ramienia, na co gwałtownie otworzyła oczy.

- Tom! - Nim zdążył wyjaśnić, że znalazł się przy jej pościeliu z całkowicie niewinnych powodów, zrzuciła mu ręce na szyję i przywarła twarzą do jego piersi. - Och,

Tom! To było straszne! Straszne!

- Już dobrze, miałaś zły sen. - Przytulał ją i wdychał jej zapach. Zapach śpiącej kobiety, stanowiący zwykle preludium do zbliżenia.

Zacisnął zęby. Nie tego lady Sarah potrzebowała od niego tej nocy. Nie była doświadczoną kobietą chętną przeżyć chwilę cielesnej przyjemności, tylko bezbronną młodą damą, która weszła w jego życie zupełnie przypadkowo. I w takiej sytuacji należało jej dać poczucie bezpieczeństwa.

Tej nocy prawdopodobnie i tak byłaby bezpieczna, nie tylko dlatego, że sumienie w nim krzyczało jak sierżant podczas musztry. Po prostu nie miał jeszcze dość sił, by zagrażać jej cnocie.

- Nie. - Cała się trzęsła. - To nie był tylko zły sen. Gideon... i...

Zmrużyła oczy.

- Dlaczego wyszedłeś z łóżka?

- Krzyczałaś, więc...

- Obudziłam cię? Och, Tom, bardzo przepraszam.

- Sarah, daj spokój, od paru dni prawie nie spałaś, siedząc przy mnie.

- To nie to samo. Ty byłeś ranny.

- Owszem, ale ty przeżyłaś tragedię.

- Mnie francuski kirasjer nie rozplątał głowy szablą i nie przeleżałam potem wielu godzin pod gruzami - odparła cierpkim tonem. - Chodź, położymy cię z powrotem do łóżka.

- Nie sądzisz, że sam mogę tam wrócić?

- Skąd mam wiedzieć? Wstałeś po raz pierwszy. Nie chcę, żeby cały mój wysiłek poszedł na marne, kiedy zemdlejesz i upadniesz. Będziemy wtedy musieli obudzić Gastona, żeby cię podniósł, bo sama nie dam rady.

Poznał po głosie, że jest szczerze przejęta, choć starała się udawać, że chodzi jej wyłącznie o względy praktyczne. Dopiero co miała zły sen, a zaraz po przebudzeniu troszczyła się jedynie o jego potrzeby. A może po prostu zajmowanie się nim pomagało odwrócić myśli od własnego cierpienia? Poświęcała się dla niego, bo nie mogła nic zrobić dla swoich braci.

Pozwolił się zaprowadzić do łóżka i otulić kołdrą. Na szczęście wysiłek, jakiego wymagało wstanie i przejście paru metrów, całkowicie zażegnał krępujący problem erekcji.

- Wygodnie ci? - spytała.

Przytaknął bez słowa.

- To dobrze. Chyba powinnam jeszcze trochę się przespać. - Obejrzała się przez ramię i wyraźnie zadrżała.

- Nie masz ochoty jeszcze zamykać oczu, co? - spytał domyślnie, wyciągając do niej rękę. Skwapliwie chwyciła jego dłoń. Usiadła na fotelu przy łóżku; przy bladości twarzy jej oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle. - I pewnie nie chcesz o tym mówić - dodał. - Ja też bym nie chciał opowiadać snów, które miałem podczas ostatnich nocy. Kawałki scen, które naprawdę się rozegrały, mieszały się z potwornościami wykraczającymi poza ludzką wyobraźnię.

- Tak, u mnie było podobnie. Te ciała... - Zacisnęła kurczowo palce na jego dłoni. - Wszędzie ciała. Posiekane na kawałki. Ranni leżący na ulicy błagali mnie o wodę,

a ja nie miałam im co dać. I każdy z nich miał twarz Gideona. – Przy ostatnich słowach ściszyła głos do zduszonego szeptu.

Przeklinając w duchu, pociągnął ją na siebie, przytulił do piersi i zaczął delikatnie kołysać.

– To nie był on – wymruczał. – On nie przechodził przez to wszystko.

– Skąd wiesz? Skąd możesz wiedzieć, przez co przechodził?

– No cóż, rzeczywiście nie wiem. Ale... – Nie przypuszczał, że kiedyś przyjdzie mu rozmawiać o tych strasznych snach, które nawiedzały go, kiedy leżał trawiony gorączką. Jednak Sarah powinna wiedzieć, że to, co przeżywała, zdarzało się też innym ludziom. – Mnie ciągle śnił się ten sam sen. O ciężarnej kobiecie, którą znaleźliśmy po przegnaniu Francuzów z pewnej portugalskiej wioski. To była najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Od tamtej pory... od jej śmierci minęły całe lata. Dlaczego więc znów zaczęła się pojawiać w moich snach? W środku tych wszystkich okropieństw z niedawnej bitwy? Jakby wszystko, co najgorsze, o czym nie pozwalasz sobie myśleć na jawie, dopadało cię we śnie, kiedy nie możesz się bronić.

– Właśnie – powiedziała bardzo cicho. – Myślałam o Gideonie, że może tam gdzieś leży, samotny i obolały, jak inni, których widziałam. A potem zasnęłam i spadło na mnie to, co pamiętałam, wymieszane z tym, czego się bałam. – Cała się trzęsła, jakby teraz ona dostała gorączki.

Serce mu się krajało, kiedy na nią patrzył. Pragnął ją pocieszyć, odpłacić jej za to wszystko, co dla niego zrobiła. Czyż nie mógł choć raz w życiu dać kobiecie czegoś więcej zamiast chwili cielesnej rozkoszy?

– Zostań tu ze mną na resztę nocy – wyszeptał jej do ucha. – Będę cię strzegł przed zmorami, tak jak ty strzegłaś mnie.

– Naprawdę moja obecność ci pomogła? – wyraziła powątpiewanie. – Wydawało mi się, że nadal cię dręczą.

– Nie ustały całkowicie, owszem... – przyznał. – Ale nawet podczas tych najgorszych koszmarów czułem twój zapach i to mi pomagało. Zapach fiołków już zawsze będzie mi przypominał ciebie. I poczucie bezpieczeństwa w twoich ramionach. – Odetchnął głęboko. – Nawet we śnie wiedziałem, że te piekielne sceny nie mogą się dziać naprawdę, bo przecież to niemożliwe, by w takich miejscach rosły fiołki. Nawet kiedy nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się tam wziąłem... – Urwał, kręcąc bezradnie głową.

– O mój Boże. Ten wojskowy chirurg mówił, że możesz nigdy w pełni nie odzyskać pamięci.

– Wiem, że przez cały dzień byłem w samym środku walki. W uszach mi dzwoniło od hałasu. Ale prawdę mówiąc, pamiętam tylko luźno połączone fragmenty tego, co się działo. Zgiełk i dym. Wiem, że w nocy przed bitwą, w której zostałem ranny, przeszła burza. W moich snach pioruny mieszały się z hukiem dział, a zapach dymu jakby pochodził z piekielnego ognia.

– Nie dziwi mnie, że masz takie sny. W piątek słysząc było armaty aż w Antwerpii. Rzeczywiście ich huk przypominał odgłosy burzy. Nie wyobrażam sobie, jak głośno musiało być na samym polu bitwy.

– I nawet nie powinnaś sobie wyobrażać – powiedział szybko. Przebiegł go dreszcz, kiedy bezwiednie przesunęła dłonią po jego torsie.

- Co jeszcze ci się śniło?

- Śniło mi się, że nie żyję. I leżę pochowany w grobie. W rzeczywistości przywaliły mnie kamienie z tego zburzonego muru. Wydawało mi się, że ludzie plądrujący nocą pobożowisko to demony, zabierające dusze potępionych. Nie wiedziałem do końca, czy jestem żywy, czy martwy, dopóki rano nie zaczęły śpiewać ptaki. Wiedziałem, że w piekle ich nie ma. Ale i one, choć śpiewały, w moim śnie zlewały się z szabrownikami w wielkie czarne wrony. Po bitwach zawsze zlatują się wrony, żeby dziobać ciała. Miałem wrażenie, że każdy mój siniak i skaleczenie to dowód, że tam były i próbowały się do mnie dobrać.

- Och, Tom! - Objęła go w pasie i mocno przytuliła. - Teraz rozumiem te wszystkie dziwne rzeczy, które wtedy mówiłeś. To musiało być okropne.

- Wybacz mi. Jestem taki głupi! - Zamiast koić jej nadwerężone nerwy, jeszcze bardziej ją zaniepokoił. - Nie powinienem był mówić o tym wszystkim, to nie mogło ci pomóc.

- Akurat pomogło - stwierdziła zdecydowanie. - Bo jesteś mężczyzną i do tego żołnierzem. Jeśli nawet zaprawiony w boju oficer miewa takie sny, to znaczy, że nie jest ze mną tak źle.

- Wszyscy mają koszmary po bitwie - rzekł ponuro. - Nikt nie wie, jak im zapobiec. I nikt o nich nie mówi. Zazwyczaj... - dodał z dziwną miną, w której odbijało się zaskoczenie.

Sarah nagle wyswobodziła się z jego objęć, wstała i zniknęła za przepierzeniem.

Tom westchnął z rezygnacją. Już mu się wydawało, że jest na dobrej drodze do wzbudzenia zaufania w lady Sarah, tymczasem musiał widocznie powiedzieć coś niewłaściwego, czym ją do siebie zraził. Cóż, nic dziwnego, że mu nie ufała, bo każdemu rycerskiemu odruchowi z jego strony uporczywie towarzyszyły lubieżne myśli.

Ku jego zdumieniu Sarah wróciła z kocem pod pachą.

- Tylko na tę jedną noc - powiedziała, kładąc się obok niego na kołdrze, którą był przykryty. - Będziemy się przytulać, by odegnąć złe sny. - Narzuciła sobie koc na nogi, następnie oparła głowę na jego obojczyku, przerzuciła ramię przez jego pierś i patrząc w oczy, spytała: - Co ty na to?

Miał wrażenie, że jest w niebie. I zarazem w piekle. Nie było łatwo, kiedy dzieliło ich przepierzenie. Teraz spoczywała w jego ramionach, tak blisko, że wystarczyło, aby odrobinę wyżej uniosła głowę, a mógłby ją pocałować.

- Jestem za. - Pochylił się i musnął ustami jej usta. To miał być niewinny pocałunek na dobranoc.

Sarah wstrzymała oddech; przez moment był pewien, że go wyrzuci. Tymczasem powtórzyła to, co on zrobił, tylko bardziej zdecydowanie, i przywarła do niego całą długością ciała.

- Nie rób tego - wychrypiał.

- Coś cię zabolowało?

- Nie. Tak. Bardzo. - Ukrył twarz na jej szyi. Nie był tak podniecony od czasu swych pierwszych zmysłowych doświadczeń z chętną służącą. Tyle że teraz miał do czynienia z lady Sarah. Z aniołem.

Nie mógł splamić jej honoru, ani w wyobraźni, ani tym bardziej w rzeczywistości.

Przekroczył w życiu wiele granic, naruszył wiele barier, ale nigdy mu się nie zdarzyło wykorzystać cnotliwej kobiety.

- Śpij - poprosił przez zaciśnięte zęby. - Leż spokojnie i staraj się zasnąć.

- A co z tobą?

No właśnie, co z nim? Pragnął tylko pocałunku, niczego więcej. Ale teraz, kiedy już ją pocałował, poczuł dziwny niedosyt. Gdyby nie przestała się wiercić w tak nieświadomie zachęcający sposób, mógłby zapomnieć, co jest jej winien, i posunąć się za daleko.

- Będę cię obejmował. Ilekroć zaczniesz ci się śnić coś złego, będziesz czuła moje ramiona i wiedziała, że to tylko sen.

- Ale...

- **Ćśśś.** Jesteś przy mnie bezpieczna. - Zmienił pozycję, żeby nie poczuła, jak bardzo jest podniecony. - Nigdy bym cię nie skrzywdził, Sarah. Wolałbym umrzeć.

Znieruchomiała. Przyszło mu do głowy, że Sarah wie, jak na niego działa, i pewnie zastanawia się, czy może pozostać w łóżku z pobudzonym żołnierzem. W końcu postanowiła zostać przy nim. Zaufała mu.

Łzy wzruszenia zapiekły go pod powiekami. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek ktoś obdarzył go zaufaniem. Nikt nigdy w niego nie wierzył. Wszyscy zakładali, że nie potrafi dotrzymać danego słowa, że zachowa się niewłaściwie, że zawiedzie i doprowadzi do katastrofy.

Przytulił ją do siebie mocniej, przysięgając sobie w duchu, że wobec niej nigdy tak nie postąpi. Nigdy nie sprawi jej zawodu i nie przysporzy smutku. Choćby nie wiadomo, ile go to kosztowało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lady Sarah obudziła się z uśmiechem na ustach. Tom miał rację. Ilekroć koszmary chciały wtargnąć do jej snów, broniło ją przed nimi bezpieczne ciepło jego ramion. Cieszyła ją też świadomość, że jednak podoba się Tomowi na tyle, by go podniecać. Nigdy nie wyróżniała się urodą, ale przez ostatnie kilka dni bez pomocy pokojówki prezentowała się wyjątkowo marnie. Skromny zapas sukni na zmianę obejmował tylko kilka sztuk przysłanych przez Odette, zamówionych przed ucieczką do Antwerpii. Włosy miała w zupełnym nieładzie, a i cera musiała wyglądać nie najlepiej; od płaczu zawsze puchły jej oczy, dlatego zwykle unikała zalewania się łzami.

Nos, najmniej ładny fragment twarzy, nabierał wtedy bordowego odcienia, co rzecz jasna jeszcze pogarszało sytuację. A oczy, jedyny jej atut, wyraźnie czerwieniały, dopełniając nędznego widoku.

A mimo to Tom był podniecony. W dodatku nie musiała narażać na szwank swojej dumy, bo sam ją pocałował, w dodatku bez najmniejszej zachęty z jej strony. No, w każdym razie bez otwartej zachęty. Przecież wchodząc do jego łóżka, wcale nie myślała o nakłanianiu go do pocałunku. Ani trochę.

Westchnęła z rozmarzeniem. Obiecał, że nie musi się niczego obawiać, bo prędzej by umarł, niż zrobił jej krzywdę. Wiedziała, co miał na myśli: że nie posunie się za daleko kierowany żądzą.

Doszła do wniosku, że takie zachowanie stoi w sprzeczności z jego powszechnie znaną reputacją rozpustnika. Oni bowiem z zasady nie przejmowali się cudzymi odczuciami. Wiedziała o tym aż za dobrze, bo jej ojciec jak nikt inny zasługiwał na to miano. Jeśli tylko zapragnął jakiejś kobiety, brał ją, czy tego chciała, czy nie.

Jak ludzie mogli tak niesprawiedliwie oceniać Toma? Tom był mężczyzną, kawalerem, który w pełni korzystał z życia. Robił mniej więcej to samo co jej bracia i inni oficerowie. Może tylko częściej i z większą liczbą kobiet niż oni.

- Nie śpisz już?

Słyszając jego głos, odwróciła głowę tak, żeby popatrzeć mu w twarz. Przez noc zgolony poprzedniego dnia zarost zdążył odrosnąć i znów wyglądał jak jej dawny Tom. Poczerniały od prochu ranny wojownik, którego znalazła na poboju. Jednak nie dlatego wzdychała. W każdym razie nie tylko dlatego. Westchnienie wzbudził ten szczególny wyraz jego zielonych oczu. Zrobiłby wrażenie nawet na rozsądnej, praktycznej kobiecie.

A ona przecież nigdy taka nie była.

Westchnęła jeszcze raz.

- Dziękuję ci za tę noc.

- Uhm. - Poruszył się, jakby go coś bolało. - Lady Sarah, cieszę się, że mogłem być przydatny, ale teraz...

- Tak? O co chodzi? - Usiadła i z niepokojem spojrzała mu w twarz. - Coś cię boli? Skrzywił się i zacisnął dłonie na kołdrze, którą był przykryty.

- Potrzebuję... Mogłabyś wezwać Gastona? A potem zostawić mnie na chwilę?

Prawdopodobnie musiał skorzystać z nocnika. Zawstydzona szybko poderwała się z łóżka.

- Oczywiście. - Podeszła do kominka i mocno szarpnęła za sznur dzwonka. - Teraz, kiedy czujesz się już lepiej, pewnie będziesz też chciał spędzić trochę czasu poza łóżkiem.

- I się ogolić - powiedział, trąc szczecinę na brodzie. - Zdumiewające, o ile lepiej się czułem po tym, jak Gaston mnie umył i ogolił.

To było właściwe podejście - korzystać z pomocy kamerdynera przy tych najbardziej intymnych czynnościach. Mimo to poczuła smutek. Wolała, jak mniej dbał o poprawność, i miała nadzieję, że doczeka się następnych pocałunków i przytulania.

Przeszła do swojej małej garderoby, aby także się umyć i przebrać. Jednak w momencie, gdy napełniała miskę wodą, poczuła złość na samą siebie. Dlaczego tak potulnie odeszła, skoro wcale tego nie chciała? Dlaczego pozwoliła mu się tak łatwo odprawić?

Irytacja sprawiła, że ruszała się szybciej niż zwykle i już po chwili była gotowa dzwonić po Jeanne, żeby jej pomogła zapiąć suknię. Co ciekawe, teraz, kiedy nie miała pokojówki do swej wyłącznej dyspozycji, ubieranie zajmowało jej znacznie mniej czasu niż kiedyś. Po powrocie do Brukseli zrezygnowała z bezsensownych jej zdaniem zabiegów, takich jak kręcenie włosów żelazkiem i układanie ich w modną fryzurę. Poprzestawała na czesaniu, splataniu warkocza i upinaniu go spinkami tak, żeby w niczym nie zawadzał. A ponieważ miała do wyboru tylko kilka strojów, nie musiała się długo zastanawiać, który będzie najodpowiedniejszy.

Zastukała do drzwi pokoju Toma. Pokoju Toma? - zastanowiła się. Od kiedy to był jego pokój? Poczowała się jeszcze bardziej nieswojo, kiedy weszła i zobaczyła, że Tom poprzestawiał sprzęty, czy raczej kazał to zrobić Gastonowi.

- Stąd będę mógł wyglądać przez okno, bez wstawania z łóżka - próbował się tłumaczyć na widok jej miny.

- Oczywiście. Całymi dniami nie masz na co patrzeć. To musi być strasznie nudne. - Kolejny znak, że dochodził do zdrowia. Potrzebował jakiegoś zajęcia. I obiektu, na który by mógł popatrzeć.

- Piękna dziś pogoda. Powinnaś ją wykorzystać. Może wyjdź się trochę przewietrzyć.

Nawet nie mrugnęła. Patrząc jej w twarz, nikt by nie poznał, jak bardzo ją raniło jego zachowanie. Ostatecznie miała za sobą długoletnie doświadczenie w odpieraniu brutalnych ataków ojca i subtelniejszych knowań matki, nie licząc znoszenia dokuczliwych plotek. Gdyby pokazywała, co naprawdę myśli, byłaby narażona na wiele przykrości.

- Cóż, skoro rzeczywiście mnie nie potrzebujesz... - powiedziała lekkim tonem - ...to chętnie się wybiorę na przejażdżkę.

Chciał, żeby go zostawiła w spokoju? Proszę bardzo. Kastor przynajmniej szczerze się ucieszy z jej towarzystwa. Nic dziwnego, że wolała konie od ludzi. Niczego nie udawały, nie zmieniały zdania bez powodu...

Wprawdzie nie umiały mówić, ale gdyby umiały, byłyby otwarte i bezpośrednie. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

- Poza wczorajszą krótką przejażdżką mocno zaniedbałam Kastora. I to po tym, jak wspaniale o mnie dbał.

- Doprawdy? - rzucił Tom bez większego zainteresowania. Raz po raz spoglądał za okno, jakby planował ucieczkę. Z objęć czcigodnej damy. Od kiedy jego ciało odpowiadało w wiadomy sposób na jej bliskość, najwidoczniej uznał, że należy się trzymać od niej z daleka. Twierdził wprawdzie, że nie chce się żenić, bo uważa, że nie ma przyszłej żonie nic do zaoferowania, Sarah wiedziała jednak, że tak naprawdę nie chciał się wiązać z jedną kobietą. Znała męskie podejście do tych spraw. Żenili się tylko wtedy, gdy mieli tytuł i potrzebowali potomka, który go odziedziczy, albo żony z posagiem, żeby rozwiązać swoje problemy finansowe. O ile nie zachodziła któraś z tych okoliczności, żaden nie miał ochoty zaprząć się w małżeńskie jarzmo.

Obserwowała postępowanie ojca, widziała podobne zachowanie u Justina. Ale co najważniejsze, słyszała to na własne uszy z ust Gideona.

Pocałunek, a potem noc, którą spędziła w jego objęciach, musiały go śmiertelnie wystraszyć. Prawdopodobnie zakładał, że nabrała jakichś głupich, romantycznych wyobrażeń. Dlatego stał się taki oschły i nieprzystępny. Za dzień lub dwa miał całkiem wrócić do zdrowia i sądząc po jego zachowaniu tego ranka, mogła się spodziewać, że ich dziwna przyjaźń dobiegnie końca.

Żwawym krokiem podeszła do łóżka, wsunęła Tomowi rękę pod szyję i trzymając go za głowę, zgmiotła mu usta pocałunkiem.

Tom wydał z siebie dziwny gulgoczący dźwięk i wyciągnął ramiona, jakby chciał ją objąć.

- Nie. Na razie wystarczy, Tom - oznajmiła, kierując się ku drzwiom. Byłoby inaczej, gdyby to on zaczął, gdyby wykazał jakąkolwiek inicjatywę. Gdyby tego ranka zaczął z nią flirtować... Tak czy inaczej nie mogła pozwolić, żeby to on jej dyktował, jak ma się zachowywać. - Nie chcę, żebyś się zanadto podniecał. Nie w twoim obecnym, delikatnym stanie.

- W moim delikatnym stanie? - powtórzył z niedowierzaniem zaprawionym złością. O ile jemu nie przypadło do gustu użyte przez nią określenie, to jej bardzo się spodobała mina Toma. Patrzył na nią tak, jakby żałował, że nie ma siły za nią pobiec. Choć trudno było ocenić, co by zrobił, gdyby ją złapał: przerzucił sobie przez kolano i wymierzył klapsa, czy może pocałował.

Każda z tych możliwości wydała jej się lepsza niż obojętność.

Dzień był rzeczywiście piękny, a Kastor spragniony ruchu chętnie gnał przed siebie, ale widoczne wszędzie wokół pozostałości wielkiej bitwy nie pozwalały się w pełni cieszyć przejażdżką.

Nim wróciła, radość z tego, że odważyła się sprowokować Toma, zupełnie z niej wyparowała. Wyparło ją poczucie winy. Uświadomiła sobie bowiem, że w obecności Toma przestaje myśleć o Gideonie. A podczas jazdy całe otoczenie dobitnie jej o nim przypominało. Wzdłuż drogi leżeli ranni żołnierze, w rowach walały się części rozbitych wozów i lawet, a nad wszystkim snuł się cuchnący dym z ciał, które palono w wielkich stosach.

Wróciła do domu z ciężkim sercem.

- Ach, *ma petite* - zaczęła ją przy wejściu madame Le Brun. Przejęta wycierała ręce w fartuch. - Co za wiadomość... że ten pani kawaler, ten starający się o panią elegancki oficer, poległ w bitwie.

- Mój... kawaler?

Nie miała żadnego kawalera.

- Kogo pani ma na myśli?

- No jakże, tego oficera kawalerii z wielkimi wąsami. Pułkownika.

- Aha, pułkownika Benningtona Ffoga - powiedziała Sarah obojętnie. W istocie zrobiło jej się przykro, kiedy wyczytała jego nazwisko na liście poległych, nie bardziej jednak niż przy nazwiskach innych mężczyzn, z którymi rozmawiała czy tańczyła zaledwie parę tygodni wcześniej. Choć akurat on częściej niż inni dotrzymał jej towarzystwa.

- Trudno - westchnęła gospodyni, kładąc dłoń na rękawie amazonki Sarah. - Major jest dla pani bardziej odpowiedni niż tamten.

Sarah poczuła żar na policzkach.

- M-major? To znaczy, że pani wie, że Tom... nie jest...

- Pani bratem? - Madame Le Brun popatrzyła na nią z politowaniem. - A jakże. Żaden mężczyzna nie patrzy na siostrę tak, jak on na panią. Poza tym pamiętam obu pani braci. Macie podobne nosy. A ten jest znacznie przystojniejszy. - Wykonała gest aprobaty, unosząc w górę oba kciuki. - Dało mi do myślenia, jak pani powiedziała, że nie chce gości, bo za ostatniej pani bytności drzwi się nie zamykały, tylu ich było. Pani siostra i jej mąż markiz ciągle chodziliście na jakieś bale i przyjęcia... A już miałam jasność - ciągnęła konspiracyjnym tonem - jak przyszedł ten drugi oficer, też z podobnym nosem jak pani. Mówił tak głośno, że chybaby przekrzyczał armaty.

Sarah miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Wydawało jej się, że zachowuje najwyższą dyskrecję i nikt się nie domyśli, że mieszka w jednym pokoju z mężczyzną, który nie jest jej krewnym. A mimo to gospodyni wszystkiego się domyśliła. No i major Flint wiedział, co się dzieje.

Ciekawe, kto jeszcze? - zadała sobie w duchu niepokojące pytanie.

- Nikomu pani nie powiedziała, że major Bartlett i ja... Że major nie jest...

Madame Le Brun wywróciła oczami.

- Dopóki pani płaci, nie obchodzi mnie, co pani wyprawia za zamkniętymi drzwiami.

Czyżby właśnie usłyszała zawołaną groźbę? Madame zamierzała podnieść kwotę czynszu w zamian za milczenie?

- Poza tym... - dodała gospodyni z chytrym uśmiechem - ...zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest Francuzem.

- Francuzem?

- Ci, co go przynieśli, mieli niebieskie kurtki. I jechali francuskim wozem. Dlatego w ogóle nikomu nie mówiłam, że tu jest ranny oficer.

- Ja... - Sarah przypomniała sobie, jak madame Le Brun martwiła się o nią tamtego wieczoru, gdy przybyła konno do Brukseli. Ukryła ją w stajni na wypadek, gdyby Francuzi zdobyli miasto. Pogodziła się nawet z faktem, że po domu biega wielkie psisko, bo widziała, że obecność Bena dodaje Sarah otuchy podczas długich godzin

spędzanych przy łóżku rannego.

Zrobiło jej się wstyd, że choć przez moment podejrzewała madame Le Brun o chęć wymuszenia łapówki.

- Dziękuję pani - wydukała przez ściśnięte gardło.

- Nie ma za co. - Gospodyni wzruszyła ramionami. - Ale nie trzeba za długo nosić żałoby po tamtym. - Poglądziła Sarah po policzku macierzyńskim gestem. - Nie pasował do pani. Słyszałam o tym, jak wasza brytyjska kawaleria walczyła podczas bitwy - mówiła dalej. - Jak szarżowali tu i tam. - Wykonała sugestywne machnięcia. - Wrogowi niewiele zaszkożdzili, ale trafili na złą pozycję i Francuzi urządzili im krwawą jatkę.

- Co takiego? - Sarah poczuła dziwną słabość. Przyjechała do Brukseli, żeby poznać prawdę. Ale czy naprawdę chciała usłyszeć, jak zginął Gideon?

Och, dlaczego nie pozostała w Antwerpii w stanie błogosławionej niewiedzy... Gdyby na własne oczy nie widziała pobojuwiska, nadal mogłaby sobie wyobrażać, że Gideon umarł szybko. Tymczasem...

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać do majora i sprawdzić, jak się czuje. - Z wymuszonym uśmiechem weszła na schody.

Miała wrażenie, że jakaś lodowata dłoń ściska ją w środku. Major Flint twierdził, że Gideon umarł od ciosu szablą, szablą kawaleryjską, taką samą, jaka o mało nie odcięła Tomowi czubka głowy.

Nie chciała wiedzieć, że jej niesforny, lecz czarujący brat bliźniak stracił życie w źle zorganizowanej, niepotrzebnej potyczce, jak opisywała to madame Le Brun. I że został posiekany na kawałki.

Weszła do pokoju i znieruchomiała w progu. Tom czytał gazetę, płachty papieru zaścielały większą część łóżka.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony, dostrzegając cierpienie w jej oczach.

Sarah podbiegła bez słowa i wtuliła się w jego rozpostarte ramiona. Trzymał ją mocno, kołysał, gładził po włosach... i milczał. Nie mówił jej, że wszystko będzie dobrze i że nie powinna się tak przejmować. Czekał cierpliwie, aż będzie gotowa mu się zwierzyć.

- Gideon... - zaczęła w końcu - ...był w kawalerii. A madame Le Brun powiedziała... Podobno miotali się bezładnie i wycięto ich w pień, zanim dokonali czegokolwiek pożytecznego w tej bitwie. Nie mogę znieść myśli, że stracił życie w taki głupi sposób.

- Na pewno tak nie było.

Odsunęła się od niego, jakby ją uraził.

- Tom... przestań. Nie próbuj mnie pocieszać banałami. Choć ty tego nie rób!

- Choć ja? O co ci chodzi?

No właśnie, o co jej chodziło? Dlaczego tak zabołało, że chciał zbagatelizować jej lęki?

- Myślałam... myślałam... - Przecież powtarzał jej, że jest aniołem. Patrzył na nią, jakby ją podziwiał. A teraz mówił tak jak wszyscy inni. Czyżby więc wcześniej udawał? Stosował dobrze wyćwiczone sztuczki? - Byłam taka głupia. Naprawdę myślałam, że mnie szanujesz, że będziesz wobec mnie szczery, że nie potraktujesz mnie tak, jakbym nie miała rozumu!

Chwycił ją za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy.

- Szanuję cię, Sarah. Nie masz pojęcia, jak bardzo. I nigdy bym nie wątpił w twój intelekt. Uważam, że jesteś ideałem... - Przesunął palcem po jej policzku.

Cofnęła się gwałtownie; miała ochotę odepchnąć jego rękę. Jak mógł w takim momencie pozwalać sobie na tego rodzaju gesty.

- I nigdy bym cię nie okłamał, słyszysz?

Przecież właśnie to zrobił.

- Chyba oboje wiemy, że do ideału bardzo wiele mi brakuje - powiedziała z goryczą.

- Dlaczego nie widzisz tego, co ja widzę? Dlaczego w siebie nie wierzysz?

- Bo... - Pokręciła głową jednocześnie zirytowana i bezradna. - Powodów jest zbyt dużo, żeby je teraz wymieniać. Ale jeśli naprawdę chcesz być wobec mnie szczerą, to dlaczego uważasz, że nie zmarnował swojego życia?

- Zastanów się dobrze, Sarah. Twój brat zginął pod Quatre Bras. Z tego, co wiem, nie brał udziału w żadnej szarży. Słyszałem, że był wtedy z pułkownikiem Randallem.

- Z Justinem? - Patrzyła na Toma z niedowierzaniem. - Dlaczego dopiero teraz o tym słyszę? Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

Puścił ją i splótł ręce na brzuchu.

- Przepraszam. Powinienem był to zrobić od razu. W końcu przyjechałaś do Brukseli po to, żeby go znaleźć. - Westchnął. Patrzył na nią z dziwną pustką w oczach. - Chirurg miał rację. Przynajmniej częściowo. Ja... nie pamiętam zbyt wiele z samej bitwy. Jedynie mgliście godziny tuż przed tym, jak zostałem ranny. A potem już nic do czasu, aż się ocknąłem i nie mogłem się ruszyć, przywalony kamieniami. - Skrzywił się na wspomnienie bólu. - Ten epizod najmocniej wyrył mi się w pamięci. Dopiero kiedy powiedziałaś, że w piątek było słycać huk armat, to sobie przypomniałem. To było Quatre Bras. Tam zginął, prawda?

- Tak. Ja... chyba wpadłam w panikę, kiedy madame le Brun zaczęła mówić o kawalerzystach, których tak wielu zginęło podczas bitwy w niedzielę.

Zatem Tom nie próbował jej zbywać, rzeczywiście miał podstawy wierzyć, że było inaczej, niż przedstawiała to madame Le Brun.

- Wiesz, chwilami łapię się na tym, że nadal trudno mi uwierzyć w śmierć Gideona. Przybyłam do Brukseli przekonana, że nie mógł zginąć. Dopiero jadąc przez pobożowisko, tam, gdzie cię znalazłam, zobaczyłam to wszystko... - Zadrżała. - Zobaczyłam, jak kruche jest ludzkie życie.

- Sarah. - Przygarnął ją do siebie. Z głową przyciśniętą do jego piersi słuchała mocnego rytmu jego serca. Zrozumiała, że pielęgnując Toma, nie miała czasu w pełni zmierzyć się z prawdą o Gideonie. Odpychała ją od siebie tak długo, jak tylko się dało.

Głośne pukanie kazało jej się wyswobodzić z objęć Toma i usiąść w fotelu. Odruchowo przyglądziła włosy i pozwoliła osobie za drzwiami wejść.

W progu stanęła madame Le Brun z wyraźnie zatroskaną miną.

- Wiem, mówiła pani, że nie chce gości, ale ten człowiek mówi, że przychodzi od pułkownika Randalla, pani brata. Pomyślałam więc... - Urwała, wymownym gestem rozkładając ręce.

Sarah serce podeszło do gardła. Z jednej strony chciała wiedzieć, jak Justin się miewa, z drugiej jednak, skoro przysyłał posłańca, musiał wiedzieć, gdzie mieszka... i z kim. A to mogło oznaczać jedynie kłopoty.

Cóż, nie była już tą dawną nieśmiałą dziewczyną, która mówiła to, co ludzie chcieli od niej słyszeć, żeby tylko zostawili ją w spokoju.

- Dobrze pani zrobiła, madame. Proszę go przysłać na górę.

Ledwie drzwi za madame się zamknęły, chwyciła Toma za rękę. Dotyk jego ciepłej dłoni dodawał jej otuchy. Nie oczekiwała od niego obrony przed własnym bratem. Wręcz przeciwnie. Jeśli Justin wiedział, że mieszka z człowiekiem, którego przezywano Kocurem, istniała możliwość, że to ona będzie musiała bronić Toma.

- Nie opuszczę cię, Tom - obiecała. - Niezależnie od tego, co powie i do jakich gróźb się posunie. Nie opuszczę cię, kiedy będziesz mnie potrzebował.

W napięciu czekała na posłańca od pułkownika Randalla. Tom pół żartem powiedział jej, że chętnie pozostałby chory już na zawsze, gdyby to ją zatrzymało przy jego boku. Nie mógł zaprzeczyć, że ilekroć dostrzegła potrzebę, by go bronić, zapominała o poległym bracie bliźniaku i nabierała sił, by stanąć do boju. Cóż to było za miłe poczucie wiedzieć, że ktoś uważa go za wartego obrony. Wcześniej nigdy nikomu nie przyszło to do głowy. Nic dziwnego, że pragnął zostać z nią na zawsze.

Naraz drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł niski, barczysty mężczyzna o szpakowatych włosach.

- Robbins, prawda? - upewniła się Sarah, wstając z fotela. Z majorem Flintem stoczyła otwartą walkę. Teraz można było odnieść wrażenie, że zamierza onieśmielić Robbinsa, zachowując się jednocześnie czarująco i wyniośle.

- Przynoszę list od panny Endacott - odezwał się Robbins, zerkając na Toma przenikliwymi szarymi oczyma.

- Dziękuję. - Sarah odebrała od niego kopertę i uśmiechnęła się olśniewająco, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z niezręczności sytuacji. Uśmiech nie zrobił jednak na Robbinsie takiego wrażenia, na jakie zapewne liczyła, wręcz przeciwnie, jego spojrzenie przybrało ostrzejszy wyraz.

- A jakże się miewa mój brat, pułkownik?

- Bardzo źle, panno Latymor - odparł szorstkim tonem kamerdyner Justina. - Kiedy major Flint powiedział mi, że rezyduje tu pani z majorem Bartlettem, bardzo się zdenerwowałem. Musieliśmy go trzymać we dwóch, żeby tu nie przyszedł ze szpicrutą.

- Cóż, bardzo mi przykro, że się zdenerwował. - Pokiwała głową. - Wolałby zatem, żebym zostawiła jednego z jego oficerów umierającego na poboju?

- Tego nie mogę powiedzieć na pewno, ale wiem, że z tych nerwów kula przemiesciła się. Panna Endacott musiała wezwać chirurga, żeby ją wyciągnął. Do tamtego momentu mu się poprawiało, ale teraz wydaje się umierający.

Sarah oniemiała. Robbins odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

- Nie chciałam mu zaszkodzić - wydukała, blednąc. - Sądziłam, że pomagam.

Gorączkowo rozdarła trzymaną w dłoniach kopertę.

- Och... Mary pisze... Och, jest dokładnie tak, jak mówił Robbins. Miałam nadzieję, że przesadzał. Że próbował mnie przestraszyć, ale... - Opadła na fotel, jakby ktoś podciął jej nogi. - Nawet się nie zastanawiałam, dlaczego do mnie nie pisze. Po prostu zakładałam, że nie wie... że Mary zataja przed nim wiadomości, które mogły-

by mu zaszkodzić. Ale powinnam była... - Rozejrzała się po pokoju niewidzącym wzrokiem. - Nie, tylko nie to... Nie mogę stracić ich obu.

Tom wychylił się i przyciągnął ją do siebie. Zrozpaczona nie próbowała się opierać, kiedy wykorzystał okazję, by ją przytulić. Współczuł jej nieszczęścia, ale był zadowolony, że w najtrudniejszych momentach zwraca się do niego o wsparcie. Kiedy trzymał ją w ramionach, nie liczyło się nic więcej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co ja mam teraz robić? To wszystko moja wina. Wyłącznie moja wina - lamentowała Sarah.

- Przestań - poprosił Tom. W duchu przeklinał Robbinsa najplugawszymi słowy. - Gdyby pułkownik Randall był naprawdę aż tak bardzo chory, jak sugerował Robbins, panna Endacott z pewnością wcześniej by do ciebie napisała. Wie, jak bardzo leży ci na sercu los braci. W końcu była z tobą, kiedy znalazłyście go na pobojowisku.

Sarah trochę oprzytomniała.

- Naprawdę tak myślisz? - Popatrzyła na Toma z niedowierzaniem. - W takim razie dlaczego...

- Robbins jest niezwykle oddany pułkownikowi. Twój brat ma wyjątkową charyzmę i cieszy się wielkim szacunkiem wśród ludzkich szcurów, które nigdy nie miały do czynienia z kimś takim. Z kimś, komu mogą ufać. Pułkownik Randall pokazał im, że człowiek mający władzę niekoniecznie pragnie ich zdeptać, tylko dlatego że może. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Robbins próbował ująć pułkownikowi trosk, specjalnie wpędzając cię w poczucie winy. Może liczy na to, że biegiem wrócisz do brata i zostaniesz tam, gdzie będzie cię mógł mieć na oku.

Oczy zaszły jej łzami.

- Nie! Tego by chyba nie zrobił?

- Nie byłbym taki pewien.

Wyprostowała się sztywno.

- Co za paskudny, niegodny podstęp.

- To typowy sposób działania Zabijaków, Sarah. A co do Robbinsa, to prawdopodobnie jest przekonany, że wyświadcza przysługę także tobie, odciągając cię ode mnie.

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Szkoda, że wszyscy próbują mi urządzić życie, nie pytając mnie nawet o zdanie. I wydaje im się, że tak jest dla mnie najlepiej.

Przeniosła się na fotel i jeszcze raz przebiegła wzrokiem list od Mary.

- Może i masz rację - powiedziała z zadumą. - Mary w ogóle nie pisze, że to moja wina. A jestem pewna, że by napisała, gdyby tak uważała. Nie przepada za mną. Nie bez powodu, przyznaję. Ja... - Przygryzła dolną wargę, a potem wzięła głęboki oddech. W końcu uniosła podbródek i spojrzała Tomowi prosto w oczy. - Namówiłam ją, żeby poszła ze mną na bal do księżnej Richmond. Gussie zbyt kiepsko się czuła, żeby mnie tam zabrać, a ja bardzo chciałam znaleźć Gideona. Bo on... - Urwała, jakby szukała odpowiedniego słowa. - Wiedziałam, że nie mogę tam pójść bez przyzwoitki, a nie mogłam prosić o przysługę nikogo innego. Miałam nadzieję, że się zgodzi, bo tak jak ja Gideona, tak ona chciała ostatni raz zobaczyć Justina, zanim wyruszą do boju.

Przerwała na chwilę, po czym westchnęła i kontynuowała.

- Poszłam na próżno, bo Gideona tam nie było. Ale stało się coś jeszcze gorszego... Justin się wściekł na Mary. Oskarżył ją o to, że ukradła szablę, która przynosiła mu szczęście, i próbuje się wkraść w moje łaski, żeby położyć rękę na jego tytule i pieniądzech... Och, te zarzuty były takie niesprawiedliwe... A za wszystko ja ponosiłam winę. Gdybym jej nie namówiła na ten bal, to nadal byłiby razem i wkrótce by się pobrali.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Owszem, wiem. Mary mi powiedziała. Poza tym przetańczył z nią wszystkie tańce. I patrzył na nią tak, jak nigdy wcześniej nie spoglądał na nikogo. Oni się kochali, Tom. A ja to zniszczyłam.

- Nie. Jeśli naprawdę się kochali, ani ty, ani nikt inny nie mógł tego zniszczyć.

- Och, przestań mnie usprawiedliwiać, Tom. Jestem samolubna i do tego przebiegła. Tak, przebiegła! Pomyśleć tylko, że szczycę się swoją prawdomównością! A ja po prostu rzucam aluzję i pozwalam ludziom myśleć, co chcą, zwłaszcza jeśli mi to ułatwia osiągnięcie celu. Weźmy choćby ten bal. Dałam Gussie do zrozumienia, że idę tam z jakąś szacowną matroną, a nie z drugą panną. Mary myślała, że Gussie wie, że idziemy razem, a ja nie wyprowadzałam jej z błędu.

- Cóż, to nie taki znowu wielki występpek. Ostatecznie nie wymykałaś się na schadzki z kochankiem...

- Nie, ale sam widzisz, jak to wygląda. Zawsze znajduję wymówkę, żeby uniknąć konfrontacji, zamiast stawić czoło sytuacji i powiedzieć, czego naprawdę chcę. Z Antwerpii też wymknęłam się chyłkiem, zamiast przyznać Blanchardsowi, że muszę tu przyjechać. Fakt, nie pozwoliłyby mi na to, więc żeby nie próbował mnie powstrzymać... - Pokręciła głową. - Była niedziela rano. Gussie nie czuła się na siłach, by pójść do kościoła. Spytałam go, czy z nią zostanie, sugerując, że sama zabiorę się z przyjaciółmi, a potem przebrałam się w amazonkę i odprawiłam pokojówkę. Udało się, bo personel Blanchardsa uważał mnie za osobę drobiazgowo przestrzegającą zasad poprawności. Nigdy mnie nie widziano bez pokojówki, stajennego czy innej eskorty. Nie mieściło im się w głowie, że mogłabym własnoręcznie osiodłać konia, a co dopiero sama na nim odjechać. Nie wezwałam stajennego, bo i tak by mnie nie powstrzymał, a tylko by stracił pracę.

Tom odezwał się po chwili wahania.

- Czyli jednak nie jesteś tak całkiem samolubna, bo obchodził cię los tego stajennego. No i postawiłaś się majorowi Flintowi.

- No tak. Rzeczywiście. - Westchnęła. - Ale zrobiłam to po raz pierwszy w życiu. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Pewnie uważasz, że jestem okropna.

- Nie, nie mógłbym tak o tobie myśleć.

- Nie słyszałeś ani słowa z tego, co właśnie powiedziałam, Tom? Jestem tchórzliwa, pokrętna, uparta i do tego mało kobieca.

- Mało kobieca? Jak możesz mówić coś takiego? Obserwowałam cię przez ostatnie tygodnie, jak flirtujesz i czarująco podbijasz brukselskie salony.

- O nie, Tom. Ja nigdy nie flirtuję.

- Tak czy inaczej nie mogłaś się opędzić od adoratorów.

- Ale nie uczyniłam niczego, żeby ich zachęcić - powiedziała z uporem. - Prawdę

mówiąc, znosiłam obecność jedynie tych, których wiedziałam, że nie dążą do małżeństwa. To rodzaj gry, którą nauczyłam się prowadzić z dużą wprawą, żeby uszczęśliwić mamę. Widząc mnie otoczoną wielbicielami, zawsze sądziła, że przynajmniej próbuję wybrać sobie odpowiedniego męża.

- Ale nie próbujesz?

- Nie. Nawet wyprawa do Paryża miała ją przekonać, że staram się zdobyć dobrą partię. Między nami mówiąc, Gussie, Gideon i ja tyle razy zgłaszaliśmy pomysł znalezienia jakiegoś zagranicznego księcia, że w końcu uznała go za własny i wysłała mnie tam, żebym poznała nowych kawalerów, ciekawszych od tych, których spotykałam co sezon w Londynie. A przez cały czas chodziło mi tylko o to, żeby być bliżej miejsca, gdzie stacjonował mój brat.

- Ale Bennington Ffog...

- No cóż, był dowódcą Gideona i Gideon poprosił mnie, żebym była dla niego miła. Wiedziałam, że nie jest na tyle sprytny, by mnie wmanewrować w sytuację sprzyjającą oświadczeniom. Poza tym byłam raczej pewna, że nie chodzi mu o małżeństwo... Wydawało mi się, że po prostu lubi demonstrować swoją zażyłość ze mną przed innymi oficerami. Obojgu nam to odpowiadało.

Zadrżała, jakby sobie uświadomiła coś strasznego.

- Wielkie nieba! Zmieniam się we własną matkę. Przez lata stawiała na swoim, korzystając ze sprytu i intryg... Nie mam jej tego za złe, bo przy takim brutalu jak papa to jedyny sposób na przetrwanie... Ale co mnie tłumaczy?

Na chwilę zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do policzków. Następnie wstała i popatrzyła na Toma z poważną miną.

- Zmienię się, Tom. Od tej pory będę taka jak moja siostra Harriet. Tak, będę bezpośrednia, szczerza i dobra.

- Naprawdę? - spytał z trwogą. Jeśli rzeczywiście zamierzała się zmienić, co to mogło oznaczać dla niego? Najprawdopodobniej to, że zostanie odrzucony.

Jakby na potwierdzenie jego lęków, oznajmiła:

- Pójdę do Justina i powiem mu, że ma się o mnie nie martwić. To znaczy o nas - poprawiła się szybko.

- Jesteś pewna, że to rozsądne? - Serce mu waliło jak oszalałe. Mógł być pewien, że pułkownik zmusi ją do kapitulacji, Randall nie uznawał sprzeciwu. Nie mógł jej jednak tego powiedzieć. Dopiero co mu wyznała, że będzie walczyć o siebie, więc mogłaby pomyśleć, że w nią nie wierzy.

Ze zręcznością doświadczonego żołnierza sięgnął po jedyną broń, jaka mu została. Zamierzał się odwołać do jej troskliwej, opiekuńczej natury.

- Jeśli naprawdę jest w tak poważnym stanie, że nie może sam napisać listu, tylko panna Endacott go wyręcza... - Przyszło mu do głowy, że kondycja pułkownika rzeczywiście musi być kiepska, bo inaczej już dawno wyrwałby Sarah z jego ramion. - Sądzisz, że w tej sytuacji będzie miał siłę, by bez uszczerbku dla swego zdrowia się z tobą spotkać?

- No tak, racja... - Przez moment sprawiała wrażenie stropionej, ale szybko się rozpogodziła. - Może więc nie pójdę do niego tak od razu. Jutro chyba wystarczy? Jeszcze jedna wspólna noc nie robi wielkiej różnicy, prawda? Sądząc po tym, jak patrzył na mnie Robbins... i major Flint także, moja reputacja i tak legła w gruzach.

Naprawdę jesteś aż tak zły, że nawet pielęgnowanie cię w chorobie może narazić na skandal niewinną kobietę? – Spojrzała na niego z nieskrywaną ciekawością.

– Owszem. – Uszy paliły go ze wstydu, ale przysiągł sobie, że nigdy jej nie okłamie.

– Dlaczego? Co takiego zrobiłeś? – Oparła podbródek na dłoni i przyglądała mu się wyraźnie zafascynowana.

Teraz oprócz uszu płonęły mu także policzki.

– Nie mogę z tobą rozmawiać o takich rzeczach. Nie chcę cię gorszyć.

– Bzdura! Rozmowa o tym, co mężczyźni robią w poszukiwaniu... przygód nie może mnie zgorszyć. Poza tym Gideon mówił mi o wszystkim.

– Nie wierzę – odparł zdecydowanie. – Mężczyzna nie zwierza się siostrze ze swoich... jak by to powiedzieć... cielesnych doświadczeń.

– No cóż, nie wdawał się w szczegóły – rzuciła wyniośle. – Ale wiem, że miał romanse. I wiem, że Justin też miewa. Tak sobie myślę, że w dzieciństwie pewnie robiłeś to samo, co moi bracia w swoim czasie. Bójki, podkradanie, buszowanie po stodołach farmerów, wypuszczanie byków z zagrody, szczucie terierów na kurczaki.

– Pułkownik Randall dopuszczał się tych wszystkich występków?

– Och, nie. On nie. Raczej pozostała trójka. Gideon najczęściej wpadał w tarapaty. Ale moi młodszy bracia, bliźniacy, którzy obecnie są w Eton, to istne diablęta. Nie sądzę, żebyś był gorszy od nich. Myślę, że ludzie oceniają cię tak surowo z powodu twojego ojca i dziadka. I to jest wielce niesprawiedliwe.

– Może w tym być ziarno prawdy – przyznał z ociąganiem. – Ale nadal nie jestem mężczyzną, z którym lord Randall chciałby cię widzieć.

Przekrzywiła głowę na bok i przyjrzała mu się z uwagą.

– Rzeczywiście. Mama i Gussie też by cię nie uznały za odpowiedniego kandydata, bo nie masz tytułu, ziemi ani pieniędzy. Nie z własnej winy. Ale to cię nie czyni złym człowiekiem.

– Jestem ostatnim człowiekiem, którego rodzina by ci wybrała na męża.

– To prawda – potwierdziła z zadumą. – Ale przecież ja nie chcę męża – dodała radośnie. – Może się okazać, że utrata reputacji wyjdzie mi na dobre. Po tym... – Szerokim machnięciem wskazała na łóżko i rozłożone obok prowizoryczne pościele. – Nawet mama da sobie spokój z szukaniem dla mnie szacownego kandydata. Bo nie sądzę, żeby ktoś taki teraz mnie zechciał?

– Gdyby się o tym dowiedział, to raczej nie doszłoby do zaręczyn – potwierdził Tom.

– Mogłabym wyjechać i zamieszkać w którejś z naszych mniejszych posiadłości gdzieś na prowincji – powiedziała z rozmarzeniem. – Nie potrzebowałabym licznej służby. Im mniej osób, tym lepiej, bo przez ostatni tydzień odkryłam, że o wiele łatwiej się żyje bez obskakujących mnie nieustannie pokojówek. Jeśli tylko będę mogła trzymać w stajni Kastora i często jeździć w teren, to mi w zupełności wystarczy do szczęścia.

Nagle się zasepiła.

– Mama na pewno bardzo się zmartwi. Ma wobec mnie takie duże ambicje... a Gussie będzie się czuła winna, bo mama oddała mnie pod jej opiekę. A to z kolei tak rozżłości Blanchardsa, że pewnie nigdy mi nie wybaczy. Nie zechce utrzymywać

ze mną kontaktów i nie pozwoli na to najbliższym. Będę za nimi tęsknić... – skonstatowała ze smutkiem.

Zaraz jednak znów się ożywiła.

– Harriet natomiast w ogóle się tym nie przejmie. Zabawne, zawsze uważałam, że ma okropnie nudne życie na tej swojej wsi, ale jedno muszę jej przyznać: konwenanse nic dla niej nie znaczą. Ma radykalne poglądy i wcale bym się nie dziwiła, gdyby trzymała moją stronę. No, chyba że usłyszy o moim udziale w zerwaniu Justina z Mary, z którą się przyjaźni.

– Sarah. – Tom wziął ją za rękę. Siedziała przed nim i wymieniała koszty, jakie miała ponieść za to, że nieopatrznie zawarła z nim znajomość, podczas gdy on był w stanie myśleć tylko o jednym: jak ją zatrzymać w swoim życiu chociaż na jeszcze jedną noc. Albo przynajmniej namówić na jeszcze kilka pocałunków.

– Harry i Jack nie będą mogli się ze mną widywać, naturalnie – ciągnęła jak nakręcona. – Dopóki nie osiągną pełnoletniości. Wtedy, przy odrobinie szczęścia, może ciekawość skłoni ich do kontaktu z niepoprawną starszą siostrą. Zatem to nie będzie jeszcze koniec świata. Mam na myśli moją zrujnowaną reputację. Tylko z początku będzie trochę nieprzyjemnie, te wszystkie plotki...

Nie mógł jej na to pozwolić. Nie mógł się zgodzić, by z jego powodu marnowała sobie życie.

– Sarah... – zaczął jeszcze raz.

– Tak? – Odwróciła się do niego z uśmiechem tak smutnym, że poczuł się, jakby mu sypano sól na otwartą ranę.

– Jeszcze nie jest za późno. Jestem pewien, że przy wpływach pułkownika Randall'a i jego pieniądzech, znajdzie się ktoś, kto cię poślubi, i cały incydent pójdzie w niepamięć.

Uśmiech zgasł.

– Nie mam zamiaru się zgadzać na takie rozwiązanie – oznajmiła urażona. – Nie po to przez ostatnie cztery sezony unikałam sytuacji prowadzących do oświadczeń, żeby ustąpić teraz, kiedy wolność, prawdziwa, absolutna wolność jest w zasięgu mojej ręki.

– Ale...

– I jeszcze jedno. Skoro ustaliliśmy zgodnie, że moja reputacja legła w gruzach i nie da się jej naprawić, chyba nie ma sensu przestrzegać tych wszystkich zakazów przyzwoitości, nie sądzisz?

Serce zaczęło mu walić jak młotem.

– O czym ty mówisz?

– Potrzebuję cię, Tom. Nie chcę czekać na zły sen, żeby mieć pretekst do szukania pociechy w twoich ramionach. Mówiąc wprost... – Oblała się rumieńcem. – Chcę spędzić dzisiejszą noc w twoim łóżku.

Czy możliwe, że miał aż tyle szczęścia? Czy Sarah naprawdę prosiła go o to, co mu się zdawało?

Gdyby Randall się dowiedział, niechybnie by go zabił. Ale ta perspektywa bynajmniej go nie zniechęcała. Skoro Sarah go pragnęła...

Zakręciło mu się w głowie.

– Doszłam do wniosku, że skoro i tak wszyscy mają mnie uznać za rozwiązłą, to

mogłabym chociaż zakosztować tych przyjemności – oznajmiła radośnie i wyszła do przyległego pomieszczenia, żeby się przebrać na noc.

Mimo że jego łóżko zostało odsunięte od ściany, bez trudu mógł sobie wyobrazić, co się dzieje w garderobie. Wiedział, że powinien zadzwonić po Gastona. Umyć się i ogolić. Przesunął lekko drżącą dłonią po szczęce. Że też nie miał więcej sił... Chciał, żeby na zawsze zapamiętała swój pierwszy raz, a przy swej aktualnej kondycji mógł mieć co najwyżej nadzieję, że pozwoli jej zaznać choć trochę przyjemności.

Sarah wróciła do pokoju w skromnej nocnej koszuli, zapiętej pod szyję, i z kocem przerzuconym przez ramię. Na pytanie, po co koc, uzyskał odpowiedź, kiedy położyła się na kołdrze i okryła sobie nogi – dokładnie tak samo jak poprzedniej nocy.

– Już – westchnęła, wtulając się ufnie w ramię Toma. – Wygodnie, prawda?

Nie mógł przytaknąć, bo serce mu trzepotało jak młokosowi, napięcie w łądźwiach graniczyło z bólem, strużka potu spływała mu po kręgosłupie. Zdołał wydać z siebie nieokreślone chrząknięcie, które mogła zinterpretować jako potwierdzenie.

– Możemy się przytulać przez całą noc – wymruczała jak zadowolona kotka. – Na pewno nic strasznego nam się nie przyśni.

O tak, mógł się nie obawiać sennych koszmarów, bo nie miał tej nocy szans na zmrużenie oka. Czuł na żebrach nacisk jędrnych piersi, miękkie kosmyki włosów Sarah łaskotały go w szyję.

– Nie pozwolę, żeby cię cokolwiek niepokoiło tej nocy – obiecał, całując ją w czubek głowy. Dobry Boże, jak mógł sobie wyobrażać, że Sarah go zachęca, by ją pozbawił dziewictwa? Powinien był wiedzieć, że nie to miała na myśli. Przecież była niewinna. Czysta.

Zamierzał jedynie ją tulić i pilnować jej spokojnego snu, postanowił twardo. Ufała mu i nie mógł jej zawieść.

– Tom?

– Tak? – Miał nadzieję, że przynajmniej nie będzie od niego wymagała rzeczowej rozmowy.

– Nadal mam okropne poczucie winy z powodu Justina. Czyniłam pewne starania, żeby zapobiec skandalowi i nie martwić rodziny. Napisałam do Gussie, kiedy tylko tu przyjechałam, i wyjaśniłam jej sytuację... przynajmniej na tyle, na ile mogłam...

– Widziałem, jak siedziałas przy biurku i coś pisałaś. Światło otaczało cię niczym aureolą. Wyglądałaś dokładnie tak, jak sobie wyobrażam anioła stróża.

Przyjmując wygodniejszą dla siebie pozycję, oparła mu rękę na wysokości pasa. Do licha, dlaczego poprzedniej nocy zebrało mu się na rycerskość i obiecał jej, że nie musi się go obawiać. Teraz musiał sprostać jej oczekiwaniom. Głośno westchnął. Nie mógł złamać danego słowa.

– To dowodzi, jak poważnie byłeś chory. Żeby przyrównywać mnie do anioła...?!
Dobre sobie.

Nawinał sobie na palec kosmyk jej złotych włosów.

– Nie masz powodu, żeby się obwiniać za to, co się stało z pułkownikiem Randallem.

Zesztywniała; przez moment bał się, że urażona, zabroni mu się bawić jej włosami.

mi.

- Chyba masz rację. Pilnowałam, żeby nie narazić na szwank swojej reputacji. Nie żeby mi na niej specjalnie zależało, ale wiem, że Justin by nie chciał słyszeć plotek na mój temat. Swoją drogą dziwi mnie, dlaczego tak się troszczy o nasze rodowe nazwisko, skoro ojciec nieustannie je szargał, kiedy jeszcze to on nosił tytuł. - Wzruszyła ramionami. - Tak czy inaczej, mój przyjazd do Brukseli pozostałby tajemnicą, gdyby nie major Flint. Bo nawet madame Le Brun zachowywała dyskrecję. Powiedziała mi, że dopóki płacę czynsz, nie obchodzą jej żadne skandale.

- Bardzo praktyczne podejście - mruknął Tom. Nie mógł się do końca skupić na tym, co Sarah do niego mówiła. Zastanawiał się, czy chwycić jej rękę i od siebie odsunąć, czy zachęcić ją, by przeniosła ją nieco niżej... Gdyby to ona przejęła inicjatywę, chyba nie musiałby dotrzymywać obietnicy...

- No właśnie. Więc jeśli ktoś jest winny temu, że Justinowi się pogorszyło, to on sam. No i major Adam Flint. Wtargnął tu bez pardonu i krzyczał na ciebie. W dodatku mijał się z prawdą. Po prostu przedstawił własną wersję. Ciebie odmalował w najczarniejszych kolorach, a o mnie mówił tak, jakbym była... kobietą lekkich obyczajów. - Nie kryjąc oburzenia, pokręciła głową. - Podczas gdy jesteś tak słaby, że ledwie możesz wstać z łóżka, nie mówiąc już o wyczynach, które nam imputował.

Tom musiał przyznać, że na samą myśl o poważnym zadaniu pozbawienia Sarah dziewictwa trochę zakręciło mu się w głowie. Prawdopodobnie nie byłoby mu łatwo należycie się z niego wywiązać, o ile w ogóle zdołałby tego dokonać.

- On jest taki sam jak papa - ciągnęła Sarah. - Może używać nazwiska Flint, ale jest Latymorem w każdym calu. Rządzi się i rzuca rozkazy na prawo i lewo, nie zważając na odczucia innych. I nie zastanawia się, jakie to będzie miało dla nich skutki.

- Chyba nie całkiem tak jest - zaproponował słabo Tom. - On po prostu... nie przewidział tych skutków.

- Nie stawaj po jego stronie, Tom! Mężczyźni! - prychnęła ze złością. - Kiedy przychodzi co do czego, to zawsze ze sobą trzymacie. Pewnie dlatego, że obaj jesteście oficerami. Wygląda na to, że darzysz go wielkim szacunkiem.

- Cóż, owszem. Nie zawsze szanowałem oficerów, z którymi służyłem, a byłem w wielu różnych regimentach. Major Flint jest kompetentny. Dobrze sobie radzi z podwładnymi. Jest sprawiedliwy i dzielny.

- Och, daj już spokój. Im bardziej go wychwalasz, tym większą mam ochotę skreślić mu kark.

W tym momencie usłyszeli, że ktoś dobija się do drzwi wejściowych z ulicy. Madame Le Brun zamknęła je już na noc, tym bardziej więc się zdziwili, gdy pukanie się powtórzyło, tym razem do ich pokoju.

- O nie. - Sarah wyskoczyła z łóżka, podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz.

- Przepraszam, ale przyszedł ten drugi - wysapała madame Le Brun, zdyszana po pokonaniu schodów. - Tamten major z tubalnym głosem i kwaśną miną. Żąda widzenia z panią. Ale po tym, co mówiłyśmy... co mi pani powiedziała, mam go wpuścić?

- Nie! Pod żadnym pozorem.

- Tak właśnie pomyślałam, *mon chou*. Już ja się nim zajmę. - Ruszyła z powrotem na schody.

Po chwili usłyszeli stukot podkutych butów, który ustał dokładnie pod ich oknem.

- Lady Sarah! Majorze Bartlett!

- No nie! - syknęła ze złością Sarah. - To już przechodzi wszelkie pojęcie! Jakby umyślnie chciał wywołać skandal.

Podbiegła do okna i uniosła zasłonę, przesunęła na bok doniczkę z geranium i wychyliła się przez parapet.

- Nie dość pan już narobił? Nie wystarczy panu, że zdenerwował Justina? Musi pan tu przychodzić i wywoływać nas po nazwisku, jakby pan koniecznie chciał zrujnować moją reputację!

- Nie musiałbym was wywoływać - odpowiedział jej głos kipiący irytacją - gdyby pani mnie wpuściła.

- Leżę już w łóżku. Dżentelmeni nie odwiedzają dam o tej porze. Proszę przyjść rano o jakiejś normalnej godzinie.

- Zachowuje się pani jak dziewczka z bazaru - ryczał major głosem, przed którym drżeli nawet zaprawieni w boju wiarusi. - A ja wracam właśnie z królewskiej kaplicy, gdzie zostawiłem trumnę pani brata.

Sarah zaniemówiła. Zbladła i zacisnęła drżące dłonie na doniczce.

- Ty... Ty draniu - rzuciła do majora Flinta razem z nieszczęsnym geranium.

Tom usłyszał stuk doniczki uderzającej o kamienie chodnika. Uśmiechnął się pod nosem. Gdyby trafiła Flinta w głowę, natychmiast dręczona poczuciem winy rzuciłaby się ku niemu ze łzami i naręczem bandaży. Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych, major Flint szybko się poddał. Bez wątpienia przeklinając w duchu dzień, kiedy przyszło mu stawić czoło niesfornej przyrodniej siostrze.

Tom przestał się uśmiechać na widok skamieniałej twarzy Sarah. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że właśnie otrzymała wiadomość, po którą przybyła do Brukseli.

Już wiedziała, gdzie się znajduje ciało jej brata bliźniaka, co oznaczało, że jej poszukiwania dobiegły końca. Na razie jednak była zbyt oszołomiona spięciem z majorem Flintem, ale Tom wiedział, że to mogła być ich ostatnia razem spędzona noc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zmęczona płaczem zasnęła w końcu w jego ramionach. Bartlett napawał się bliskością Sarah, patrzył na jej delikatne rysy, zastygłe w uśpieniu, oświetlone łagodnym blaskiem świecy. Nawet gdy w końcu knot zaskwierczał i płomień zgasł, nie mógł oderwać oczu od jej twarzy. W świetle księżycy, pozbawiona koloru, wyglądała jeszcze bardziej zjawiskowo. Kiedy przez sen ściągała brwi, odgarniał jej włosy z czoła i masował je lekko, co natychmiast ją uspokajało.

Marzył, by świt nigdy nie nadszedł, wiedział bowiem, że wraz z nastaniem dnia Sarah się obudzi, wstanie i go opuści. Może nie tak od razu, ale skoro wiedziała już, gdzie jest Gideon i mogła go ostatecznie pożegnać, a Tom odzyskiwał zdrowie, nie miała powodu, żeby zostać.

W końcu się poruszyła, przetarła oczy i wyciągnęła ramiona nad głową. A potem usiadła na łóżku.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, by wiedział, że myślami jest bardzo daleko od niego.

- Wybierasz się do królewskiej kaplicy?

Przytaknęła skinieniem, wstała i wzięła pod pachę zrolowany koc.

- Później odwiedzę Justina. Wszystko mu wyjaśnię. Och, nie martw się, Tom - dała szybko, zauważywszy jego przygnębienie. - Niezależnie od tego, co Justin powie, nie zostawię cię. W końcu on ma Mary, więc dlaczego tobie miałby żałować osobistej pielęgniarce? - Zadarła dumnie podbródek. - Przecież nie masz nikogo innego, żeby o ciebie zadbał.

To nie było to samo. Bez wątpienia Mary opiekowała się pułkownikiem z wielkim poświęceniem, ponieważ bardzo go kochała. Tymczasem Sarah miała zupełnie inne powody, by trwać u boku rannego: chciała pokazać rodzinie, że ma własne zdanie, i udowodnić, głównie sobie, ile jest warta. W tym przypadku uczucie miłości w ogóle nie wchodziło w grę.

Nic więc dziwnego, że tak łatwo sobie radziła z opanowaniem pożądania. Z pewnością nie życzyła sobie, by ich zażyłość ograniczała ją teraz, kiedy wreszcie miała szansę wyzwolić się spod władzy rodziny.

Nachyliła się nad nim i mocno go uścisnęła. Skwapliwie odwzajemnił czuły gest. Jeśli nawet służył jej tylko do osiągnięcia celów, które sobie wyznaczyła, cóż z tego? Powinien doceniać to, co mu się trafiło. Z zachwytem wciągnął w nozdrza zapach fiołków... i starał się go jak najdokładniej zapamiętać.

- Nie zabawię długo - obiecała.

- Wiem, że chcesz pożegnać majora Latymora. Nie spiesz się, nie ma potrzeby. Wezwę Gastona, żeby mnie ubrał i ogolił, a potem spróbuję posiedzieć trochę na fotelu. Nie zdziwię się jednak, jeśli mnie to zmęczy i będę potrzebował drzemki.

- Och, biedny Tom - westchnęła ze współczuciem. - Zapominam, jak bardzo jesteś chory. Wcale dziś dobrze nie wyglądasz. Mam ci coś przynieść z miasta?

- Nie, dziękuję. Będę musiał sobie sprawić nowe pistolety w miejsce tych, które mi skradziono, gdy byłem nieprzytomny. I obstałować nowe buty. Mam zapasową parę w bagażu, ale teraz została mi już tylko ona. Wszystko to jednak może zaciekać, aż będę w stanie pójść do szewca o własnych siłach.

- Ubranie - powiedziała takim tonem, jakby nagle odkryła coś ważnego. - Wielkie nieba, zupełnie nie zadbałam o żałobny strój. A przecież zamierzam się pomodlić przy trumnie Gideona. Mam tylko czepek i żakiet w wesołym niebieskim kolorze. Gussie od razu by sobie sprawiła coś czarnego.

- No tak, ale ty siedziałas przy mnie dniami i nocami - przypomniał jej z naciśnięciem. Robisz sobie wyrzuty, że byłaś bardziej skupiona na ratowaniu życia niż na szukaniu odpowiednich strojów?

- Tobie nie przeszkadza to, jak wyglądam, prawda Tom?

- Dla mnie zawsze wyglądasz pięknie - zapewnił z galanterią.

Zarumieniona skromnie spuściła wzrok.

- Dziękuję. - Chwilę stała nieruchomo, jakby zamierzała jeszcze coś dodać. W końcu jednak tylko się do niego uśmiechnęła i wyszła z pokoju.

Droga do królewskiej kaplicy trwała zaledwie chwilę. Sarah wciąż nie mogła uwierzyć, że nie poczuła momentu śmierci Gideona, mimo że byli sobie tak bliscy. Z drugiej strony przecież tak naprawdę to nie on był w tej trumnie... tylko jego ziemskie szczątki. Jego dusza natomiast...

Nie potrafiła dokończyć nawet w myślach. Serce podeszło jej do gardła. Przebiegł ją dreszcz, serce zatrzepotało jej w piersi, tak gwałtownie, że przez moment nie mogła złapać tchu. Musiała wyjść na zewnątrz, wydostać się z tej zimnej, pustej kaplicy z powrotem na słońce.

Wstąpiła do najbliższego sklepu z zamiarem nabycia czarnych rzeczy niezbędnych podczas żałoby. Nie potrafiła się jednak skupić, widziała wszystko jak przez mgłę, czuła w głębi wzbierający krzyk protestu. Nie! Gideon nie mógł odejść. Nie! Nie chciała zostać sama. Tak bardzo samotna.

Wypełniała kolejne dni rozmaitymi czynnościami, wyszukiwała sobie zajęcia, wszystko po to, by zagłuszyć ten rozpaczliwy krzyk. Przyjechała do Brukseli, spędziła noc w stajni z Kastorem i Benem, odważyła się stawić czoło niechęci Mary, udała się nawet na pole bitwy, by na próżno szukać Gideona. A potem rozpaczliwie uczepliła się szansy uratowania przed śmiercią obcego nieszczęśnika, byle tylko nie myśleć o stracie, z którą nie umiała się pogodzić.

Nic nie pomogło. Zmieniło się tyle tylko, że „Nie!”, które bezustannie kołatało jej w głowie, nie było już odmową przyjęcia prawdy, lecz wyrazem bezsilnego żalu i złości. Nagle ocknęła się z głębokiego zamyślenia i odkryła, że stoi przed drzwiami swojego mieszkania na Rue de Regence, podczas gdy planowała odwiedzić Justina.

Po krótkim zastanowieniu uznała, że tak czy inaczej plan nie był dobry, i weszła do środka. Nie miała siły na spotkanie z Justinem. Zwłaszcza że miał się tak kiepsko, a ona czuła się winna, że to przez nią jego stan uległ pogorszeniu.

W tym momencie potrzebowała...

Wbiegła poschodach na górę i dokończyła w myślach. Potrzebowała Toma. Sie-

dział na łóżku, ubrany w spodnie, świeżą koszulę i kamizelkę. Widząc ją w progu, od razu rozpostarł ramiona.

Ukryła twarz na jego barku i zaniosała się szlochem. Targał nią żal, okraszony szczyptą wdzięczności, że nie musi niczego tłumaczyć. Tomowi wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, jak jej pomóc.

- Jego tam nie b-było - wydukała z trudem, kiedy już mogła wydobyć z siebie głos.
- W ogóle nie czułam jego obecności. Tom, jego już nie ma. Naprawdę nie ma...

- Ćśśś... - Gładził ją uspokajająco po plecach. - Może na tym świecie już go nie ma, ale zawsze będzie żył w twoim sercu.

- Wspomnienia - chlipnęła. - Co mi po nich! Chcę jego! Mojego brata. Potrzebuję go. Tylko on jeden mnie rozumiał. Tylko jemu zależało...

- To nieprawda, ja... - Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. - Mnie zależy... Tak naprawdę, ja... No dobrze, nie mówiłem tego wcześniej żadnej kobiecie... I nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem... Nie umiem w żaden inny sposób wyrazić tego, co do ciebie czuję. Więc to musi być miłość.

- Co takiego?

- Chyba cię kocham, Sarah - wyrzucił z siebie Tom.

Otworzyła usta, ale nie zdołała wydusić ani słowa.

- To pewnie nie najlepszy moment na tego rodzaju deklaracje? Jak na doświadczonego kobieciarza okazałem zaskakująco słabe wyczucie. Wystarczy popatrzeć na twoją minę... - Przesunął delikatnie palcem po jej podbródku. - Ale nie mogłem spokojnie słuchać, jak rozpaczasz, że nikt cię nie rozumie i nie kocha, skoro to nieprawda.

- Ale to niemożliwe, żebyś mnie kochał!

- Dlaczego?

- Bo nie jestem ładna.

- Mówiłem ci, że nie dbam o to, co podoba się innym. Dziś rano odniosłem wrażenie, że mi wierzysz. Dla mnie jesteś piękna! I nie ma to nic wspólnego z tym, jak wyglądasz!

- Ale przecież niepodobna, żebyś mnie kochał za coś innego. Na litość boską, Tom, jestem niemądra i próżna. Nie mam głowy do nauki ani do książek. Nawet kiedy parę razy starałam się zrobić coś dobrego, kończyło się to katastrofą - dodała, wspominając niefortunną próbę wejścia w zażyłość z Mary. Dotknęła jego czoła. - Chyba mylisz mnie z istotą, którą stworzyła twoja wyobraźnia, niezdrowo rozpalona gorączką.

- Nie. Spodobałaś mi się, jeszcze zanim mnie uratowałaś z pobojuwiska i sprowadziłaś do siebie. Obserwowałem cię, kiedy jeździłaś konno z Gideonem czy gromadą adoratorów, i żałowałem, że zszargana reputacja nie daje mi prawa się do ciebie zbliżyć.

- Naprawdę, Tom?

- A od kiedy zostaliśmy tu razem, tylko we dwoje, patrzyłem, jak się krzątasz, stwarzasz mi namiastkę domu, którego nigdy w życiu nie miałem. Jeszcze nigdy z nikim nie rozmawiałem tak szczerze jak z tobą. I nigdy nie miałem ochoty tak rozmawiać. Bo też nigdy nikt nie okazał mi tyle zainteresowania. Nie zaznałem dotąd poczucia takiej więzi z drugą osobą. Wystarczy, że lekko uniesiesz brew, a ja już

wiem, o czym myślisz...

Rzeczywiście, miała wrażenie, że Tom rozumie ją w lot, nie musiała się przy nim wdawać w żadne wyjaśnienia. Choćby po jej powrocie z kaplicy nie zadawał męczących pytań w rodzaju: co się stało z trumną albo czy przypadkiem nie trafiła do niewłaściwej kaplicy, jakich z pewnością mogłaby się spodziewać od sióstr. Gussie i Harriet, obie rzeczowe i konkretne, potraktowałyby dosłownie jej skargę na „nieobecność” Gideona. Tymczasem Tom dokładnie wiedział, o co chodzi.

Łączyło ich porozumienie, jakiego dotąd nie znała. Musiała w duchu przyznać, że nawet Gideon nie rozumiał jej aż tak dobrze jak Tom.

- Nie mam ci nic do zaoferowania, Tom - wyszeptała zdjęta nagłym poczuciem winy. - Wiesz, co sędzę na temat małżeństwa.

- Nie proszę cię, żebyś za mnie wyszła, Sarah - odparł z tym krzywym uśmieszkiem, który zdążyła już dobrze poznać; pojawiał się zawsze, kiedy Tom udawał, że wcale nie czuje się zraniony. Rozpoznawała go tym łatwiej, że sama również dysponowała bogatym repertuarem podobnych grymasów. - Ustaliliśmy już, że twoja rodzina nigdy by mnie nie zaakceptowała. Chciałem po prostu, żebyś wiedziała.

- Aha. - Odchyliła się, żeby na niego spojrzeć. Przyglądała mu się długo i uważnie. Gdyby nie była aż tak nieprzychylna małżeństwu, gdyby nie uważała tej instytucji za rodzaj więzienia, mogłaby przekonać rodzinę, że Tom byłby dla niej wprost idealnym mężem.

- Oni nie są aż tak czuli na punkcie swojego statusu jak niektóre inne rodziny - zaczęła ostrożnie. - Wiem, że mama nie posiadała się z radości, kiedy Gussie poślubiła markiza, ale była prawie tak samo szczęśliwa, gdy Harriet wybrała swojego wykształconego duchownego. Nawet Justin aż tak bardzo nie przejmuje się tym, co ludzie powiedzą. W przeciwnym razie nie zaciągnąłby się do artylerii, prawda?

- Nie o to chodzi - odparł spokojnie Tom. - Nie masz pojęcia, jak okrutnie świat potrafi traktować ludzi, którzy przekroczyli granice przyzwoitości. Nosilem piętno wnuka zdrajcy i syna bankruta samobójcy przez całe swoje życie. Chłopcy ze wsi śpiewali o mnie piosenkę: „Tomek, Tomek, zdrajcy potomek, ukradł bułkę na śniadanie, dostał za to tęgę lanie. Jak wszystkie gagatki wnet trafi za kratki”. Całkiem trafnie opisywała moje dzieciństwo. - Znajomy uśmieszek, jeszcze bardziej gorzki niż zwykle, znów wykrzywił mu usta. - W domu ciotki czułem się tak źle, że wolałem ukraść we wsi coś do jedzenia niż wracać na posiłek. I jak ci już wspominałem, regularnie zbierałem cięgi. Wszyscy więc przewidywali, że źle skończę.

- Och, Tom. To straszne. - Usiadła na łóżku i wzięła go za rękę. - Nikt nie powinien być cię tak traktować z powodu win twojego ojca. Czy dziadka.

- Nie mówię tego po to, żeby budzić w tobie litość - obruszył się. - Po prostu nie chcę narażać żadnej kobiety na publiczną niechęć. A już szczególnie takiej, która bardzo wiele dla mnie znaczy. - Ścisnął jej palce tak mocno, że aż się wzdrygnęła; widząc to, skruszony natychmiast podniósł je do ust i czule ucałował. - Dni spędzone tu z tobą to wszystko, na co mogłem liczyć. A nawet na nie nie zasłużyłem.

- Nie mów tak! - Wyszarpnęła dłoń z jego uścisku. - Dosłużyłeś się stopnia majora. Pokazałeś bojowe męstwo podczas bitwy. Poza kilkoma romansami...

- Wieloma romansami - sprostował cierpkim tonem. - Trzymajmy się faktów.

- No dobrze, wieloma romansami - powtórzyła lekko zarumieniona. - Nie słysza-

łam, by przypisywano ci coś nagannego.

- Może rodzina trzymała to przed tobą w tajemnicy?

- No dobrze, rzeczywiście o pewnych rzeczach mi nie mówią. - Nikt poza Gideonem nie odpowiadał uczciwie i otwarcie na jej pytania. Zawsze słyszała: „Nie ma potrzeby, byś sobie zaprzętała głowę takimi sprawami.” Albo: „To nie jest odpowiedni temat dla dam”. Zadarła podbródek i popatrzyła na niego z wojowniczym błyskiem w oku. - Świetnie, Tom, zatem sam mi powiedz. Co zrobiłeś aż tak złego, że nie możesz się ze mną ożenić? Poza tym, że dostałeś od losu dwóch przodków okrytych niesławą. Jakie masz wady? Uprawiasz hazard?

- Nie. Sądzisz, że mógłbym pójść w ślady człowieka, którym tak pogardzam? Nie znoszę patrzeć, jak moi koledzy oficerowie tracą swój dobytek za sprawą jednego rzutu kośćmi czy odkrytej karty. Uważam, że jak się chce komuś coś odebrać, to już lepiej mu to ukraść.

- Dopuszczasz się kradzieży?

- Odkąd mam co jeść, już nie. Chyba że dostanę rozkaz od dowódcy, by w ten sposób wprowadzić zamęt w szeregach wroga.

- Zatem pozostaje jedynie uganianie się za kobietami. - Wzięła głęboki oddech i czerwona ze wstydu zadała mu najważniejsze pytanie. - Zdarza ci się posiąść kobietę wbrew jej woli? Nie zważając na to, że może być dziewicą?

- Nie! - Widziała, że jego zaskoczenie i odraza są szczere. - Zadawałem się z wieloma kobietami, ale zawsze dbałem, by czerpały z tego tyle samo przyjemności, co ja. A nawet więcej.

- To brzmi jak przechwałka.

- Bynajmniej - odparł bez skrępowania. - Akurat tak mi się podoba. Apetyt na cielesne doznania wiąże się z osobistymi upodobaniami. Ja na przykład lubię żywiołowe, radosne... Potrzebuję... Do licha, nie powinienem z tobą rozmawiać o takich rzeczach.

Wygięła usta w czarującym uśmiechu.

- Tom, to, co opisałeś, nie pasuje do rozpustnika, tylko do normalnego, zdrowego mężczyzny, który potrzebuje... towarzystwa od czasu do czasu.

- Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie namówić, żebym się z tobą ożenił? Naprawdę tego chcesz? Czyżby to, co mówiłaś o wolności, nic nie znaczyło?

- Nie! Przekręcasz moje słowa. - Poderwała się z łóżka i szybkim krokiem przeszła do okna. - Chcę tylko wykazać, że powody, dla których nie chcesz mnie poślubić i myślisz, że nie jesteś odpowiednio dobrym kandydatem na męża, są głupie. To wszystko.

- Doprawdy? - Chłód w jego głosie przyprawił ją o niemiły dreszcz. - To, co jest między nami... nie może prowadzić do niczego poważnego. Nie przetrwa poza tym pokojem - stwierdził ponuro.

- Jakie to ma znaczenie? Co z tego, że nie mamy przed sobą przyszłości? Łączy nas coś wyjątkowego. - Ujęła jego rękę, podniosła do ust i ucałowała po kolei wszystkie kostki dłoni. - Nigdy na żadnym mężczyźnie nie zależało mi tak, jak na tobie. Żaden nie wzbudzał we mnie takich uczuć. Tom, nie rozmawiajmy już o tym. O uczuciach czy o przyszłości. Po prostu...

- Cieszymy się chwilą? - dokończył za nią dziwnie beznamiętnym głosem. Wzruszył

ramionami. – Pewnie. Dlaczego nie? W końcu właśnie w tym jestem najlepszy. W chwytaniu wszelkich okazji, jakie wpadają mi w ręce. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem. Wszystko przez ten cios szablą. – Dotknął bandaża na głowie. – W normalnym stanie umysłu na pewno nie opowiadałbym damie takich niedorzeczności, jakimi cię raczyłem przez ostatnie kilka minut. – Wyswobodził rękę z jej uścisku. – Jak sądzisz, czy madame zgodziłaby się przynieść mi trochę brandy? I coś do jedzenia, ale lepszego od tych jej papek.

Sarah ruszyła ku drzwiom.

– Pójdę ją poprosić – odezwała się, odwracając szybko głowę, żeby nie dostrzegł łez.

Kiedy dotarła do kuchni, uderzył ją w nozdrza zapach tak smakowity, że aż zaburczało jej w brzuchu.

– Tom pyta, czy mógłby dostać coś bardziej... hm... – Urwała bezradnie, nie chcąc źle się wyrażać o wcześniejszych posiłkach serwowanych przez gospodynię. – Treściwego – znalazła w końcu właściwe słowo.

– O, to dobry znak! Widać nabiera sił. Gaston zwrócił na to uwagę dziś rano, kiedy pomagał mu się umyć. A pani, *ma petite*? Jak pani się miewa?

Madame Le Brun nie przestając zagadywać, wniosła na górę zastawioną tacę i nakłoniła Sarah, by zasiadła do stołu wraz z Tomem. Tym razem ich posiłek obejmował, prócz zupy, grube plastry szynki, jajka na miękko i plasterki ogórka.

Dopiero po zjedzeniu połowy zupy Sarah przypomniała sobie o żalobie i o tym, że właściwie nie ma prawa do zażywania jakichkolwiek przyjemności. Zdecydowanym ruchem odłożyła łyżkę.

– O co chodzi? – zdziwił się Tom. – Nie jesteś głodna?

– Przyrzekłam sobie, że odwiedzę dziś Justina. Ale po wizycie w kaplicy... – Pokręciła głową.

– Możesz do niego iść później.

– Jeśli tam pójde i dowiem się, że umarł, kiedy ja chodziłam po sklepach... Nigdy sobie nie wybaczę.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne. A zanim zaczniesz mnie łajać, że nie traktuję cię poważnie, posłuchaj, proszę. Gdyby rzeczywiście umarł albo się na to zanośli, nie sądzisz, że panna Endacott wezwałaby cię pilnie do niego?

– Sama nie wiem. Ona chyba woli, żebym się trzymała z daleka i nie pogarszała swą obecnością stanu jego zdrowia.

– Może tak będzie najlepiej? Mówisz, że nigdy byś sobie nie wybaczyła, gdyby umarł, nim go znów zobaczysz, ale czułabyś się jeszcze gorzej, gdybyś tam poszła i śmiertelnie go zdenerwowała.

– Masz rację – przyznała słabym głosem. – Chyba powinnam poczekać, aż mu się zdecydowanie poprawi.

– Słuchaj – podjął już łagodniejszym tonem. – Zostałaś powiadomiona o jego operacji, czyli była dla niego nadzieja. Może to zabrzmie brutalnie, ale fakt, że przeżył tę operację, znaczy, że najgorsze ma już za sobą.

– Ale czuję się taka... bezużyteczna.

– Poszłaś do kaplicy oddać hołd swojemu bratu bliźniakowi. Jesteś w żalobie, Sarah, a trudno wiele oczekiwać od człowieka w tym stanie ducha. Nie oceniaj się tak

surowo. Dla mnie dokonałaś prawdziwych cudów.

- No tak... - Znów chwyciła go za rękę. - Przynajmniej ty nie umarłeś, czekając na pomoc lekarza.

- No właśnie. Zawdzięczam ci życie.

- Nie tylko mnie - sprostowała szybko. - Zabijaki upewnili się, czy będę zdolna odpowiednio się tobą zaopiekować. Ukradli nawet francuski ambulans, żeby cię tu bezpiecznie dowieźć.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Jedno trzeba przyznać twojemu bratu Justinowi: tak wyszkolił swój oddział, że nigdy nie zostawiają żadnego ze swoich na pastwę losu.

Sarah zagryzła dolną wargę.

- Tak właśnie się zachował major Flint, prawda? Zadbął o ciało Gideona, skoro Justin sam nie mógł tego zrobić. Tak jakby Gideon był jednym z jego podwładnych. O mój Boże... - Znów odezwało się w niej poczucie winy tak mocne, że aż przymknęła oczy. - Nie powinnam była rzucać za nim tą doniczką. W końcu przyszedł mi powiedzieć, gdzie znajdzie Gideona. Nie zamierzał przeszkadzać ani szargać mojego imienia. W każdym razie przynajmniej na początku.

- Owszem, ale nie powinien cię obrzucać tak przykrymi epitetami - odparł szorstkim tonem Tom. - Chętnie bym go obił za to, że śmiał, choćby przez chwilę, myśleć, że mogłabyś... - Urwał i zacisnął zęby ze złością.

- Nie sądzę, żebyś miał teraz dość sił na taką bójkę - zauważyła łagodnie.

- Nie, ale mógłbym go zastrzelić.

- Zaraz, a nie mówiłeś przypadkiem, że twoje pistolety zostały skradzione?

- W istocie to drobna niedogodność. - Wykonał niedbałe machnięcie wolną ręką. - Wkrótce będę mógł kupić sobie nowe.

- Nie chcę, żebyś do niego strzelał - oświadczyła stanowczo. - Jeśli będziecie się pojedynkować z mojego powodu, powstanie okropny skandal. Choć oczywiście wcale mnie to nie obchodzi - dodała szybko, by nie przyszło mu do głowy, że żałuje choć jednej chwili ze spędzonych razem dni.

- Ale mnie obchodzi - mruknął ponuro Tom. - Nie powinnaś narażać swojej pozycji towarzyskiej z powodu troski, jaką mi okazałaś.

- Tyle jest dla mnie warta - rzuciła lekceważąco, pstrykając przy tym palcami. - Gdybyś należał do tego grona, wiedziałbyś, jak to wygląda: każdy stara się zrobić wrażenie na pozostałych. Albo majątkiem, albo wpływami. Do tego panuje powszechna zawiść. - Otrząsnęła się ze wstrętem.

- Ale przecież byłaś jedną z najbardziej popularnych dam w tych kręgach - zdumiał się szczerze.

- Tylko z powodu mojej rodziny. Nigdy tak naprawdę nie zabiegałam o szczególną pozycję czy popularność. Chętnie siedziałabym cały rok w Chalfont Magna, gdyby mama mi na to pozwoliła. Ale gdzie tam! Łatwiej było zgadzać się na plany mamy... albo przynajmniej udawać... - Pokręciła głową w zadumie. - Uczestniczyłam we wszystkich balach, znosiłam wszystkie sezony, zachowywałam się jak wzór cnót, bo tak było po prostu wygodniej. Nie protestowałam, nawet kiedy mama postanowiła nająć guwernantkę, zamiast ryzykować wysłaniem mnie do szkoły. Harriet bowiem wróciła z głową pełną radykalnych pomysłów. Szkoda, że nie słyszałaś, jakie się

podniosło larum, gdy oświadczyła, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo to wbrew jej zasadom.

- Ale ona w końcu wyszła za jakiegoś uczonego?

- Owszem - potwierdziła Sarah z uśmiechem. - Nie sądzę, by mama go zaakceptowała, gdyby nie stanowił alternatywy dla staropanieństwa Harriet.

- Chciałaś wyjechać do szkoły?

- Właściwie to nie wiem. Nie przykładalam wielkiej wagi do niczego poza zażyłością z Gideonem. A on wyjechał do Eton, więc i tak go przy mnie nie było. Dlatego było mi wszystko jedno, czy będę na niego czekać w Chalfont, czy gdzie indziej. Tyle tylko że gdybym wyjechała do szkoły, mogłabym zdobyć jakieś przyjaciółki, tak jak Gussie i Harriet. Miejscowe dziewczęta nie chciały mieć ze mną nic wspólnego. Przypuszczam, że za bardzo się obawiały mojego nieobliczalnego ojca. Poza tym mama ciągle podkreślała, że nie są z naszej sfery.

- Zawsze mi się wydawało, że masz mnóstwo przyjaciół. Ludzi, którzy cię podziwiali i chcieli być przy tobie.

Uśmiechnęła się z goryczą.

- Kogoś o moim pochodzeniu zawsze będzie otaczał tłum ludzi. Problem w tym, że wszystkie panny chcą zdobyć męża, więc rozmowy toczą się wokół flirtów, mody i innych rzeczy, które mnie śmiertelnie nudzą. Wiem, że niektórzy uważają mnie za osobę zimną i wyniosłą. A ponieważ wcale nie chciałam budzić w kawalerach małżeńskich nadziei, zachowywałam się sztywno i nie zachęcałam do kontaktów.

- Wcale taka nie jesteś - zapewnił z ożywieniem. - Ani zimna, ani wyniosła.

- Widziałeś mnie od strony, której nie odsłaniałam nikomu innemu. - Zmarszczyła czoło. - Dla całej reszty jestem powściągliwą, raczej nudną panną z wyższych sfer, do tego niezbyt lotną.

- Czuję się zaszczycony, Sarah.

Poderwała się na nogi i podeszła do okna.

- Słyszałeś, że burmistrz Brukseli zarekwirował wczoraj wszystkie powozy? W końcu wyruszyli na pobojuwisko szukać żywych.

- Sarah. - Głos Toma zdradzał, że nie spodobała mu się raptowna zmiana tematu. Nie czuła się jednak na siłach kontynuować poprzedniego. Nie rozumiała, dlaczego mówi mu o rzeczach, których nie wyjawiała dotąd nikomu poza Gideonem.

- Z pola bitwy wciąż wyczołgują się ranni - ciągnęła, zwrócona do niego plecami. - Krańcowo wycieńczeni pragnieniem i bólem. Nie wiadomo, gdzie ich ulokują. Oficerów odsyłają barką do Antwerpii, ale co do zwykłych żołnierzy... - Urwała i odwróciła się do niego twarzą. - Teraz, kiedy masz się już lepiej, chyba powinnam coś zrobić, jakoś pomóc. Ty mnie już tak bardzo nie potrzebujesz, prawda? Co innego, kiedy miałaś gorączkę, ale teraz...

Tom poczuł chłód przenikający całe jego ciało. Sarah zamierzała go opuścić. Pewnie już by to zrobiła, gdyby nie udawał, że jest słabszy, niż był w istocie. I gdyby major Flint nie próbował jej do tego nakłonić, co przyniosło efekt odwrotny do oczekiwanego.

Mimo wszystko duma nie pozwalała mu prosić, by została.

- Musisz robić to, co uważasz za najlepsze, oczywiście.

Przez chwilę stała i patrzyła na niego oczyma pociemniałymi od kłębiących się

w niej uczyć.

- Jak na razie chyba wybiorę się na przejażdżkę. Kastor potrzebuje ruchu.

A ona potrzebowała chwili spokojnego zastanowienia. Z dala od urodziwej twarzy, uwodzących słów i palącego wzroku Toma.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sarah znienacka sobie uświadomiła, że nabrała zwyczaju rozmawiania z Tomem w taki sam sposób, jak kiedyś z Gideonem. Czyżby podświadomie znajdowała w nim kogoś, kto może zastąpić jej zmarłego brata? Oczywiście nikt nigdy nie mógł zająć miejsca Gideona, ale Tom stał się jej bliższy niż ktokolwiek inny. Ceniła jego opinie. Każdy komplement czy każda uwaga sprawiały jej wielką radość.

Czy zakochiwała się w Tomie? Czy to właśnie te uczucia można było nazwać miłością? Nie wiedziała, skąd miała znać odpowiedź na te pytania.

To by tłumaczyło jej odczucia, kiedy powiedział, że ją kocha. Chciała, żeby ją kochał. Wcześniej lekceważyła i odrzucała takie deklaracje, wiedząc, że mężczyźni mają zwyczaj mówić różne rzeczy, których wcale nie traktują poważnie. Jednak wyznanie Toma, któremu towarzyszyło wypowiedziane z żalem przypuszczenie, że nie ma przed nimi wspólnej przyszłości, zabrzmiało szczerze. I głęboko ją poruszyło.

Czy to oznaczało, że ona również go kochała?

Jeśli tak...

Wszystko się działo tak szybko. Wciąż była rozdarta przez utratę Gideona. Męczyła ją myśl, że zginął zasieczony kawaleryjskimi szablami. Martwiła się, czy Justin przeżyje i będzie mogła się z nim pogodzić. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby teraz umarł; do końca życia miałaby poczucie, że przyczyniła się do jego śmierci.

Jak mogła rozmawiać z Tomem o miłości w takim momencie? I dlaczego miałaby się czuć zobowiązana do odwzajemnienia uczucia, które jej wyznał? Wcześniej nigdy nie przyszło jej do głowy, że powinna pokochać mężczyznę tylko dlatego, że sam wyznał jej miłość.

No i czy powinna tak do końca wierzyć Tomowi? Może wszystkim kobietom, które posiadał, mówił, że je kocha? Może właśnie to wzbudzało w nich „entuzjazm”, który tak mu się podobał? Może to tłumaczyło sukcesy, które odnosił na tym polu?

Natłok myśli przemieszany z dziwną, niemal fizyczną tęsknotą tak ją rozproszył, że omal nie straciła panowania nad wierzchowcem. Zła na siebie ściągnęła mocno wodze i zawróciła Kastora w stronę domu.

Doszła do wniosku, że lepszą porą na przejażdżkę będzie wczesny ranek, nie tylko ze względu na niższą temperaturę, ale też mniejszy tłok na ulicach.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy odprowadzała Kastora do stajni. Spędziła poza domem więcej czasu, niż planowała. W pokoju panował półmrok, współgrający z posępną miną Toma.

- Tej nocy też chcę spać w twoich ramionach - oznajmiła mu od progu. Postanowiła nie rozważać, co wypada, a czego nie, tylko raz w życiu kierować się własnym pragnieniem.

- Ja też tego chcę - przyznał mruklawie.

- W takim razie pójdę się przygotować do snu - oznajmiła już mniej pewnym głosem.

sem i z mocno bijącym sercem umknęła do garderoby.

Nalała wody do miednicy i zrzuciła z siebie zakurzoną amazonkę. Umyła się szybko, powtarzając sobie w duchu, że będą się tylko obejmować. Robienie czegokolwiek ponadto byłoby wielce niewłaściwe.

I podniecające...

Ale wszystkie najprzyjemniejsze rzeczy były uznawane za złe i nieodpowiednie. Dla dziewcząt. Zawsze bardziej lubiła wspinanie się na drzewa i jeżdżenie na kucyku po terenie posiadłości niż grzeczne przesiadywanie w salonie. Nie mogła sobie jednak folgować. Posłusznie spełniała to, czego od niej oczekiwano, w obawie przed niepohamowaną furią ojca i uszczypliwymi uwagami rozczarowanej matki.

Kiedy ojca już nie było, matka i tak zawsze okazywała jej rozczarowanie, niezależnie od okoliczności. Mogła się więc spodziewać niemiłych scen za to, że przyjechała do Brukseli, a nie znalazłszy Gideona, zaopiekowała się Tomem, zamiast wycofać się pod bezpieczne skrzydła Blanchardsów do Antwerpii.

Pozostawało pytanie, jak sama ocenia sytuację. Z pewnością nie była aniołem, ale też nie uważała się za rozwiązłą dziewczynę bez zasad. Owszem, poddawała się urokowi Toma, ale jak dotąd pozostała całkowicie niewinna.

Była po prostu kobietą. Samotną kobietą bez żadnych przyjaciół poza tym jednym, czekającym na nią w łóżku, który uchodził w ludzkich oczach za zepsutego do szpiku kości hulakę.

Ale tylko on ją rozumiał i dostrzegał. I dawał jej pociechę.

Dlaczego miałyby sobie odmawiać? Ze względu na opinie jakichś plotkarzy hipokrytów?

Po momencie wahania uniosła dumnie podbródek i weszła do pokoju.

- Mam wrażenie, że przejażdżka niewiele ci pomogła - odezwał się Tom na widok jej buntowniczej miny. - Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Dzięki - rzuciła cierpko. - Właśnie to chciałam usłyszeć.

- Może by pomogło, gdybym ci rozczesał włosy - zaproponował, nie zważając na jej oschły ton.

- Rozczesał włosy?

Wskazał na grzebień w jej dłoni. Nawet nie pamiętała, że wzięła go z toaletki. Zaniemówiła na chwilę, zastanawiała się, do jakiej kategorii zaliczyć propozycję.

- Przecież sama miałaś zamiar to zrobić. A wiem, ile czasu to zajmuje. Wiele razy widziałem, jak się trudzisz ze splątanymi kosmykami. Myślałem wtedy, że świetnie sobie radzisz bez pokojówki - dodał tonem pochwały. - Chyba możesz skorzystać z małej pomocy?

Uznał, że nie ma nic złego w tego rodzaju propozycji. Najgorsze, co go mogło spotkać, to odmowa. Ale gdyby się zgodziła, zachowałby na zawsze wspomnienie dotyku jej pięknych złotych loków.

Ucieszył się, kiedy usiadła na brzegu łóżka, odwrócona do niego plecami, i gestem rezygnacji podała mu grzebień.

- Kiedyś uważałam, że poddawanie się zabiegom pokojówki to najbardziej męcząca część dnia - odezwała się, kiedy rozplatał jej warkocze. Uwolnione złociste pukle spłynęły jej na ramiona i plecy. Końce sięgały aż do pasa. - Ale to przecież nie mnie bolały ręce od czesania. W ogóle to moim włosom przydałoby się porządne mycie.

- Może poprosimy *madame* o białę i gorącą wodę. Mógłbym ci pomóc.

- Och, byłoby cudownie, Tom - westchnęła. - Tylko... to by się skończyło katastrofą. Nie mam tu żadnego ze specjalnych olejków nadających sprężystość. I nie ma mi kto zawinąć papilotów. Wiem, że to próżność, ale nie chciałabym przy tobie wyglądać jak topielica z głową pełną mysich ogonków.

- Nie wierzę, że mogłabyś tak wyglądać - odparł stanowczo, rozczesując kolejny pukiel. - Już prędzej przypomiłabyś mi syrenę, wyrzuconą na brzeg przez sztormową falę, kradnącą serce nieszczęsnego rybaka, któremu wpadła w sieci.

Pokręciła głową.

- Tom, wygadujesz niestworzone rzeczy. Ale przyznaję, że pokusa jest silna. Mam na myśli umycie włosów - dodała pośpiesznie. - Tylko czy to wypada?

- Niedługo masz się położyć ze mną do łóżka. Spędzić kolejną noc w moich ramionach - przypomniał jej z naciskiem. - To chyba budzi większe wątpliwości?

Przechyliła głowę na bok; niemal słyszał, jak myśli kłębią jej się w głowie.

- Nie - oznajmiła w końcu. - Nie wiem dlaczego, ale przytulanie się do ciebie wydaje mi się zdecydowanie mniej nieprzyzwoite niż pozwalanie, byś mył mi włosy.

Domyślał się, o co jej chodzi. Wyobraził sobie, jak Sarah zamyka oczy i odchyła głowę, on polewa jej włosy z dzbanka, a potem wciera ciepłą mydlaną pianę...

Grzebień wypadł mu z ręki na podłogę. Sarah schyliła się, żeby go podnieść; nocna koszula napięła się jej na pośladkach, podkreślając ich powabną krągłość.

Słyszając zduszony jęk, obejrzała się z wyrazem troski na twarzy.

- Co się dzieje, Tom? Coś cię boli? Nie powinnam ci pozwalać na taki wysiłek. Proszę, połóż się i odpocznij.

- Nie potrzebuję odpoczynku... - Głośno westchnął. - Nie rozumiesz, jakie pragnienia we mnie budzisz, proponując spędzenie nocy w jednym łóżku?

- Wybacz - powiedziała ze skrucą. - Nie chciałam...

- Wiem. I to jest najgorsze. - Poddając się impulsowi, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Nie opierała się, ale też nie odwzajemniała pocałunku. Wyczuł jedynie, że zaczęła głośniejsz oddechać.

- Och, Tom, ty cały drżysz - wyszeptała, oderwawszy się w końcu od niego. - Wysiłek ci nie służy.

- To nie to! Drzę, bo tak bardzo cię pragnę!

- Ja... Myślałam, że to przez twoją marną kondycję.

- Nie, nie dlatego. - Miał ochotę jednym szarpnięciem zedrzeć z niej nocną koszulę i dopaść ustami jej piersi. Zamknął oczy i próbował bezskutecznie powstrzymać jęk wzbierający mu w gardle.

- Tom, co powinnam zrobić? Nie chcę cię torturować.

Przecież wiedziała, że jest mężczyzną o dużych cielesnych potrzebach. Sama siebie ostrzegała przed niebezpieczeństwem igrania z ogniem. Tymczasem pozwalając mu się czesać, rozpałała jego zmysły do czerwoności. Nie zrobiła tego umyślnie, ale skoro już się stało, czy nie powinna ulżyć jego męce...?

Tylko... przysięgła sobie, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie miał nad nią władzy, tak jak jej ojciec nad mamą, a oddając mu się całkowicie, przyznałaby, że odwzajemnia jego uczucia.

Poza tym nie była pewna, czy jest gotowa popełnić grzech, o który i tak wszyscy już podejrzewali ją i Toma. Wciąż mogła wysoko nosić głowę, wiedząc, że podejrzewania są bezpodstawne, bo w pełni zachowała niewinność. Mogła nawet stawić czoło Justinowi ze świadomością, że nie zrobiła nic złego. A gdyby uległa Tomowi, czy potem umiałaby komukolwiek spojrzeć w twarz? Zawsze widziano w niej uosobienie poprawności. Wszyscy by się z niej śmiali, gdyby wyszło na jaw, że dała się uwieść osławionemu rozpustnikowi w angielskiej armii.

Najgorsza jednak była obawa, że straci w oczach Toma. Nazywał ją aniołem, co uważała za zabawne, gorliwie bronił jej czci i mówił o jej czystości z takim szacunkiem... Poczła niespodziewany chłód w piersi. Czy nadal by twierdził, że ją kocha, gdyby straciła niewinność? Gdyby przyznała, że odczuwa pożądanie, jak tamte kobiety, z którymi się zabawiał. Może by uznał, że nie jest lepsza od żadnej z nich?

- Może jednak powinnam spać na drugim łóżku.

- Nie! Proszę, nie chowaj się za tym przepierzeniem. To byłoby jeszcze gorsze. Kiedy jesteś przy mnie, mogę cię przynajmniej obejmować. Czuć twój zapach. - Wiedząc, że przygląda mu się niezdecydowana, dodał z naciskiem: - Nie jestem zwierzęciem, Sarah. Nie zrobię nic wbrew tobie.

- Wiem. Nie podejrzewałam cię o to ani przez moment. Po prostu... - Przygryzła wargę. - Czy to nie będzie dla ciebie za trudne? Mieć mnie obok siebie w łóżku i nie móc...

Nie miała pojęcia jak bardzo.

- Będzie mi trudno niezależnie od tego, gdzie się położysz - przyznał.

- Nie mogę nic zrobić... żeby ci ulżyć?

O tak, mogłaby. Był tak podniecony, że wystarczyłoby dosłownie parę ruchów jej drobnej dłoni, by przywrócić mu spokój.

- Nie - jęknął. Przecież nie była prostytutką, żeby miał od niej oczekiwać takich rzeczy. - Po prostu połącz się przy mnie. Wystarczy mi, że będę cię obejmował.

Spełniła jego prośbę, ale nie wtuliła się w niego miękko jak poprzedniej nocy. Wyczuwał w niej napięcie, prawie tak samo silne, jak jego własne.

Na myśl o czekających go torturach pot zrosił mu czoło. Nie uważał się za dobrego człowieka. Nigdy nawet nie próbował sobie stawiać jakichkolwiek ograniczeń. Ale prędzej sam by sobie poderznął gardło, niż zawiódł zaufanie Sarah.

Leżał więc bezsennie trzecią noc z rzędu. Przyczyna jego mąk, niewinna i ufna, spoczywała w jego ramionach. Niewinna, ale nie nieświadoma...

Nie wiadomo, które z nich odczuło większą ulgę, gdy zaczęło świtać, i Sarah zyskała wymówkę, by wstać z łóżka. Nadal nietknięta. Niewiele miał jej do zaoferowania, ale przynajmniej niczego jej nie zabrał.

- Przysięgam Kastorowi, że rano solidnie pogalopujemy - powiedziała, odrzucając włosy na plecy. - Zanim się zrobi gorąco.

- A ty zawsze dotrzymujesz przysięg... - stwierdził z powagą. Taka właśnie była. Kobieta, która nigdy nie powinna się spoufalać z takim łajdakiem jak on.

Patrzył zamglonym wzrokiem, jak wychodzi z pokoju; wiedział, że prawdopodobnie widzi ją po raz ostatni. W nocy podjął decyzję, że kiedy Sarah wróci z przejażdżki, już go nie zastanie.

Ledwie drzwi się za nią zamknęły, zadzwonił po Gastona.

Major Flint miał rację. Nie powinien mieszkać z Sarah w jednym pokoju. Ostatecznie był rozpustnikiem. Wprawdzie do tej pory w żaden sposób nie naruszył jej cnoty, ale z każdą minutą rosło zagrożenie, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Ludzie mogli sobie mówić różne rzeczy, ale lord Randall w razie potrzeby potrafił zdecydowanie uciszać złośliwe plotki.

Tom miał świadomość, że w miarę odzyskiwania sił jego pożądanie będzie się nasilać. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła mu się opierać. Co gorsza, mógł się spodziewać, że Sarah nie będzie nawet próbowała go powstrzymać. Widział, że jest coraz bardziej ciekawa nowych, nieznanych jej doznań. Zaledwie przed dwoma dniami pocałowała go w taki sposób, że od razu rozległ mu się w głowie ostrzegawczy dzwonek. Jakby sprawdzała, jak daleko może się bezkarnie posunąć. Do tego od dawna dokuczała jej samotność, była szczególnie wrażliwa na poczucie bliskości z drugim człowiekiem i chętna do rozmów o miłości.

Miłość... Skrzywił się z niesmakiem. Jakież on miał prawo do mówienia o miłości? Przecież nawet nie znał tego uczucia. Wiedział tylko tyle, że gdyby sobie pofolgował, gdyby uwiódł Sarah, skradł jej niewinność, to, co do niego czuła, zmieniłoby się w niechęć, a może nawet wstręt.

Nie zniósłby tego. Czyż kilka minut przyjemności było warte żalu trwającego do końca życia? Musiał zniknąć, zanim coraz bardziej kruche zasady, którymi się w życiu kierował, unicestwi żar pożądania; zanim ulegną pasji i tym samym oboje utracą część.

Dotarł do parku.

Dopiero tam sobie uświadomił, że powinien obmyślić jakiś plan działania. Zostawił wszystkie swoje rzeczy w pokoju Sarah z zamiarem posłania po nie później. Tylko gdzie miano by mu je dostarczyć? Do Brukseli znów zaczęli napływać turyści, co oznaczało, że jego dawna kwatera prawdopodobnie została zajęta przez kogoś innego. Uznał, że powinien się tam udać i to sprawdzić.

A może należało wpierw zameldować się u majora Flinta? Flintowi najwyraźniej powierzono szeroko pojętą opiekę nad rannymi. Mógł więc wezwać wojskowego lekarza, żeby przebadał Toma i zakwalifikował go do dalszej służby. O ile po rozmowie z Flintem pozostanie w jednym kawałku...

Mogliby mu przydzielić jakieś lżejsze obowiązki. Choćby papierkową robotę, której nigdy nie brakowało w sztabie. Chybaby sobie poradził z siedzeniem przy biurku i trzymaniem w ręce pióra?

Każda możliwość wydawała się do przyjęcia, byle tylko pozwoliła mu oderwać myśli od Sarah. Tak, z dala od niej i do tego zajęty pracą miałyby się znacznie lepiej.

Podjął decyzję, że stawia się przed Flintem. Zamiast jednak pójść prosto Rue de Ruysbrock, zgnębiony błąkał się bez celu po parku. Nie był tam jedynym żołnierzem, wielu szwendało się po cienistych alejkach, niektórzy wsparci na kulach, inni z rękami na temblaku, widział też paru podobnych sobie, z obandażowanymi głowami.

- Tom! - usłyszał znenacka głos Sarah. Skąd ona się tam wzięła? W dodatku rzucała się ku niemu jak furia, wymachując parasolką niczym szablą. - Jak mogłeś! -

Twarz miała zaczerwienioną ze złości, głos ostry, wojowniczy. Oficer w czerwonej kurtce, zażywający kąpieli słonecznej na pobliskiej ławce, odwrócił ku nim głowę, żeby sprawdzić, kto śmie mu zakłócać odpoczynek.

- Sarah, proszę cię, ścisź głos. - Opuścił ją po to, żeby ratować jej reputację, tymczasem słuchający ich ludzie mogli pomyśleć coś zupełnie odwrotnego.

- Mam ściszyć głos? Coś takiego... - Zamilkła, wyraźnie próbując się opanować. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek powiesz coś równie nieszczerzego... jak hipokryta. No tak, ale tego, że mnie porzucisz, też się nie spodziewałam.

- Nie porzuciłem cię. - Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę pustej alejki. - Zostawiłem ci wiadomość... Wyjaśniłem...

- Nazywasz to wyjaśnieniem? Dwie linijki o tym, że major Flint miał rację i musisz myśleć o swoich powinnościach. Powinnościach! - Ostatnie słowo wyrzuciła z siebie jak przekleństwo. - Nie miałam pojęcia, gdzie cię poniosło.

Sam nie bardzo wiedział, dokąd zmierza.

- Kiedy wróciłam z przejażdżki i zobaczyłam twoje spakowane rzeczy i kartkę na poduszce... Przez cały ranek chodziłam po Brukseli i cię szukałam. Już sobie zaczęłam wyobrażać, że upadłeś i leżysz w jakimś rynsztoku. I gdzie cię znajduję? W parku, gdzie sobie spacerujesz, jakby nigdy nic!

- Nie jestem tu na spacerze.

- Nie czepiaj się słów! Wiesz, o co mi chodzi! Powiedziałeś... powiedziałaś, że mnie kochasz. - Wargi jej drżały. - Tak rozumiesz miłość, Tom? - Oczy zaszły jej łzami. - Porzucasz mnie, kiedy cię najbardziej potrzebuję...

- Potrzebujesz mnie? - Stał jak wryty, zdjęty przerażeniem. Chwycił ją za ramiona. - Coś się stało? Twój brat? Lord Randall, czy on...

- Nie mam pojęcia, jak on się miewa. Nie chodzi o to. - Przełknęła łzy. - Powiedziałeś, że mnie kochasz. Myślałam, że mówisz poważnie. Sądziłam... - Wyraz goryczy ściągnął jej rysy. - A zaraz potem zniknąłeś. Zostawiłeś mnie samą. Nie mam nikogo w Brukseli, Tom, nie wiedziałeś o tym? Justin prawdopodobnie jest umierający, a Mary mnie do niego nie dopuści. Chyba uważa, że powinna go przede mną chronić. A Gideon leży w trumnie w tej ponurej, zimnej kaplicy. Nawet Ben uciekł, gdy tylko Flint pstryknął na niego palcami. Myślałam, że chociaż na tobie mogę polegać.

- Możesz na mnie polegać - zapewnił. - Nie rozumiesz, że próbuję robić to, co należy, ze względu na twoje dobro? Gdybym został z tobą dłużej, teraz, kiedy wracają mi siły, nie wiem, ile jeszcze zdołałbym się opierać pokusie... - Potrząsnął nią delikatnie. - Ten jeden jedyny raz w swoim pokreconym życiu chciałem postąpić właściwie.

- Nie chcę, żebyś postępował właściwie. - Tupnęła nogą. - Nie chcę, żebyś próbował się zachowywać szlachetnie. To nie ty, Tom. A ja chcę ciebie. A jeśli... - Zadarła podbródek, jakby chciała tym dodać sobie odwagi. - Jeśli naprawdę mnie kochasz, to nie zostawiłbyś mnie tu samej, wiedząc, że nie mam wyboru i będę musiała wrócić do Antwerpii z podkulonym ogonem, by błagać wszystkich o przebaczenie. A przecież nie zrobiłam nic złego!

- To prawda, nie zrobiłaś. Jeszcze nie. Ale nie rozumiesz, że jeśli zostanę z tobą dłużej, skończymy jako kochankowie? Nie potrafię się dłużej powstrzymać, za bardzo cię pragnę. Dlatego musiałem odejść. Właśnie dlatego że tak bardzo cię ko-

cham. Chcę dla ciebie jak najlepiej, Sarah. – Uścisnął ją lekko.

– Skąd wiesz, co jest dla mnie najlepsze? Spytałeś mnie kiedyś o to? Nie. – Zaśmiała się z goryczą. – Nikt mnie nigdy o to nie pyta. Wszyscy z góry zakładają, że to wiedzą. Ale nie wiedzą. I ty też nie wiesz.

– Może masz rację. – Opuścił ręce. – Wiem tyle, że zasługujesz na kogoś znacznie lepszego ode mnie, Sarah.

– Nieprawda – zaprzeczyła wzburzona. – Gdybyś wiedział, co zrobiłam dziś rano... – Na moment odwróciła głowę. – Byłam taka surowa dla Adama Flinta. Taka pewna, że to on jest winien. – Pokręciła głową. – Tom, cały czas mówisz o mnie tak, jakbym była wzorem wszelkich cnót. Ale nie jestem. Jestem tylko kobietą. Czasami kapryśną, upartą i pełną złości. Nie ma we mnie nic z anioła, którego widziałeś w gorączce. – Ramiona jej opadły. – Myślałam, że mnie dobrze poznałeś, ale tak nie jest, nadal mnie nie znasz. Więc to twoje mówienie o miłości... To tylko puste słowa, prawda? – Zajrzała mu w oczy. – Idź więc. Zostaw mnie. Po tym, co właśnie zrobiłam Adamowi, mojemu przyrodniemu bratu, zasługuję na to, by być sama.

– Nie, lady Sarah, kiedyś spotkasz mężczyznę, który będzie ciebie wart.

– Sądziłam, że już znalazłam – odparła ze smutkiem. – Ale najwidoczniej się myliłam. Tak bardzo jak ty, kiedy mówiłeś, że mnie kochasz.

– Nie! – Wziął ją za rękę. – Naprawdę cię kocham.

– Ciekawie zatem okazujesz miłość – prychnęła. – Zostawiasz mnie załamana i samotną.

Mijająca ich para starszych ludzi usłyszała jej ostatnie słowa; oboje popatrzyli na majora Bartletta z niechęcią, po czym szybko się oddalili.

– Sarah... – Pociągnął ją z alejki w cień kamiennego lwa. – Nigdy, przenigdy nie chciałem cię zranić. Nie mógłbym tego zrobić świadomie. Wierzyłem, że odchodząc, robię ci przysługę. Przecież aż tak ci na mnie nie zależy.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Ścisnął jej dłoń. – Wiem, że zaopiekowałaś się mną dlatego, że chciałaś samej sobie coś udowodnić. A potem potrzebowałaś wymówki, żeby zostać w Brukseli i poznać prawdę o losie swojego brata bliźniaka. Moja obecność była ci na rękę. Ale...

– Owszem. Wszystko to prawda. Byłam wyjątkowo samolubna. Dopóki nie powiedziałeś, że mnie kochasz, myślałam tylko o Gideonie. Ale potem...

– Co potem? – Serce waliło mu tak mocno, jakby miało rozsadzić zaraz żebra.

– Zaczęłam pragnąć czegoś innego. Chciałam bliskości, z kimś innym niż Gideon. Z tobą.

– Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. – Podniósł jej dłoń do ust. – Ale to niemożliwe.

– Och, Tom, przestań mówić bzdury! No dobrze, byłeś hulaką. Pochodzisz z rodziny owianej skandalem. Nie dbam o to. Ani trochę. Najważniejsze jednak, co myślisz o mnie. Tylko to się dla mnie liczy. Jesteś jedyną osobą, która nigdy mnie nie potępiła. Ani nie próbowała mną dyrygować. – Głos jej niebezpiecznie zadrżał. – Mógłbyś mi nawet wybaczyć to, co zrobiłam – zakończyła, spoglądając mu w oczy z nadzieją i tęsknotą.

– Nie mogłaś zrobić nic złego. Nie wierzę. Jeśli nawet zrobiłaś coś, czego żalu-

jesz... - dodał szybko, przypomniawszy sobie, że wspominała o niewłaściwym potraktowaniu majora Flinta - ...wiem, że nie chciałaś umyślnie nikogo skrzywdzić. Czasami każdemu zdarza się popełnić błąd albo postąpić niewłaściwie czy bezmyślnie. Jesteśmy tylko ludźmi.

- Cóż, przestałbyś mnie nazywać aniołem - powiedziała ze smutkiem.

- Być może. Ale ja nadal jestem tym, kim jestem. Jak sądzisz, dlaczego lord Randall wybrał mnie do swojego oddziału? Bo zawsze sprawiałem kłopoty. I nakłaniałem do tego innych.

- Masz na myśli to, jak zebrałeś w bandę tych wiejskich chłopaków, którzy prześladowali cię głupią piosenką? I organizowałeś im rozmaite przygody? - Oplotła palcami jego dłoń. - Jesteś urodzonym przywódcą, Tom. Dlaczego nie postrzegasz tego jako atutu? Dlaczego mówisz o tym jak o jakimś przestępstwie?

- A ty mówisz o mnie, jakbym był... - Pokręcił głową, zabrakło mu odpowiedniego słowa.

- Dla mnie jesteś najlepszym człowiekiem na świecie, Tom - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

Jej wyznanie zaparło mu dech w piersi i niemal odebrało władzę w nogach.

- Nie mogę znieść myśli, że miałbyś mnie opuścić. Proszę cię, Tom, nie odchodź.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie potrafię ci się oprzeć - wyznał z ustami przy jej dłoni. - Tak samo jak własnemu pożądaniu. Ale to nie w porządku. Jeśli teraz z tobą wrócę... - Popatrzył na nią pałającym wzrokiem, w którym dostrzegła nie tylko pragnienie, ale też nieopisaną tęsknotę.

- Tom... - wyszeptała. - Moja reputacja i tak już leży w gruzach. Nie ma sensu, byś rzekomo dla mojego dobra mnie opuszczał. - Zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go w usta.

Ten gest odebrał mu wszelkie dalsze argumenty; nie potrafił sformułować żadnej rozsądnej myśli.

- Oburzające - powiedział ktoś obok nich. Ponad ramieniem Sarah Tom zobaczył tę samą parę starszuchów, która mijala ich chwilę wcześniej. Najwidoczniej zawrócili ciekawi rozwoju wydarzeń.

Tom przygarnął Sarah mocniej do siebie, nie przerywając pocałunku. Oderwał się od niej, dopiero kiedy zaczęło mu się kręcić w głowie.

- Zabierz mnie do domu, Tom - poprosiła.

Wzruszenie ścisnęło go w gardle. Nazwała domem ich mały pokoik... Od tej pory dla niego dom był tam, gdzie ona.

- Obawiam się - powiedział, odzyskawszy normalny oddech - że to ty będziesz mnie musiała zabrać do domu. Okropnie trzęsą mi się nogi.

Natychmiast objęła go w pasie i zachęciła, by się na niej oparł.

- Chodźmy, musisz wrócić do łóżka.

Powoli, nieco chwiejnym krokiem, ruszyli w stronę pensjonatu na Rue de Regence. Po drodze prawie się nie odzywali; Tom nie miał na to siły, a ponadto był zbyt oszołomiony usłyszanym wyznaniem, żeby znaleźć na nie odpowiedź.

- Walczyłaś o mnie - powiedział, kiedy wreszcie pokonał schody i spoczął na poduszkach. - Od samego początku o mnie walczyłaś. Dlatego się w tobie zakochałem.

- Zawsze będę o ciebie walczyć, Tom - zapewniła. Pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. - Bo jesteś tego wart.

- Nie jestem. Ale twoja wiara we mnie sprawia, że chciałbym być człowiekiem, za jakiego mnie uważasz.

- Nie chcę, żebyś się zmieniał. - Pogładziła go po policzku. - Kocham cię takiego, jakim jesteś.

Objął ją w tali i przytrzymał.

- Przy tobie czuję się na swoim miejscu.

- Bo powinieneś być przy mnie.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- A teraz, kiedy już mnie masz, co zamierzasz ze mną zrobić?

Nie odpowiedziała uśmiechem, tylko zmarszczyła czoło.

- Już się nad tym zastanawiałam. Wiesz, kiedy mnie opuściłeś, najbardziej mnie rozżłościło to, że zyskałam reputację kobiety upadłej, nie zaznawszy związanych z tym przyjemności. Uważam więc, Tom, że powinienes mi pokazać, na czym to polega.

- Pokazać?

- Owszem. Jaki sens zakochać się w rozpustniku i opuścić jego łóżko jako dziewczyna, wiedząc jednocześnie, że zadowolili wcześniej wiele kobiet?

- Nie jesteś taka jak one - zachnął się.

- Chcesz powiedzieć, że nic dla ciebie nie znaczyły?

- Nie o to chodzi. Każdej z nich byłem wdzięczny, że chciały dzielić ze mną parę chwil rozkoszy. Nie zaprzeczam, że lubię fizyczną bliskość, Sarah. Pozwala zapomnieć, kim się jest i gdzie się znajduje, dostarcza cudownych wrażeń. Daje też spokój. Ale z tobą... to będzie dla mnie coś zupełnie innego. - Usiadł na pościeli i chwycił jej dłonie. - Wiem, że czujesz się samotna, szukasz pocieszenia i nowych, przyjemnych doznań. I nie ma w tym nic złego. Sam właśnie tego szukałem w swoich romansach. - Zajrzał jej głęboko w oczy. - Ale jeśli będę się z tobą kochał, Sarah, to po raz pierwszy w życiu dam tym wyraz prawdziwej miłości.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Tymczasem pochylił głowę nad jej dłonią i ucałował po kolei koniuszki palców.

- Lord Randall powiedziałaby, że nie jestem tego wart. - Przeniósł usta wyżej, na kostki. - I ja się z nim zgadzam. Nie mam do tego prawa. - Odwrócił jej dłoń wnętrzem ku górze i polizał, na co gorący dreszczyk przebiegł po jej plecach. - Ale poprosiłaś mnie, żebym ci pokazał przyjemności, jakich zaznają upadłe kobiety...

- I zrobisz to? - spytała głosem cichym jak westchnienie. Jeśli wprawiał ją w stan błogości już taką niewinną pieśczołą, aż drżała na myśl, co poczuje, gdy naprawdę dojdzie do miłosnego aktu.

- Żadna siła mnie nie powstrzyma - wymruczał, przygarniając ją do siebie.

- Tom, och, Tom - szeptała między pocałunkami. - Cały się trzęsiesz! Chyba nie masz na to siły. Dziś po raz pierwszy od czasu bitwy wyszedłeś na powietrze. Powinniśmy przestać.

- Mam dość siły na to, co zamierzam. - Usiadł na brzegu łóżka i posadził ją sobie na kolanach. Wprawnie rozpiął guziki sukni na plecach. - Zresztą w razie potrzeby zawsze mogę się położyć, prawda? A ty ze mną.

Otworzyła usta, żeby potwierdzić, ale słowa uwięzły jej w gardle, bo zaczął muskać ustami napiętą skórę na jej szyi, posuwając się coraz niżej.

- Myślę, że powinniśmy się położyć od razu. Tak na wszelki wypadek - zdołała w końcu wydukać.

- Jeszcze nie - poprosił. - Chcę cię najpierw rozebrać. Mogę?

- Tak.

Zsunął jej z ramion rozpiętą górę sukni, odsłonił piersi spod płóciennej koszuli i obejmując jedną, drugą zaczął pieścić ustami.

- Och, Tom - wydyszała resztką tchu. Zacisnęła palce na jego ramionach i odchyliła głowę do tyłu. Czowała się gotowa na... coś niespodziewanego.

Wsunął ręce pod spódnicę i kierując się ku górze, odnalazł gładką skórę ponad krawędzią pończoch. Zaraz potem Sarah leżała na plecach, zupełnie naga, a on po-

chylał się nad nią, całował jej szyję, piersi, brzuch, wodząc dłońmi po jej miękkich krągłościach. Gdy odnalazł to najbardziej wrażliwe miejsce, wstrzymała oddech, a potem wydała z siebie przeciągły, cichy jęk. Tom przesunął się niżej i przywarł ustami do miejsca, które wcześniej pieścił palcami. Zaczął poruszać językiem, wprawiając ją w stan przyjemnego oszołomienia. Sarah miała wrażenie, że porywa ją potężna fala gorąca, nad którą nie sposób zapanować.

- Tom, nie mogę... Ja... Och, Tom... Och!

Coś w niej eksplodowało wszechogarniającą siłą. Sarah na chwilę zastygła w bezruchu, oddychała głośno i czekała, aż świat przestanie wokół niej wirować.

Gdy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą twarz Toma. Patrzył na nią nie tak, jak w jej wyobrażeniach powinien patrzeć kochanek, lecz miał minę wojownika. Wojownika, który ma zaraz stanąć oko w oko ze śmiertelnym wrogiem.

- Tom... - wyszeptała zaskoczona, dotykając czule jego policzka. - O co chodzi? Co jest nie tak?

Co było nie tak? Głośno wciągnął powietrze. Leżała przed nim, rozgrzana, nasyczona rozkoszą, którą dopiero co jej sprawił. I nadal była dziewicą.

Wierzył, że potrafi to dla niej zrobić. Zakładał, że da jej to, o co go prosiła... i pozostawi ją nienaruszoną. Jednak na myśl, że jakiś obcy mężczyzna, którego jej rodzina uzna za odpowiedniego kandydata do małżeństwa, zyska prawo do tego, by w pełni ją posiadać, chciało mu się wyć.

Ze złości. Z żalu. Wyobrażanie jej sobie z innym mężczyzną powodowało cierpienie gorsze od najdotkliwszego fizycznego bólu, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Walczył z pokusą, by zepsuć temu nieznanemu wybrankowi noc poślubną, odbierając mu laur zdobywcy.

Zacisnął zęby. Rozum uparcie podpowiadał mu, że nie powinien tego robić, że to niewłaściwe. Ale, do licha, czyż przez całe życie nie postępował niewłaściwie? I czyż sama nie dała mu do zrozumienia, że nie chce, by się silił na szlachetność? Chciała, żeby zrobił to, czego nie powinien robić. Prosiła go o to!

W następnej chwili jednym szybkim ruchem rozpiął spodnie. Sarah poruszyła się, otworzyła przed nim i przesunęła dłońmi po jego ramionach. Resztki wątpliwości opuściły go. W tym momencie należała tylko do niego. Cokolwiek miało się zdarzyć w przyszłości, nikt nie mógł mu odebrać tego wyjątkowego przeżycia.

Z głuchym pomrukiem buntu zagłębił się w niej, wszedł do chwilowego, cielesnego raju zespolenia z kobietą, którą kochał.

Sarah odruchowo uniosła biodra, szepcząc przy tym jego imię. Tom czuł, jak zaczyna cała drżeć. Starał się zwolnić, poczekać na nią, przedłużać przyjemność. Jednak kiedy bezwiednie napięła mięśnie i zacisnęła się wokół niego, nie zdołał już panować nad tym, co się z nim działo. Zachował się wobec niej najgorzej, jak było możliwe: nie tylko pozbawił ją dziewictwa, ale też wypełnił ją swoim nasieniem.

I wcale tego nie żałował.

Dlaczego więc łzy płynęły mu po policzkach? Ukrył twarz na jej szyi, w miękkich puklach, i przygarnął ją do siebie najmocniej, jak umiał. A ona wtuliła się w niego i także do niego przywarła. Zaczęła nim delikatnie kołysać, jakby był smutnym, samotnym dzieckiem.

- Tom - odezwała się po chwili szeptem. - O co chodzi?

- Zasłużyłem na to, by mnie rozstrzelano - wymamrotał w jej włosy. - Za to, że odebrałem ci dziewictwo.

- Niczego mi nie odebrałeś. Sama ci je dałam.

- Powinienem był zachować powściągliwość. Powinienem był się powstrzymać. Powinienem...

- **Ćśśś...** Zrobiłeś dokładnie to, czego chciałam. Dzięki tobie doświadczyłam czegoś cudownego. Nie tylko fizycznie. Po raz pierwszy w życiu czułam się naprawdę pożądana.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Gdybyż mógł zachować tę wyjątkową, idealną chwilę na zawsze! Gdyby nie musiał przebić tej bańki złudzeń ukłuciem okrutnej prawdy!

- Nie rozumiesz - powiedział zduszonym głosem. - Nie zatrzymałem się, kiedy powinienem. Mogłem cię zapłodnić. Wszystko zniszczyłem. Przepraszam. - Uniósł się, żeby móc spojrzeć jej w twarz. - Teraz będziemy musieli się pobrać.

Sarah na moment znieruchomiała, a potem wyraźnie zbladła.

- Nie. - Próbowała go odepchnąć, ale nawet nie drgnął. - Na litość boską, Tom, czy ty mnie w ogóle nie słuchałeś? Powtarzałam ci, nie wiem, ile razy, że nie chcę małżeństwa. Ty zresztą również, sądząc po twojej przerażonej minie.

- Masz rację. Myśl o małżeństwie... - Cóż, aż do tego dnia tak naprawdę nigdy nie powstała w jego głowie. Podobnie jak nigdy nie przypuszczał, że pozna kiedyś kobietę taką jak Sarah. Teraz jednak wydało mu się całkiem sensownym rozwiązaniem. - Ale przecież to wszystko zmienia?

- Co masz na myśli?

- To, że możesz być w ciąży. Nie możemy skazywać dziecka na piętno bękarta. Muszę mu dać swoje nazwisko.

- Wcale nie musisz - oznajmiła Sarah buntowniczym tonem. - Moje w zupełności wystarczy.

- Mojemu dziecku? Wykluczone. Nie chcę, żeby myślało, że uciekłem od odpowiedzialności i nie chciałem go wychowywać. - Tak jak postąpił jego ojciec...

- Zatem powiem mu, że to była moja wina? To powinno ukoić twoje sumienie.

- Nie ukoi, ponieważ...

- Sądziłabym, że kto jak kto, ale ty przyznasz, że lepiej jest, kiedy dziecko w ogóle nie ma ojca, niż ma złego albo takiego, który je zaniedbuje.

Czyżby uważała, że nie nadaje się on na ojca? Brakowało mu argumentów, by zaprzeczyć.

Zsunął się z Sarah, a ona natychmiast podciągnęła kołdrę aż pod brodę. Spodziewała się błogiego odprężenia po przebytym akcie, tymczasem zaczynał ją targać niepokój, a sądząc po minie, Tom wcale nie czuł się pewniej.

Miałby się z nią ożenić tylko ze względu na dziecko, dobre sobie! Dla niej jedynym powodem do zaślubin mogło być poczucie, że nie potrafi się żyć bez tej drugiej osoby. Że nie liczy się nic poza tym, by być razem.

Łzy zaczęły ją dławić w gardle. Jednak niemal natychmiast żal ustąpił miejsca złości na samą siebie. Okazała się niewiele lepsza od matki - zakochała się w rozpustniku, który uważał małżeństwo za przykre poświęcenie. Zrozumiała, jak matka mogła popełnić takie głupstwo, dopiero kiedy sama poddała się uczuciu do niewłaściwego mężczyzny.

Tyle że zachowała dość siły i dumy, by odrzucić wymuszone oświadczenia. A i Tom przynajmniej nie odwracał się plecami do swojego dziecka. W przeciwieństwie do papy. Papa napłodził nieślubnych dzieci w całej okolicy i w ogóle go nie obchodził los żadnego z nich. A tym bardziej los ich matek.

Nagle odniosła wrażenie, jakby ktoś odsunął zasłonę i wpuścił światło do jej umysłu. Przez całe życie uważała małżeństwo za najgorszy los, jaki może spotkać kobietę. Dlatego z lękiem odrzuciła propozycję Toma, jeszcze nim wyczuła wahanie w jego głosie. Zawsze jej się wydawało, że przez ślub kobieta staje się podległa mężczyźnie, musi pobłażać jego romansom i rodzić mu jednego syna za drugim, dopóki starczy jej sił.

Teraz nagle pojęła, dlaczego siostry życzyły jej, by podążając ich śladem, stanęła u ołtarza. Małżeństwo z Tomem nie wydawało jej się niczym strasznym... gdyby szczerze pragnął ją poślubić. Tak jak Graveney chciał się żenić z Harriet. A Blanchards zabiegał o Gussie.

Ale Tom oświadczył jej się tylko dlatego, że chciał w ten sposób naprawić zło, które w swoim pojęciu wyrządził. A przecież zrobił tylko to, o co sama go prosiła. Opierał się, próbował nawet przed nią uciec, ale go wysłodziła i niemal siłą sprowadziła z powrotem do siebie.

- Nie ponosisz żadnej winy - oznajmiła zdjęta nagłymi wyrzutami sumienia. - Zanim poszliśmy do łóżka, ostrzegałeś mnie... Przypominałeś mi, że nie jesteś odpowiednim kandydatem do mojej ręki...

- A ty obiecałaś, że zawsze będziesz o mnie walczyć - odparł zgnębiony. - Czyżby to były tylko słowa? Wiesz chociaż, co miałaś na myśli, mówiąc, że kochasz mnie takiego, jakim jestem? - Zaśmiał się z goryczą.

- Kocham cię, Tom.

- Ale nie na tyle, żeby za mnie wyjść.

- Ależ...

- Dość, nie musisz dodawać nic więcej. Jesteś młoda. To twoje pierwsze doświadczenie. Mylisz fizyczne zaspokojenie z czymś innym.

Doprawdy? Domyślała się, że matka popełniła tak wiele błędów zwiedziona pociąganiem fizycznym do ojca. Ale ona, Sarah, nie była taka sama jak matka. A Tom nie był taki jak jej ojciec.

- Nie ma o co walczyć, prawda? - Opadł na poduszki i wbił wzrok w sufit. - Panuje między nami zgoda. Żadne z nas nie chce małżeństwa. Od początku oboje jasno stawialiśmy sprawę.

Owszem, na początku. Obecnie małżeństwo nie wydawało jej się takie złe, pod warunkiem że zostałyby zawarte z właściwych powodów.

A może Tom również zmienił zdanie? Może jego oświadczenia nie brały się wyłącznie z poczucia winy? Może dlatego wydawał się taki urażony, kiedy je odrzuciła? Jeśli tak, to może należało mu pozwolić na wyjaśnienia?

- Miło, że mi się oświadczyłeś, choć wcale nie chcesz się żenić - zaczęła. - Rozumiem, że to z powodu dziecka, które może wcale nie zostało poczęte.

- Nie tylko dlatego.

Serce zabiło jej mocniej.

- Nie powinienem był się posunąć tak daleko. Wiem, że chciałaś mi ofiarować

swoje dziewictwo, ale nie musiałem przyjmować tego daru. Mogłem ci sprawić rozkosz, nie pozbawiając szans na poślubienie kogoś innego.

Więc jednak chodziło o poczucie winy...

- Nie chcę wychodzić za nikogo innego! - Oczy tak ją piekły, że musiała zamrugać. - Straciłam dobrą reputację i naraziłam się na skandal już wtedy, kiedy zamieszkałam z tobą bez przyzwoitki. Rozmawialiśmy o tym, że planuję wyjechać do którejś z naszych małych posiadłości na prowincji, rezygnując z atrakcji towarzyskich. I chętnie to zrobię. Z dzieckiem czy bez dziecka.

Nagle poczuła, że nie chce się z nim kłócić w tym samym łóżku, w którym zaledwie przed chwilą zaznali cudownej bliskości. Poderwała się z pośłania i przez głowę wciągnęła zmiętą koszulę.

Zatem uważała, że nadaje się do łóżkowych igraszek, ale nie do spędzenia razem reszty życia, pomyślał z goryczą Tom. I wolała chować dziecko z dala od świata, zamiast pozwolić mu odgrywać rolę prawowitego ojca.

Jak mogła twierdzić, że go kocha? Widać nie znała znaczenia tego słowa. Z drugiej strony rozumiał, dlaczego nie przyjęła oświadczyń. Nie chodziło tylko o to, że był nieodpowiednim kandydatem na męża. Od początku utrzymywała, że pragnie być wolna. Nie po to unikała konkurentów przez cztery sezony, by rezygnować z wolności teraz. Gdyby nalegał ze względu na dziecko, którego mogło wcale nie być, czułby się jak strażnik, zamykający za nią bramę więzienia. Może ofiarując mu swoje dziewictwo, chciała mieć pewność, że żaden inny mężczyzna nie usidli jej małżeńskimi więzami.

Może powinien postrzegać jej gest jako wyświadczenie mu niezwykłego zaszczytu? Może... Do diabła! Nie wiedział, co myśleć. Sarah stała się jego najprawdziwszym aniołem stróżem, nieuchwytnym i jedynym.

Sarah zerknęła ukradkiem na Toma, który leżał z zaciśniętymi powiekami, jakby nie mógł znieść jej widoku, i zastanawiała się, co doprowadziło do jego dziwnego zachowania. Bo chyba wciąż ją kochał? Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, mimo że w pokoju było gorąco.

Wróciła do łóżka, ale nie potrafiła się znów do niego przytulić, kiedy panowało między nimi to nieznośne napięcie.

- Tom? - odezwała się niepewnie. - Chyba się na mnie nie gniewasz?

Gwałtownie przetoczył się na bok, żeby na nią popatrzeć.

- Na ciebie? Nie. Jestem zły wyłącznie na siebie.

Był zły na siebie? Za to, że się oświadczył? Że stracił głowę na tyle, by się poczuć zobowiązanym do proszenia jej o rękę?

- Niepotrzebnie... Nie chcę, żeby złość zepsuła nam tę noc - powiedziała cicho.

Skrzywił się, jakby go przeszył ból. Usiadł na pośłaniu i delikatnie dotknął jej policzka.

- Wybacz, sam wszystko zepsułem, przywołując widmo małżeństwa. Może zapomnijmy o tym, co powiedziałem?

Widmo? Małżeństwo kojarzyło mu się z czymś przerażającym i złowrogim? W takim razie miała rację, odrzucając oświadczyń. Bóg jeden wie, co by mu opowie-

działa, gdyby w tym momencie nie rozległo się pukanie do drzwi.

Tom popatrzył na Sarah takim wzrokiem, że poczuła się... jak kobieta upadła. Cóż, musiała przywyknąć, że odtąd tak będzie postrzegana, skoro nie przyjęła propozycji zaślubin.

Odrzuciła na plecy zmierzwione pukle, zadarła dumnie podbródek i otworzyła drzwi. Na korytarzu, z listem w dłoni, stał Robbins, kamerdyner jej brata.

Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej ponurego niż zwykle.

Nagły chłód wypełnił całe ciało Sarah.

- Justin - wyszeptała sztywnymi wargami. Czuła, że stało się coś strasznego.

I że na to zasłużyła.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Chodzi o Justina? - zdołała w końcu wydukać. - Co się stało? On chyba...

- Nie, panienko, poprawia mu się - odparł szybko Robbins i podał jej kopertę.

Ze strachu zakręciło jej się w głowie, więc usiadła na najbliższym krześle i pośpiesznie przebiegła wzrokiem tekst napisany schludnym, równym pismem Mary Endacott. Zapewniała ona, że Justin ma się na tyle dobrze, że już jej nie potrzebuje, a na zakończenie życzyła Sarah wszystkiego najlepszego, jakby się miały nigdy więcej nie zobaczyć.

- Co on jej zrobił, że chce go opuścić? - zdziwiła się na głos Sarah. - Po tym wszystkim, co dla niego uczyniła!?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, panienko - mruknął Robbins.

- Raczej nie chcesz. - Musiała wiedzieć, dlaczego Mary, która kochała Justina tak bardzo, że szukała go na polu bitwy, postanowiła odejść. Cóż, lojalność wobec Justina nie pozwoliła Robbinsowi wyjawiać przyczyn jego głupoty.

- Nie wiem, jak to na niego wpłynie, kiedy się dowie - powiedział wisielczym tonem i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, po czym zmierzył wymownym spojrzeniem najpierw Toma wyciągniętego w pościeli, a potem niekompletny strój Sarah.

- Cóż, oskarżał nas o to od tygodnia - stwierdziła spokojnie Sarah.

Tom ukrył twarz w dłoniach i jęknął. Jego zachowanie utwierdziło Sarah w przekonaniu, że oświadczenia wynikały z obawy przed opinią innych, nie z jego uczuć.

- Nie ma się czym przejmować! - zwróciła się do obydwu mężczyzn. - Teraz, kiedy już Justin odzyskał zdrowie na tyle, by znieść moją wizytę, pójdę stawić mu czoło.

- Nie! Jeśli ktoś ma mu powiedzieć, to ja - zaprotestował Tom.

- Ja z całą pewnością tego nie zrobię - wymamrotał Robbins. - Powiem, że pani się do niego wybiera, dobrze?

- Tak - potwierdziła natychmiast.

- Nie - odezwał się równocześnie z nią Tom.

Robbins westchnął z rezygnacją.

- List nie był od niego, więc nie muszę mu mówić, że tu byłem. W ogóle nie muszę mu nic mówić.

- Tak będzie najlepiej. Dziękuję, Robbins - rzucił Tom, nie odrywając wzroku od Sarah. - Musimy ustalić, jak mu powiedzieć, że...

Robbins wycofał się, nie czekając na resztę zdania, i zniknął, zamknąwszy za sobą drzwi.

- Nie boję się Justina! - Sarah nie dała mu dokończyć.

- Nie chodzi o strach, Sarah. - Tom zrzucił z siebie okrycie i podszedł do niej zupełnie nagi. - Kiedy przyznamy się pułkownikowi Randallowi, że zostaliśmy kochankami, on będzie musiał to przerwać. Tak czy inaczej. - Należało się spodziewać, że

albo całkowicie ich rozdzieli, albo zmusi do zawarcia małżeństwa, a przecież Sarah nie chciała ani jednego, ani drugiego. – Wiem, jak niepokoiłaś się o jego zdrowie, ale błagam cię, nie idź tam teraz. Poczekaj z tym do rana. Żebyśmy mogli spędzić razem jedną noc, tylko o to cię proszę.

Serce zabiło jej mocniej. Zatem nadal jej pragnął!

– Jako twoja kochanka – powiedziała cicho.

– Tak. Jako moja kochanka – potwierdził.

W głębi duszy czuła żal, że nie chodzi o wspólną przyszłość, ale duma Latymorów nie pozwoliła jej tego wyjawić. Dlatego uśmiechając się przewrotnie, powiedziała:

– Skoro mamy dla siebie tylko jedną noc, to postarajmy się ją jak najpełniej wykorzystać. – Przyłożyła mu otwartą dłoń do piersi. – Cały drżysz – stwierdziła, przekrzywiając głowę na bok. – Czy to znaczy, że nie masz siły na więcej?

Przyciągnął ją do siebie, wtulił twarz w jej włosy i delektował się ich zapachem.

– To znaczy... – odpowiedział dopiero po chwili – ...że nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Może mi się to wszystko tylko śni?

Przeniosła dłoń na jego czoło.

– Nie masz gorączki, Tom. I nie śniesz, to się dzieje naprawdę.

– Zgodziłaś się odłożyć na później wizytę u swojego brata, żeby spędzić ze mną noc?

– Owszem.

– Pytałaś, czy mam siłę? Czyżbym poprzednim razem cię rozczarował?

Udała, że się zastanawia, a potem wzruszyła ramionami.

– To za mało, abym mogła dokonać porównania, nie sądzisz? Przecież nic się jeszcze nie wydarzyło...

Wyraz z troską w końcu zniknął mu z twarzy. Uniósł brew i wygiął usta w chytym uśmiešku.

– Czyżbyś rzucała mi wyzwanie?

– Ja zawsze chętnie podejmuję wyzwania – odpowiedziała z udawaną obojętnością, choć serce biło jej jak oszałałe.

– Zanim ta noc dobiegnie końca, obiecuję, że otrzymasz zadowalający... materiał porównawczy – obiecał. – Nigdy nie zapomnisz tej nocy. – Skoro nie chciała za niego wyjść, skoro postrzegała go tak samo, jak inne kobiety z wyższych sfer, przyrzekł sobie zaprowadzić ją na szczyty rozkoszy, które później pozostaną dla niej niedostępne.

Ponieważ żaden kochanek nigdy mu nie dorówna.

Przez całą noc wyczerpał wszystkie siły i wykorzystywał całe doświadczenie, by spełnić swe niewypowiedziane przyrzeczenie. Budził ją wielokrotnie, czasami, żeby się z nią kochać, czasami, żeby ją nakarmić lub napić w zmysłowy, uwodzicielski sposób.

Następnego ranka obudziła się błogo ociężała. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę wylegiwać się do późna. Zwykle wstawała wcześnie, nawet po przetańczeniu całego wieczoru na balu. Szła do stajni po konia i wyruszała na przejażdżkę, nim którykolwiek z pozostałych domowników na dobre otworzył oczy.

Ziewnęła i przeciągnęła się jak kotka.

- Nie śpisz już?

Otworzyła oczy i przekrzywiwszy głowę na poduszce, napotkała wzrok Toma. Patrzył na nią, nawijając sobie na dłoń pukiel jej włosów. Robił to tak delikatnie, że nic nie czuła.

- Obudziły mnie dzwony z kościoła - powiedziała.

Była niedziela. Upłynął dokładnie tydzień od dnia, gdy opuściła Antwerpię i bezpieczne łono rodziny, żeby szukać Gideona. Ten tydzień zmienił ją w zupełnie inną osobę. Na zawsze zniknęła skromna dziewczyna, bojąca się mężczyzn, namiętności i życia.

- Powinnam pójść do kościoła - powiedziała ni to do siebie, ni do niego. - Ale nie mogę przyjąć komunii.

- Bo zgrzeszyłaś?

- Bo nie zamierzam udawać, że żałuję. W każdym razie nie żałuję ani chwili spędzonej z tobą. A nie da się chyba wyrażać częściowego żalu za grzechy? - Pociągnęła nosem. - Obiecałam sobie, że nie będę płakać. Nie, nie obejmuj mnie. - Odsunęła się poza zasięg jego ramion, a potem wstała z łóżka. - I nie patrz na mnie w taki sposób, jakbyś żałował tego, co zrobiliśmy.

- Po prostu nie mogę znieść tego, że doprowadziłem cię do płaczu.

- Nie płaczę przez ciebie. I nigdy nie będę. Nie potrzebuję współczucia. Potrzebuję siły na spotkanie z Justinem.

- Zatem wciąż zamierzasz go odwiedzić.

- Muszę. Przez całe życie starałam się unikać scen. Nikt nigdy nie wiedział, co naprawdę myślę albo czuję. Robiłam to, czego ode mnie oczekiwano, zachowywałam się, tak jak mi kazano, żeby mieć święty spokój. Mój dom to było wieczne pole bitwy. Jeśli mama nie kłóciła się z ojcem, to Gideon pakował się w kłopoty albo Harriet wygłaszała jakieś radykalne, gorszące poglądy. Lubiłam uchodzić za grzeczną dziewczynkę. Wiedziałam, że sprawiaam tym radość mamie. - Pokręciła głową. - Ale nadszedł czas, żeby pokazać Justinowi swą prawdziwą twarz. A nie zdołam tego zrobić, jeśli będę mieć złamane serce z twojego powodu.

- Złamane serce? - zdumiał się.

- Och, Tom. Nie rozumiesz, jak bardzo cię kocham? - Tego ranka duma Latymorów nie ujawniła się. - Przykro mi, jeśli to ci nie odpowiada, ale wolałabym, żebyśmy mieli więcej niż jedną noc. Gdyby istniał jakiś sposób, byśmy pozostali razem dłużej... - Podeszła szybko do łóżka i pocałowała Toma w czoło. - Nawet małżeństwo nie byłoby zbyt wysoką ceną do zapłacenia.

Po tych słowach wyszła do garderoby, prawdopodobnie po to, by się umyć i ubrać.

Zaskoczony nie wiedział, czy może wierzyć własnym uszom. Powiedziała, że chciałyby z nim spędzić więcej niż tylko tę jedną noc. I małżeństwo nie wydawało jej się za to zbyt wysoką ceną.

Zatem istniała nadzieja! Słaba, ale jednak. Nadzieja na przekonanie jej, że małżeństwo nie byłoby więzieniem. Gdyby go poślubiła, przez resztę życia robiłyby wszystko, by czuła się pożądana. I kochana. Coraz bardziej rozradowany pomyślał, że kiedy Sarah wróci...

No tak. Nim wróci, Randall zdoła ją przekonać do swoich racji. Opadł z powrotem na posłanie; chciało mu się wyć z rozpacz.

- Tom? - Sarah wsunęła głowę przez drzwi, nie przerywając upinania włosów. - Będiesz tu, kiedy wrócę, prawda? Nie zrobisz niczego głupiego? Nie zgłosisz się do swojej jednostki? W każdym razie nie przed moją rozmową z Justinem. Wy tłumaczę mu, że to ja jestem wszystkiemu winna. Nie chcę, żeby cię ukarał. Mógłby cię zdegradować albo nawet wyrzucić ze swojego pułku, a przecież wiem, jak ci zależy na twojej wojskowej karierze.

- Nie rób niczego z lęku o moją karierę, Sarah - poprosił. Swoją drogą, pomyślał, ile kobiet by o tym pomyślało? W takim momencie większość martwiłaby się o własną reputację. - I nie prosz o litość w moim imieniu - dodał ostrzej. - Nie musisz się martwić, że Randall mnie zniszczy. Dla kogoś takiego jak ja istnieją inne sposoby na życie.

Uśmiechnął się bez wesołości.

- Jak wyglądam? - Stała przed nim w najmniej twarzowej ze swoich trzech sukien, wysoko zabudowanej, z mnóstwem niepotrzebnych falbanek. Na wierzchu narzuciła nowy czarny żakiet.

Na widok jego miny wyraźnie się stropiła.

- Powinam była też kupić czarny czepek. - Z westchnieniem nakryła głowę niebieskim i wprawnie zawiązała wstążki pod brodą. - I jeszcze ta parasolka, do niczego niepotrzebna, ale jakże bez niej iść do kościoła. Nie wiem, dlaczego nie zaopatrzyłam się w czarną, kiedy wybierałam rękawiczki - mruknęła do siebie.

- Bo myślałaś wtedy o rzeczach ważniejszych od wyglądu.

- Błóżnierca! - Rzuciła mu wyzywający uśmiech, ale nie podeszła do łóżka. - Gdyby Gussie cię teraz słyszała, oberwałabyś od niej wachlarzem.

- Przyznaj, że tak naprawdę wcale się nie przejmujesz tym, jak wyglądasz.

Przekrzywiła głowę w namyśle.

- Nie. Cieszę się, że nie muszę się przebierać kilka razy dziennie. - Zakryła usta dłonią w geście udawanego przestachu. - Ale nie mów nikomu! Uznano by to w towarzystwie za skandal nie mniejszy niż to, że wzięłam sobie kochankę. - Wyczuł lekkie drżenie w jej głosie. - Idę, Tom. Życz mi szczęścia.

- Poradzisz sobie, Sarah. Jesteś niezrównana.

- Och, Tom, nie mów takich rzeczy, bo się rozpłaczę.

- Jesteś niezrównana - powtórzył. - Nawet kiedy nieodpowiednio ubrana uczestniczysz w mszy w królewskiej kaplicy.

Zaśmiała się, dotknęła oczu chusteczką i wyszła, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tydzień uczynił ogromną różnicę. Dawna Sarah trzęsłaby się jak osika na myśl o spotkaniu z Justinem, a może nawet nie miałyby dość odwagi, żeby do niego przyjść. Zapewne liczyłaby na to, że nim Justin dojdzie do siebie na tyle, by zjawić się u niej, zdarzy się cud, który pozwoli jej uniknąć katastrofy.

Pukając do drzwi domu przy Rue Ducale, nawet się specjalnie nie denerwowała, chciała jak najszybciej wszystko wyjaśnić.

Robbins bez słowa wprowadził ją do pokoju Justina. W drzwiach wyjęła z torebki dużą białą chustkę i trzymając ją w wyciągniętej ręce, zamachała nią jak flagą.

Surowe oblicze Justina nawet nie drgnęło.

- Mam nadzieję, że ten nedorzeczny gest sygnalizuje twoją bezwarunkową kapitulację - odezwał się słabym głosem.

- Bynajmniej. - Podeszła do łóżka, w którym siedział, wsparty wysoko na poduszkach; przy ich śnieżnej bieli jego cera wydawała się szara jak popiół. - Dano mi do zrozumienia, że nawet najwięksi wrogowie mogą negocjować pod białą flagą.

- Nie jestem twoim wrogiem, Sarah. - Odetchnął z wyraźnym trudem. - Przede wszystkim leży mi na sercu twoje dobro.

- No cóż - westchnęła, zajmując miejsce na fotelu. - To zależy od punktu widzenia.

- Nic podobnego!

- Justin, nie spierajmy się. Wiem, że tak uważasz. Problem w tym, że jak cała reszta rodziny tak naprawdę nie wiesz, co jest dla mnie dobre.

- Z całą pewnością nie ten libertyn Bartlett - wyrzucił z siebie, krzywiąc usta.

- Mam odmienne zdanie w tej kwestii, jednakże... - Uniosła rękę, widząc, że nabiera powietrza, by jej przerwać. - Nie przyszłam tu rozmawiać o Tomie. Wiem, że swoim postępowaniem przysporzyłam ci trosk, i za to przepraszam. Zwłaszcza że przeze mnie twój stan zdrowia się pogorszył. Och, Justin, absolutnie nie chciałam ci zaszkodzić.

- Wiem, ale...

- Proszę, nie mówmy o tym więcej, przynajmniej nie dzisiaj. Wiem, że jesteś na mnie zły z wielu powodów, ale kiedy usłyszałam o śmierci Gideona... - Zamrugnęła szybko, żeby powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

Napięte rysy Justina nieco złagodniały.

- Niemądra dziewczyno, co cię napadło, żeby wyjeżdżać z bezpiecznej Antwerpii? W dodatku w takim momencie. Gussie musi odchodzić od zmysłów ze zgrzyoty.

- Nie. - Chwyciła go za rękę. - Pisałam do Blanchardsów, od samego początku oględnie opisując, co robię. Wiesz, jak on się troszczy o Gussie. Nie ma mowy, by jej powiedział, że mam jakieś kłopoty, nawet jeśli tak podejrzewał.

- Jesteś sprytna - stwierdził, marszcząc czoło. - Nigdy bym cię nie podejrzewał o takie wyrachowanie. Ani o tak bezmyślne postępowanie.

Uśmiechnęła się do niego przewrotnie.

- Należę do rodziny Latymorów, więc bezmyślność jest mi przypisana genetycznie. Tyle że dopóki się nie dowiedziałam o śmierci Gideona, nie miałam odwagi ani powodu do przekraczania granic tak zwanej przyzwoitości. Interesowało mnie zawsze tylko to, co robił Gideon. Żyłam jego listami i tym, co miał mi do powiedzenia. Tak jakby to on prowadził prawdziwe życie za nas oboje.

- Co chciałaś osiągnąć, przybywając do Brukseli?

- Nie wiem. - Głos jej zadrżał. - Po prostu nie mogłam uwierzyć, że Gideon zginął. Bez niego... - Pokręciła głową. - Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz, ale musiałam sprawdzić. Zawsze łączyła nas szczególna więź. Byłam pewna, że gdyby śmierć ją przerwała, ja bym to czuła. - Widząc cyniczne skrzywienie jego ust, szybko dodała: - Poza tym książkę Brunszwiku...

- Książkę?

- Brunszwiku. Sprowadzili jego ciało do Antwerpii i wystawili w gospodzie na widok publiczny. Nie rozumiałam, dlaczego Gideona też nie przywieźli. Zawsze mnie zbywaliście, kiedy zadawałam niewygodne pytania, aż w końcu postanowiłam, że przestanę pytać. Blanchards prosił, żebym nie wprowadzała zamieszania i nie denerwowała Gussie. I oczywiście byłoby nie w porządku z mojej strony, gdybym się przed nią wyplakiwała w jej delikatnym stanie. Nie miałam wsparcia od nikogo. W końcu przyszło mi do głowy, że ty będziesz znał prawdę, więc przyjechałam cię szukać. Tylko że kiedy się tu znalazłam, nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

- Musiałaś więc przyjechać aż na pole bitwy?

- Nie - westchnęła. - Jak zwykle, moja obecność była zbędna, bo Mary już zdążyła zorganizować poszukiwania. - Widząc zdumioną minę Justina, pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Nie potrafiła beczynnie czekać na wiadomość, czy żyjesz. Ponieważ kocha cię tak bardzo, jak ja kocham... kochałam Gideona. - Na te słowa uciekł wzrokiem, ale Sarah zamierzała powiedzieć wszystko do końca. Justin zachowywał się jak idiota wobec Mary, musiała przynajmniej spróbować mu uświadomić, co utracił. - Oczywiście ona jest znacznie lepszą, rozsądniejszą osobą ode mnie. Weszła nawet do szopy pełnej trupów, bo nie chciała uwierzyć, że nie żyjesz. Ja nie miałam dość odwagi, żeby jej towarzyszyć. Odeszłam na bok, za rozwalony mur, żeby wymiotować. Pomyślałam wtedy, że być może chciałaś mi oszczędzić bólu. Że jeśli Gideon wyglądał tak jak niektórzy martwi nieszczęśnicy leżący na pobojo-wisku, nie chciałbyś, żebym go widziała.

Znów na nią spojrział.

- Zatem przyznasz, że działałam w twoim dobrze pojętym interesie?

- Wierzę, że się starasz - powiedziała z westchnieniem. - Ale nie przyszłam się z tobą spierać, Justinie. Tom powiedział mi, że byłeś przy Gideonie, kiedy... Opowiedz mi...? - Miała wrażenie, że pobladł. - Oczywiście możesz oszczędzić mi tych szczegółów, których według ciebie nie zniosę.

- Powiem ci to, co on chciałby, żebyś wiedziała - rzekł z zadumą. - W chwili śmierci myślał o tobie. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Powiedz Sarah, że dobrze się spisałem”.

- Och! - obiecywała sobie, że nie będzie płakać, ale wzruszenie kazało jej ukryć twarz w chustce, którą przyniosła ze sobą jako flagę.

- Obiecałem mu, że się dowiesz, że możesz być z niego dumna - wyznał Justin łagodniejszym tonem. - Wykazał się dzielnością.

- Możesz... - chlipnęła. - Możesz mi powiedzieć, jak zginął?

Z początku bała się, że jak zwykle będzie chciał ją zbyć, ale, o dziwo, po chwili zastanowienia zaczął opowiadać.

- Odział majora Sheffielda został odcięty przez francuskich szaserów. Ludzie Benningtona Ffoga odciągali uwagę Francuzów, podczas gdy porucznik Rawlins z Zabijakami próbował stworzyć naszym żołnierzom drogę ucieczki. Gideon widział jego wysiłki, a po śmierci majora Sheffielda poderwał Zabijaków do ponownego ataku. Ja... - Urwał, Sarah miała wrażenie, że ponownie przeżywał tamto dramatyczne wydarzenie. Po chwili podjął zduszonym głosem: - Przez jakiś czas walczyliśmy z Gideonem ramię w ramię, zdołaliśmy się utrzymać na pozycji, dopóki nie nadeszło wsparcie. Ale dla twojego brata bliźniaka było już za późno. Został śmiertelnie ranny.

- Kawaleryjskie szable - wyszeptała. - Widziałam, czego potrafią dokonać.

- Owszem. Przykro mi. Jeśli to pomoże, dodam, że śmierć nastąpiła szybko. Próbowałam powstrzymać krwawienie, ale... - Urwał, kiedy ze szlochem znów zakryła twarz chustką.

- Dziękuję ci - odezwała się po chwili, już spokojniejsza. - Dręczyła mnie myśl, że leży tam gdzieś i umiera powoli, jak wielu z nich. Samotny i obolały.

- Umarł w moich ramionach. Uratowawszy moich ludzi i armaty, którymi walczyliśmy następnego dnia, kiedy na dobre pokonaliśmy Bonapartego. Już nigdy nie wróci i nie rozedrze Europy na kawałki, Sarah. Również dzięki Gideonowi.

- Dziękuję ci - powtórzyła. - Za to, że nie próbowałeś mi osłodzić prawdy. - Wyprostowała się na fotelu. - Mówisz, że przez chwilę to on dowodził twoimi ludźmi? - Justin potwierdził skinieniem. - Och, Justin, gdybyś wiedział, ile to dla niego musiało znaczyć...

- Chyba wiedziałem. Mieliśmy okazję trochę porozmawiać, na sam koniec. Wyznał mi, że chciał, bym wrócił do Chalfont i zarządzał rodzinnymi posiadłościami. Że matce jest ciężko, choć się nie skarży. Nawet ukradł szablę, bo miał nadzieję, że bez niej nie wyruszę na bitwę...

- Och! Więc tak to było! Zastanawiałam się... Zachowywał się jak zawsze, kiedy planował jakąś psotę... Teraz rozumiem... Dostrzegł szansę udowodnienia, że może być tak samo dobrym żołnierzem jak ty. I ukradł szczęśliwą szablę Latymorów, żeby nią walczyć. Pokręciła głową. - A ty obwiniłaś o kradzież Mary. Słyszałam. Jak mogłeś, Justin?

- Sądzisz, że nie wiem, jak straszny błąd popełniłem?

- I to niejedyny. Pamiętasz wieczór balu u księżnej Richmond? Mary była tam tylko ze względu na mnie. Nie chciała iść, ale ją przekonałam. Bardzo mi zależało na zobaczeniu Gideona, a Gussie źle się czuła i nie mogła mi towarzyszyć. A ty ją oskarżyłaś o... jak to nazwałeś? O przypochlebianie się twojej siostrze?

Justin chciał coś odpowiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu.

- A było wręcz odwrotnie. Wiele razy próbowałam się zaprzyjaźnić z Mary, ale nie okazywała zainteresowania bliższą zażyłością. Ty jesteś jedynym Latymorem, na którym jej zależało. Mimo że tak okropnie ją wtedy potraktowałeś, pojechała na

pole bitwy, żeby cię szukać. I nie pozwoliła, by kto inny cię pielęgnował, tylko sama się temu poświęciła. Chciałabym wiedzieć, co teraz zrobiłeś, żeby ją od siebie odstręczyć? Chyba masz świadomość, że już nigdy nikt nie będzie cię kochał tak jak ona?

- Myślałem, że przybyłaś tu pod białą flagą. Że nie będziemy roztrząsać naszych prywatnych praw.

- To, co jest między tobą i Mary, to nie „prywatna sprawa”. Powinieneś się z nią ożenić.

- Tak jak ty planujesz wyjść za Bartletta? - Skrzywił się z pogardą. - Ten człowiek jest rozpustnikiem. Łajdakiem. Nie życzyłem sobie, żebyś z nim rozmawiała, a co dopiero za niego wychodziła!

- Nie powiedziałam, że zamierzam go poślubić. Ale z całą pewnością nie poślubię nikogo innego. Nie po tym... - Policzki paliły ją żywym ogniem, ale i tak spojrzała bratu prosto w oczy. - Nie po tym, co nas połączyło.

- Nie wiesz, co mówisz - wyrzucił z siebie. - Nie możesz sobie marnować całego życia przez chwilę głupoty.

- Tom nie zrujnował mi życia - odparła, nie kryjąc złości. - Zawsze będę mu wdzięczna za to, co mi pokazał przez ten tydzień.

Justin wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć, więc uspokajająco dotknęła jego ramienia.

- Nie mam na myśli tego, co podejrzewasz. Proszę cię, spróbuj zrozumieć. Mówiłam ci, że wcześniej doświadczałam życia jakby przez Gideona, a teraz, odkąd on nie żyje... W tym tygodniu po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czego chcę od życia. Dowiedziałam się o sobie więcej niż przez wcześniejsze dwadzieścia dwa lata, które przesiedziałam w domu jak Roszpunka w swojej wieży, obserwując świat przez okno.

- Tylko nie rób z Bartletta jakiegoś księcia, który wejdzie na twoją wieżę i cię uwolni. To nie jest bajka, Sarah.

- Nie, to moje życie. I dobrze wiem, że Tom jest tylko człowiekiem. Chyba mnie nie słuchasz? Jesteś do niego uprzedzony.

- Uprzedzony do Bartletta? Nic podobnego.

- Świetnie. Zatem przyjmij do wiadomości, że śmierć Gideona wyrwała mnie z le-targu.

- Zdaję sobie sprawę, że musiała być dla ciebie szokiem, ale...

- Ale opieka nad Tomem... - weszła Justinowi w słowo - ...otworzyła mi oczy. Teraz już wiem, czego chcę.

- Powiedziałbym, że każda kobieta, która poznała Bartletta, „tego” chce.

- Mhm... możliwe - przyznała wyniośle. - Ale nie o to mi chodzi. Kiedy mnie poprosił o rękę...

- Naprawdę uważasz, że wyrażę zgodę na wasze małżeństwo? Nie zapominaj, że zarządzam twoimi finansami. Przekonajmy się, czy zechce cię poślubić, kiedy zostaniesz bez pensa?

- Odetniesz mnie od pieniędzy, jeśli wyjdę za Toma bez twojej zgody? Och, ty...- Gdyby nie stan Justina, chybaby go spoliczkowała. - Uważasz, że jestem tak głupia, by przyjąć oświadczyzny rozpustnika? - Wstała. - I tak brzydka, że nie zechce mnie

bez mojej fortuny?

- Chwileczkę. Chyba nie przyjął jego oświadczenia?

- Możesz sobie zatrzymać moje pieniądze, Justin - zawołała, zirytowana ulgą, jaka odmalowała się na twarzy Justina na wiadomość, że odrzuciła oświadczenia Toma. - Nie potrzebuję ich i nie chcę. Mogę na siebie zarabiać. - Wierzyła, że to możliwe, w końcu Mary sama się utrzymywała. To by oznaczało, że nie będzie zależna od żadnego mężczyzny. Że będzie w pełni panować nad swym losem. - Mogę zostać nauczycielką.

- Miejże rozum, Sarah - westchnął z rezygnacją. - Żadna szkoła nie zatrudni kobiety ze zszarganą reputacją i nie powierzy jej wychowania niewinnych dziewcząt. Usiądź - zażądał. - I się uspokój. Nie ma potrzeby się unosić, skoro nie zamierzasz wychodzić za majora Bartletta.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś do niego tak wrogo nastawiony - powiedziała urażona, ale usiadła, nie chcąc nadmiernie denerwować brata. - On wcale nie jest podobny do papy. Nigdy by mnie nie potraktował tak, jak papa traktował mamę. Papa nawet nie udawał, że ją kocha, ich małżeństwo było związkiem zaaranżowanym przez naszych dziadków, czyż nie? A Tom mnie kocha.

- Nie w taki sposób, w jaki dżentelmen powinien kochać swoją żonę. W przeciwnym razie by cię nie uwiódł. Jest rozpustnikiem i łajdakiem.

- Nie rozumiem, w czym zachowanie Toma jest gorsze od twojego - odparła gniewnie. - Czy od postępowania Gideona. Jest różnica między kawalerem korzystającym z wolności, a mężem łamiącym złożoną przed ołtarzem przysięgę, prawda?

- Naprawdę sądzisz, że byłby zdolny dotrzymać małżeńskiej przysięgi? Człowiek pokroju Bartletta?

- Nie wiem - przyznała z ociąganiem. - Wiem tylko, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak nasz ojciec. Niektórzy naprawdę kochają swoje żony. I je szanują. Wystarczy spojrzeć na Blanchardsa i Gussie. Albo na szczęśliwy związek Harriet z Grave-neyem. A ona też przysięgała, że nigdy nie wyjdzie za mąż.

- Też?

- Owszem. Przysięgam sobie, że nie skończę jak mama, w związku z mężczyzną, dla którego będę znaczyła mniej niż jego koń czy psy. - Wyprostowała się sztywno. - Doszłam do wniosku, że lepiej być kochanką niż żoną i zakończyć związek, kiedy namiętność wygaśnie.

- Bzdura! Posłuchaj... - Wyglądał, jakby z trudem nad sobą panował. - Potrafię zrozumieć twoją niechęć do małżeństwa. W końcu sam mam do niej pewne zastrzeżenia. Z powodu ojca. Jestem jego synem i nigdy nie będę pewien...

- Nie obawiaj się! Nie jesteś w ogóle podobny do papy, Justinie. - Dotknęła wymi-zerowanej twarzy brata. - Dziękuję ci.

- Za co? - zdumiał się.

- Pomogłeś mi podjąć decyzję.

- Nie podoba mi się wyraz twoich oczu. Dobry Boże, wyglądają zupełnie jak oczy twojego brata bliźniaka, kiedy planował jakiś wybryk.

- Dziękuję - powtórzyła z uśmiechem.

- To wcale nie był komplement.

- Jeszcze przed chwilą nie wiedziałam, co powinnam zrobić, jeśli chodzi o Toma.

A teraz już wiem.

- Zgadzasz się go zostawić? I wrócić do Antwerpii?

- Nie. Nie jestem gotowa go opuścić. Kocham go. - Żeby złagodzić cios, nachyliła się i cmoknęła brata w policzek.

- Nie może cię poślubić bez mojej zgody - ostrzegł Justin. - Jestem jego dowódcą.

- On może wcale nie chcieć ślubu. Jak sam twierdzisz, nie każdy mężczyzna nadaje się na męża. - Schowała białą chustkę do torebki. - Dlatego spytam, czy mogę z nim zostać na innych warunkach.

- Jako kochanka? Sarah, nie możesz przecież...

- Cóż, prawdopodobnie już jestem jego kochanką - wyznała. - A reputację w oczach towarzystwa straciłam, kiedy rannego położono go w moim pokoju. Od tamtego momentu mieszkałam z nim przez tydzień w jednym pokoju.

Głośno zaczerpnął powietrza, żeby zaprotestować, ale nie dała mu dojść do głosu.

- Chyba nie powinniśmy dłużej o tym rozmawiać - stwierdziła. - Nie chcę, żeby ci się pogorszyło. A widzę, że pobladłeś.

- Dziwi cię to? Major Bartlett przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, by się oświadczyć. Podczas gdy ty...

- Miałam czelność odrzucić jego oświadczyzny. Obawiałam się małżeństwa. Bałam się też, że on chce się żenić nie z miłości, tylko z poczucia winy.

- Nie widzę różnicy. Przynajmniej nie próbował się wymigać od kary po...

- Ciekawe, że według ciebie małżeństwo jest ceną za wzięcie kobiety do łóżka. To dlatego Mary cię zostawiła?

- Nie rozmawiamy o mnie, tylko o tobie i Bartlecie!

- Nie rozmawiamy już o niczym - oznajmiła, wstając. - Wybacz. Spóźnię się na mszę.

Z początku obawiała się wizyty w kościele, ale doszła do wniosku, że przyda jej się chwila refleksji. Rozmowa z Justinem otworzyła jej oczy na wiele spraw i inaczej spojrzała na całą sytuację. Musiała jeszcze raz wszystko przemyśleć, zanim zdecyduje o swym przyszłym losie.

Uświadomiła sobie, że za życia Gideona rzeczywiście przypominała Roszpunkę zamkniętą w wieży. Uczepiła się historii opowiedanej przez nianię, jakoby ona i Gideon stanowili jedną duszę rozdzieloną na dwa ciała, i usprawiedliwiała nią brak starań o uwolnienie się spod ograniczeń, jakie nakładała na nią rodzina. W przeciwieństwie do buntowniczej Harriet, która głośno domagała się swoich praw, wołała siedzieć cicho i udawać przed samą sobą, że bierze udział w przygodach, o których opowiadał jej Gideon.

Ale Gideona już nie było i należało rozpocząć własne życie. W końcu on nie zaważał się ukraść szabli, wyruszyć na bitwę, a nawet poprowadzić do boju ludzi Justina, żeby udowodnić swą wartość. „Już ja mu pokażę, Sarah, wkrótce się przekonasz!” - powtarzał, kiedy widzieli się po raz ostatni.

I pokazał.

- Och, Gideonie - zapłakała. - Czy naprawdę musiałeś?

Rozległy się dzwony zapowiadające początek nabożeństwa. Sarah otarła oczy

i zasiadła w ławce.

Odprawiana ceremonia nie przynosiła jej pociechy. Tęskniła za Tomem. Miała ochotę pobiec do niego, wyznać mu swe żale i znaleźć otuchę w jego mocnych ramionach. Rozmowa z Justinem upewniła ją, że kocha Toma. Nie dlatego, że był przystojny i czarujący. Stał się jej przyjacielem, powiernikiem, jedyną osobą, której mogła powierzać swe najskrytsze tajemnice. Pragnęła się zestarzeć u jego boku, a nawet mieć z nim dzieci.

Kiedy ją ostrzegł, że mogła zajść w ciążę, w ogóle się nie przestraszyła. Wyobraziła sobie, że wychowuje krzepkiego chłopca o zielonych oczach Toma i jej jasnych włosach...

Postanowiła jeszcze raz porozmawiać z Tomem o małżeństwie. Musiała stawić mu czoło i powiedzieć, czego naprawdę pragnie. A potem godnie ponieść konsekwencje. Jak przystało na kobietę z dumnego rodu Latymorów.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tom przyciągnął krzesło do miejsca, z którego mógł dostrzec Sarah, gdy tylko skręci w ich ulicę. Na jej widok serce zabiło mu mocniej. Nie potrafił wyczytać z jej postawy, w jakim jest nastroju. Wyglądała na zamyśloną.

- No i? - spytał, gdy tylko stanęła w progu. - Jak poszło?

- Tak jak się można było spodziewać - odparła z cierpkim uśmiechem, zdejmując rękawiczki. Wyraz smutnej zadumy na jej twarzy ostrzegł go, że może mu się nie spodobać to, co zaraz usłyszy.

- Justin... opowiedział mi, jak zginął Gideon. To aż dziwne, bo zawsze mnie zbywał... - Rozwiązała wstążki pod brodą i odrzuciła czepek na boczny stolik. - Po mszy udało mi się też porozmawiać z Adamem i przeprosić go za to, co zrobiłam. Nie nalegaj, żebym ci o tym opowiedziała, bo za bardzo się wstydzę.

- Ale co mówił na nasz temat lord Randall? Bo rozmawiałaś z nim o nas? - nie wytrzymał. Gdyby był jej bratem, kazałby jej od razu wracać do Antwerpii i próbować ratować resztki reputacji.

- Oczywiście, że rozmawiałam. - Znienacka przywarła do jego piersi i oplótła go w pasie ramionami. W odpowiedzi objął ją skwapliwie, ze świadomością, że być może robi to ostatni raz w życiu. - Myślałam, że wiadomość o tym, jak zginął Gideon, mi pomoże. Tymczasem ukoła moje najgorsze obawy, ale niczego nie zmieniła. Chyba nigdy się nie pogodzę z jego śmiercią.

- A dlaczego uważasz, że powinnaś? Już zawsze będziesz mieć poczucie, że utraciłaś część siebie - powiedział, kołysząc ją delikatnie.

- Och, Tom, wiedziałam, że mnie zrozumiesz. - Popatrzyła na niego z wdzięcznością... i uwielbieniem. - Jak to możliwe, nie masz brata bliźniaka, ba, nie masz żadnej rodziny... a rozumiesz mój żal jak nikt inny?

- Bo wiem, jak bym się czuł, gdybyś mnie opuściła - wyszeptał głosem nabrzmiałym emocjami. - Zostałaby mi w sercu wielka, niegojąca się rana. Och, uśmiechałbym się oczywiście, by nikt nie wiedział, że w środku krwawię. Znając swą naturę, pewnie flirtowałbym z kobietami, a czasami też szukał zapomnienia w ich łóżkach. Ale żadna z nich by mi ciebie nie zastąpiła.

- O czym ty mówisz, Tom? Dlaczego miałabym cię opuścić?

- Bo... powiedziałaś, że za mnie nie wyjdiesz.

- No tak... - Zaczerpnęła tchu. - Prawdę mówiąc, zmieniłam zdanie w tej kwestii - wyznała, oblewając się rumieńcem.

- Naprawdę? - Miał wrażenie, że kręci mu się w głowie. - Jesteś pewna?

- Tak - potwierdziła zdecydowanie. Po czym szybko dodała: - Tylko jeśli tego chcesz. Jeśli naprawdę mnie kochasz... Bo kochasz mnie, Tom?

- Wiesz, że tak. Oddałbym za ciebie życie.

- Dużo by mi z tego przyszło - skomentowała cierpko. - Chcę, żebyś ze mną żył. I myślę, że polubisz naszą wspólną codzienność...

- Ponad wszystko.

- W takim razie chyba nie muszę się obawiać małżeństwa z tobą. Mimo że dotąd uchodziłeś za rozpustnika. Nie będziesz mnie zdradzał i upokarzał płodzeniem nieślubnych dzieci w całej okolicy?

- Nigdy! Absolutnie nie!

Przytuliła się do niego z ulgą.

- Poszło łatwiej, niż oczekiwałam. Żałowałam, że odrzuciłam twoje oświadczyiny, gdy tylko wypowiedziałam słowa odmowy - przyznała się.

- Naprawdę?

- Kiedy to powiedziałam, nie czułam, że uniknęłam okropnego losu, tylko że popełniłam największy błąd w życiu.

- Więc dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- Och, Tom... Bo oświadczyłeś się tak, jakby ci chodziło wyłącznie o dziecko albo o moją reputację. Nie chciałam wychodzić za mąż z takich powodów. Pragnęłam, żebyś mnie kochał tak jak Graveney kocha Harriet, a Blanchards Gussie.

- A ja sądziłem, że chcesz być jedynie moją kochanką... - Pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem.

- Wolałabym żyć z tobą jako twoja kochanka niż żyć bez ciebie. Ale niezależnie od tego, jaką przyszłość dla nas wybierzesz, Tom, nie mam zamiaru cię porzucić. Te wizje, które mi przedstawiłeś... - Cmoknęła z dezaprobatą. - Tyle niepotrzebnego cierpienia i w dodatku poczucie winy, że zламаłeś mi serce.

- Miałbym zламаć ci serce? Nie, Sarah, wolałbym umrzeć.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy z radością i ulgą, po czym przywarli do siebie w długim pocałunku.

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć - oznajmiła Sarah, oderwawszy się w końcu od Toma. - Justin jest przeciwny naszemu związkowi. I zamierza pozbawić mnie pensji. Nie wiem, czy może mi odebrać dostęp do spadku, gdy skończę trzydzieści lat, ale nie byłabym zdziwiona, gdyby nie pozwolił ci tknąć choćby pensa z mojej fortuny.

- Fortuny? Masz fortunę

- Owszem, dość znaczną. Nie wiedziałeś?

- O mój Boże, uzna mnie za łowcę posagu - jęknął Tom. - Dlaczego się uśmiechasz? - spytał zdziwiony na widok miny Sarah.

- Bo to miłe, że nie skusił cię mój majątek. Inni starający się o moje względy głównie nim się kierowali.

- Idioci - mruknął Tom, obejmując ją mocniej. - Skoro nie dostrzegali, jak wartościowa jesteś - dodał tonem wyjaśnienia.

- Czy wciąż chcesz mnie poślubić, kiedy już wiesz, że jestem biedna?

- Brak posagu nie robi mi różnicy, bo sam nigdy nie miałem pieniędzy. Ale ty... - Odsunął ją od siebie, żeby móc spojrzeć jej w oczy. - Ciężko ci będzie żyć zdanej wyłącznie na mój żołd. Nie będziesz już mogła wieść życia, do jakiego jesteś przyzwyczajona.

- Ale dasz mi coś, czego nigdy nie miałam. Szacunek. Zaufanie. I poczucie, że jestem kochana.

- Oczywiście. - Popatrzył jej w oczy z wielką czułością i musnął delikatnie ustami jej usta.

- Zdajesz sobie sprawę, że twój brat, a mój dowódca, nie udzieli nam zgody na ślub? Będę musiał odejść z armii.

- Och... - Ściągnęła usta. - Prawdę mówiąc, ostrzegł mnie, że tak będzie, ale... zagroziłam, że zostanę twoją kochanką, więc może zmieni zdanie. Przypuszczam, że raczej z ulgą przyjmie wiadomość, że chcemy postąpić przyzwoicie i się pobrać.

- Cóż, trochę się mylisz co do tej przyzwoitości. Moja przeszłość i wstydlive pochodzenie sprawiają, że staniesz się obiektem plotek.

- Phi! Nie dbam o nie.

Pokiwał głową ze smutkiem.

- Powiedz mi, proszę, gdy opuszczając lorda Randalla, wyglądał na pogodzonego z myślą o naszym małżeństwie czy toczył pianę ze złości i miotał groźby, co mi zrobi, jak wpadnę w jego ręce?

Sarah zawahała się.

- Okazywał gniew, ilekroć o tobie wspomniałam, ale...

- Niewykluczone, że rodzina się ciebie wyrzeknie, Sarah, a ja będę musiał przejść do innego regimentu. A może nawet, co nie daj Boże, zaoferować swoje usługi za granicą. Co by wypadło tym gorzej, że moje nazwisko splamił już jeden zdrajca. Wytrzymasz to? - Chwycił ją za ramiona i uważnie obserwował jej twarz. - Zniesiesz życie na wygnaniu i rozłąkę z rodziną po to, żeby być ze mną?

Przygryzła dolną wargę.

- Próbujesz mnie zniechęcić do małżeństwa, Tom? Dlatego malujesz taki czarny obraz naszej wspólnej przyszłości?

- Nie. Na Boga, oczywiście, że nie! Ale byłbym prawdziwym łotrem, skazując cię na taki los. Wiedziałem to w chwili, gdy ci się oświadczałem. I dlatego nie nalegałem. Naprawdę wierzyłem, że lepiej ci będzie beze mnie. Nie chciałem, żebyś czuła się schwytana w pułapkę przyszłości skażonej wstydem i nędzą.

Z bólem serca patrzył, jak oczy zachodzą jej łzami. Zmusił ją, by zobaczyła, jaką cenę zapłaci za to małżeństwo; by się zmierzyła z brutalną rzeczywistością. I spodziewał się, że kiedy gorzka prawda w pełni do niej dotrze, niechybnie go zostawi.

Tymczasem, ku jego zdumieniu, znów do niego przylgnęła.

- Straciłam Gideona - chlipnęła z twarzą na jego piersi. - Ciebie nie mogę stracić. Za nic. Jak mogłabym tak po prostu odejść, wrócić do Chalfont i dawnego jałowego życia, wiedząc, że skazuję cię na daremne szukanie zapomnienia w ramionach innych kobiet?

- Zatem twoja przyszłość jest przesądzona, Sarah. Bo nie złamię ci serca i nie pozwolę odejść. - Będzie inaczej, pomyślał z goryczą. Niedogodności życia, jakie przyjdzie im razem wieść, będą niszczyć ich miłość, dzień po dniu, aż w końcu Sarah zacznie patrzeć na niego z nienawiścią. Ale to należy do odległej i niepewnej przyszłości.

Resztę dnia spędzili w łóżku, dając upust namiętności i okazując sobie, jak bardzo się kochają. A potem, w nocy, Tom patrzył na śpiącą Sarah i napawał się widokiem jej twarzy, słodkiej, rozpogodzonej pod wpływem przeżytej dzięki niemu rozkoszy. Marzył, by oglądać ją taką jak najdłużej, zanim żal i rozczarowanie nieuchronnie zmacą ten błogi obraz.

Rano wstał wcześniej i przeszedł do garderoby, gdzie Gaston ogolił go i pomógł mu włożyć galowy mundur. Gdy wrócił do pokoju, Sarah siedziała na łóżku, uroczroczochrana po burzliwej nocy, i popijała czekoladę.

- Tomie Bartlett, gdybym już cię nie kochała do szaleństwa, na ten widok natychmiast bym się zakochała - oznajmiła, mierząc go spojrzeniem pełnym zachwyty. Nagle twarz jej spoważniała. - Tylko że nie byłbyś taki wystrojony, gdybyś nie zamierzał wyjść.

- No właśnie. - Podeszedł do łóżka, chwycił dłoń Sarah i czule ucałował. - Zamierzam odwiedzić twojego brata.

- Och, Tom, chcesz, żebym z tobą poszła?

- Nie - rzucił szybko, widząc, że podnosi się z łóżka. - Nie ma mowy. Muszę z nim porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Poza wszystkim muszę się zameldować na służbie.

- Nie jesteś na to gotowy. Musisz iść do niego już dzisiaj?

- Chciałbym to mieć jak najszybciej za sobą. Potem możemy rozpocząć nasze wspólne życie. Poza tym... - uśmiechnął się przewrotnie - ...nie możesz kwestionować mojego zdrowia po tym, jak spędziliśmy wczorajsze popołudnie. - Odwrócił jej dłoń i złożył w jej wnętrzu długi, gorący pocałunek.

- No tak, chyba masz rację - przyznała zarumieniona. - Wciąż jestem cała obolała.

- Zanadto cię zmęczyłem? - zatroskał się szczerze.

- Nic podobnego - uspokoiła go skwapliwie. - Mogłabym tak bez końca... Swoją drogą, nic dziwnego, że zyskałeś taką sławę u pań. - Zmarszczyła czoło, jakby zniechęta uświadomiła sobie coś złego. - Nie będzie ci łatwo poprzestać na bliskości z jedną kobietą, prawda?

- Och, przestań - obruszył się. - Jeśli nie potrafisz uwierzyć, że będę ci wierny...

- Wierzę! - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Po prostu żałuję, że nie jestem bardziej doświadczona.

- Proszę, nie myśl więcej o mojej przeszłości, Sarah. Od tej pory nie będzie nikogo poza tobą.

- Nie będzie. Bo gdybym się dowiedziała, że mnie zdradzasz... Na pewno bym nie przyrykała oka jak mama.

- Doprawdy? - spytał ze śmiechem. - Muszę przyznać, że ten pokaz zazdrości mi schlebia; dowodzi, że naprawdę ci na mnie zależy...

- Oczywiście, że mi zależy. W końcu dla ciebie jestem gotowa zerwać więzi z rodziną i zrezygnować z dostatniego życia...

Dobry humor Toma w okamgnieniu wyparował.

- No tak. Chybabym się nie dziwił pułkownikowi Randallowi, gdyby wyciągnął pistolet i zastrzelił mnie, gdy tylko stanę na jego progu.

- W takim razie zabierz mnie ze sobą. Przy mnie cię nie zastrzeli.

- Wykluczone. Nie będę się chował za twoją spódnicą - oświadczył Tom zdecydowanie, cmoknął Sarah w czubek głowy i wyruszył na spotkanie z niewiadomym.

Sarah czuła się okropnie ze świadomością, że Tom właśnie stawia czoło jej rozsierdzonemu bratu. Postanowiła więc znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pomyślała

o Mary Endacott, która w tym momencie pewnie rozpaczała w samotności. Wiedziała, że nie zdoła naprawić wyrządzonego Mary zła, tę rolę mógł odegrać tylko Justin, ale wypadało przeprosić za swe zachowanie z przeszłości.

Wstała z łóżka i zadzwoniła po ciepłą wodę. Mogła zakładać, że przeprosiny nie przyniosą skutku, jako że Mary nie okazywała jej przychylności nawet przed nieszczęsnym balem u księżnej Richmond. Sarah czuła jednak potrzebę wystąpienia z gestem pojednania. Chciała też wytłumaczyć Mary powody, dla których Gideon ukradł nieszczęsną szablę...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kołnierz munduru wpijał mu się w szyję. Lewy but znaczyła smuga kurzu. Przez bandażę na głowie wyglądał groteskowo. Po raz pierwszy w życiu Tom naprawdę przejmował się tym, co ktoś inny o nim pomyśli.

- Może pan wejść - oznajmił Robbins z miną jeszcze bardziej kwaśną niż zwykle.

Pułkownik Randall, wsparty na stosie śnieżnobiałych poduszek, spiorunował go wzrokiem oczu tak bardzo podobnych do oczu jego ukochanej Sarah.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie? - odezwał się Randall bez żadnego wstępu.

Od czego by tu zacząć? - zastanawiał się chwilę. Powinien złożyć raport ze swoich poczynań i zameldować ponowną gotowość do służby.

- Kocham pańską siostrę, sir - wyrzucił z siebie jednym tchem. - I jestem świadomy, że musi pan to uważać za wielką impertynencję.

Randall wydał z siebie groźny pomruk.

- Przypuszczam, że będzie lepiej, jeśli zrezygnuję ze swojego stanowiska w pułku.

Randall zmrużył oczy.

- Sarah powiedziała mi, że zamierza pan jej odebrać posag i spadek, pułkownika - ciągnął Tom. - Zatem chyba nie ma sensu prosić o pańskie błogosławieństwo...

- Absolutnie żadnego.

- Mimo to o nie proszę. Nie dla siebie. Wiem, że na nie nie zasługuję. Nie jestem godzien wiązać trzewików lady Sarah, a co dopiero się z nią żenić. Ale wziął pan pod uwagę, jak bardzo ją unieszczęśliwi rozłąka z rodziną? Twierdzi, że o to nie dba, ale nie sądzę, by w pełni teraz rozumiała, co to oznacza.

- Rozwiązanie jest proste. Zostaw ją.

Tom uśmiechnął się z goryczą.

- Myśli pan, że nie próbowałem? Chciałem się zachować przyzwoicie, ale mi na to nie pozwoliła. Powiedziała, że woli być moją kochanką niż żyć beze mnie. Naturalnie nie mógłbym jej potraktować w taki sposób. Będę musiał się z nią ożenić, sir. Z pańską zgodą lub bez niej.

Randall milczał tak długo, aż cisza stała się ciężka i niezręczna.

- Sarah twierdzi, że mnie potrzebuje - podjął niepewnie. - Wiem, to dlatego, że straciła Gideona... Na początku przywiązała się do psa. Pewnie pan myśli, że zająłem jego miejsce. Rzeczywiście, wyciągnęła mnie z błota i uratowała podobnie jak to zapchlone zwierzę... Może mi pan nie uwierzy, zważywszy na moją reputację, ale będę jej wierny... jak pies. - Tom czuł, jak piecze go już nie tylko szyja, ale cała twarz.

Randall parsknął drwiąco.

- Założę się, że pies uciekł od niej, gdy tylko zobaczył Flinta?

- Owszem, ale w końcu to Flint był jego panem, czyż nie? Porównanie może nie jest najlepsze, ale pies zachowywał się przyjaźnie wobec innych pod nieobecność

Flinta, jednak tylko jemu okazał wierność. Tak samo ja będę wierny tylko Sarah, do końca moich dni.

- Mam uwierzyć, że osławiony rozpustnik Tom Bartlett, zwany Kocurem, zamierza się zmienić? Z powodu mojej siostry?

- Tak, sir.

- I jesteś gotów z nią uciec, jeśli nie wyrażę zgody na ślub?

- Tak, sir.

- I utrzymywać ją ze swojego żołdu?

- Twierdzi, że jest na to gotowa, sir.

- Nie ma pojęcia, o czym mówi. Nie wytrzyma w tych samych sukniach dłużej niż miesiąc.

- Nie zależy jej na sukniach. Gdyby pan znał ją lepiej, sir, toby pan wiedział, że woli konne przejażdżki od wybierania strojów.

- Jednakowoż byłoby miło dostać bogatą żonę, co, majorze?

- Przecież straci swoją fortunę, jeśli mnie poślubi... Nie zależy mi na pieniądzach. Zawsze mi wystarczały uzyskiwane dochody.

Pułkownik wydał kolejne gniewne prychnięcie, ale Tom odniósł wrażenie, że na jego obliczu wyraz złości ustąpił miejsca zadumie.

- Przynajmniej nie masz długów - odezwał się w końcu. - Ani skłonności do hazardu.

- Zważywszy na los mojego ojca nie powinno dziwić, że brzydzę się hazardem. Choć pod jednym względem jestem bardziej podobny do ojca, niż przypuszczałem.

- Doprawdy?

- Tak, sir. Dziś rano uświadomiłem sobie, dlaczego tak fatalnie skończył. Bo bardzo kochał moją matkę. Kiedy ją stracił, wszystko inne przestało się liczyć. Tytuł, pozycja, nawet własny syn. Bez niej jego życie straciło sens. Po raz pierwszy mogę sobie wyobrazić, co czuł. Bo czułbym się tak samo bez Sarah. - Wyprostował się dumnie i spojrzał swemu dowódcy prosto w oczy. - Dlatego z żalem oświadczam, sir, że w żaden sposób nie może mnie pan zmusić, bym ją zostawił.

- W takim razie chyba będzie lepiej, jak się z nią ożenisz - stwierdził Randall.

- Słucham?

- Nie mam siły powtarzać. Od wczorajszej wizyty Sarah prawie o niczym innym nie myślałem. Kobiety w mojej rodzinie są uparte i zdecydowane. Jak raz coś wymyślą, żadna siła nie jest w stanie zmusić je do zmiany zdania. - Wygiął usta w grymasie przypominającym cień uśmiechu. - Skoro się w tobie zakochała... Niech cię Bóg ma w swojej opiece.

- Dziękuję, sir.

- Cóż, skoro masz zostać moim szwagrem, jako pierwszy się dowiesz, że występuję z wojska. Dawno powinienem był wrócić do Chalfont i podjąć obowiązki głowy rodu. Wszystkie - dodał z zadumą. - Oddział Zabijaków Randalla może zostać rozwiązany. Jednak jeśli przetrwa, to wiem, że mogę powierzyć tych ludzi albo tobie, albo majorowi Flintowi.

- Sir! - Tom natychmiast uznał, że przyrodni brat twórcy tej jednostki najbardziej pasuje na jej nowego dowódcę. Nie miał nic przeciwko temu, by służyć pod majorem Flintem, jako że podziwiał go za wytrwałość i pozostałe cechy charakteru.

- Wybrałem ciebie. To się, rzecz jasna, wiąże z awansem. I lepszą płacą.

- Sir! - Tom tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

- Bartlett!

- Sir?

- Nie stój jak baran, zejdz mi już z oczu.

Tom oprzytomniał z zaskoczenia na tyle, by zasalutować. Z szerokim uśmiechem zbiegł po schodach i wyszedł na czerwcowe słońce.

- Tom? Widzę po minie, że masz dobre wieści.

- Najlepsze. - Chwycił ją w pól i zawirował z nią po pokoju.

- Tom, wariacie, natychmiast mnie postaw! - zaprotestowała ze śmiechem. Usłuchał, chcąc jak najszybciej opowiedzieć jej przebieg wizyty. - Justin dał nam swoje błogosławieństwo? Nie wierzę.

- Nie tylko to. Powierzył mi dowództwo nad Zabijakami...

- Zamierza wrócić do domu? Och! - Z radości aż klasnęła w dłonie. - Takie było ostatnie życzenie Gideona. Mama bardzo go potrzebuje. A teraz, kiedy Bonaparte został rozgromiony, Justin chyba poczuł, że jego miejsce jest w rodzowym majątku. - Nagle ściągnęła brwi: - Po takim spektakularnym zwycięstwie zawsze przyznają różne zaszczyty, prawda? Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś i ty jakiś otrzymał...

- Nie sądzę - stwierdził cierpko Tom.

- Kto wie, pobierzemy się, a kiedy już zostaniesz szwagrem Justina, może zechce się za tobą odpowiednio wstawić? A ma liczne wpływy nawet w najwyższych kręgach. - Wyraźnie rozochociona dodała: - Może nawet przywróci ci tytuł dziadka!

- A jeśli nie będzie żadnych zaszczytów, Sarah? Jesteś pewna, że podołasz trudnej roli żony żołnierza?

- Och, Tom, jak możesz mieć jakiegokolwiek wątpliwości? Przez ostatnie dni czułam się lepiej niż kiedykolwiek w przeszłości. To, co robiłam, miało jakąś wartość. I znaczenie. Mam zamiar być dla ciebie dobrą żoną. A żeby to udowodnić, dziś rano próbowałam pokazać, że nie jestem głupią, próżną dziewczyną z wyższych sfer, zainteresowaną wyłącznie modnymi strojami.

- W jaki sposób? - spytał rozbawiony.

- Zgłosiłam się do pomocy w szpitalu Mary. Jako wolontariuszka. Jej dawna szkoła jest pełna rannych żołnierzy. A Bertrand powiedział, że bardzo się przydam, wyobraź sobie!

- Bertrand?

- Lekarz, który przychodzi tam codziennie i nadzoruje pracę Mary. Nie musisz się martwić... jest w niej zakochany. Więc nawet jeśli Justin wszystko zepsuł, przynajmniej nie zostanie sama. Mniejsza o nich, Tom, ważne, że nadaję się na żonę oficera i nigdy, przenigdy cię nie zawiodę.

- Nie musisz pracować w szpitalu, żeby cokolwiek udowodniać, Sarah.

- Ale chcę. Bardzo współczuję tym wszystkim rannym i cieszę się, że będę mogła im choć trochę pomóc. Chyba nie będziesz mi tego zabraniał?

- Nie - zapewnił z uśmiechem. - Nie będę ci niczego zabraniał, bo chcę, żebyś była szczęśliwa. Ale leży mi na sercu twoje bezpieczeństwo, więc będziemy musieli zatrudnić dla ciebie pokojówkę i służącego, bo nie chcę, żebyś chodziła całkiem

sama po mieście.

- Och, Tom, przecież w tym tygodniu wielokrotnie sama wędrowałam po Brukseli - przypomniała mu rozbawiona. - Słowo daję, nie sądziłam, że usłyszę od ciebie coś takiego!

- To pewnie przez moją niechlubną przeszłość. Po prostu wiem, jacy są mężczyźni. Od tej pory będę jedynym rozpustnikiem, który ma prawo się do ciebie dobrać - oznajmił z przewrotnym błyskiem w oku, przyciągając ją do siebie.

Tytuł oryginału: A Mistress For Major Bartlett
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2015
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2015 by Annie Burrows
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3055-1

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Strona redakcyjna